

Helena Amiradżibi

Słodkie życie księżniczki

Urodziłam się pod szczęśliwą gwiazdą w najszcześniejszym państwie na świecie, zajęty budową świetlanego jutra, a mimo to udało mi się wyjść z tego wszystkiego cało. Nie wysiedlono nas na Syberię ani do Kazachstanu, nie rozstrzelano moich rodziców i nie umarliśmy z głodu. A to, że urodziłam się w Gruzji, można by uznać za szczyt szczęścia. Podczas gdy do Kazachstanu czy na Północ wysyłano pod strażą miliony ludzi, do Gruzji dobrowolnie ciągnęły tłumy i, co gorsza, wcale nie chciały z niej wyjeżdżać. Ale raz zdarzył się wypadek, który nas zaskoczył...

Na letnie wakacje do Tbilisi zaprosiliśmy, my, gruzińscy studenci, pewnego kolegę z Moskwy. Jechał z nami pociągiem prawie trzy tysiące kilometrów. Kiedy już pokonaliśmy przebite w pasmach Kaukazu długie tunele i pociąg potoczył się brzegiem Morza Czarnego, nasz elokwentny kolega zamilkł, wpatrzony w domki przyklejone jak gniazda do stromych gór, lśniące zielenią pagórki, porośnięte krzakami herbaty, szeregi strzelistych eukaliptusów, dzwoniących srebrnymi listkami. Nie odezwał się również, gdy pociąg oddalił się od morza i wjechał w wąską dolinę, w której wartko płynął spieniony potok. Zaniepokojona jego milczeniem, zapytałam niepewnie:

- Podoba ci się?

- Nie! - odparł gwałtownie. Poczulałam się urażona.

- Bo co?

- Bo to nie jest prawdziwe! Coś tu za ładnie. - Zabębnił palcami po szybie. - To wszystko wygląda jak ilustracja do sznurowatej bajki.

Wtedy pierwszy raz uświadomiłam sobie, że mieszkam w kraju bajecznie pięknym.

Dotąd nie dostrzegałam jego urody. Wszystko wydawało się oczywiste: góry jak góry, morze jak morze, domki jak domki... Musiałam nań spojrzeć cudzymi, świeżymi oczyma.

Moskiewski kolega dobrze się z nami w Gruzji bawił, a odjeżdżając powiedział:

- Cieszę się, że już niedługo zobaczę równiny. Dolega mi tu coś w rodzaju klaustrofobii, bo gdzie spojrzę - góry i góry... U nas, w Rosji, wszędzie widzę nieskończoną pustkę - zaśmiał się - i szerokie horyzonty.

I wrócił do swoich szerokich horyzontów. Wiem, że moja Gruzja jest piękna, ale przecież to komunał i nie myślę się wdawać w opisy przyrody. Będę pisała o ludziach i wydarzeniach nie z gwałtownej potrzeby, ale żeby spłacić dług, zaciągnięty u dwóch moich niezrównanych rodaków - Stalina i Berii. Dzięki nim przeżyłam niebanalne życie i widziałam ludzi, postawionych zawsze w wyjątkowej sytuacji. Coś takiego może się już szybko nie powtórzyć. Teraz, gdy zburzono ich potężne pomniki, postawię im malutki pomniczek na moją własną miarę.

O słodkim życiu i wyrzutach sumienia

Przez cały czas, od wczesnego dzieciństwa, we wszystkich instytucjach wbijano mi do głowy, że jestem bezgranicznie szczęśliwa. Zaczęło się to w „ekskluzywnym” przedszkolu w Tbilisi. Do tego przedszkola przyjęto mnie tylko dlatego, że moja ciocia Maro grywała tam dzieciom na fortepianie, żeby dorobić na życie. Była harfistką w konserwatorium, ale w konserwatorium absolutnie nic nie było do ukradzenia. Zresztą ciocia, typowy przeżytek burżuazji, hołdowała staromodnym, przedrewolucyjnym przesądom i gdyby jej nawet rozsypano na pudle fortepianu cukierki, a w orkiestrze znalazłaby kielbasę, pewno by niczego nie tknęła, choć nieraz ssała ją w żołądku z głodu. Niestety, z harfą na chałturę wybrać się nie sposób. Co innego skrzypce czy obój - można było sobie tłusto dorabiać na pogrzebach i weselach.

Biedna ciocia Maro, choć tego bardzo nie lubiła, musiała odbębniać na fortepianie wesołe, entuzjastyczne marsze, a my, w ramach rytmiki czy gimnastyki, chodziliśmy w kółko, machając czerwonymi chorągiewkami, podnosząc je nad głowę i rozkładając na boki, i deklamując w takt marsza: „Spasibo wielikomu Stalinu za nasze szczęśliwoje dzieciwo!”, czyli „Dziękujemy wielkiemu Stalinowi za nasze szczęśliwe dzieciństwo”! Dziwny był w tym jeden szczegół: W przedszkolu obowiązywał język gruziński, ale nie wiadomo dlaczego modlitwę do Stalina kazano nam recytować po rosyjsku. Więc recytowaliśmy, niemiłosiernie kalecząc ten piękny poniekąd język.

Prawdopodobnie kierownictwo przedszkola usiłowało jakoś zabezpieczyć się na wypadek wizyty inspektora z Centrali. I całe szczęście, bo od dzieciństwa znieczulano nasze uszy na wszelkie oficjalne hasła. Przystawaliśmy je odbierać i recytując, nie słyszeliśmy treści, jak nie słyszy się gwizdu szybującej w przestworzach Ziemi. Dlatego później, z całym spokojem, traktując to jako ornament, wypisywałam pod każdym wypracowaniem słowa podziękii dla partii i Wodza Narodów, żeby żadna nauczycielka nie była w stanie pod tym zakłębciem postawić dwójki. I w szkole średniej, i potem, na studiach, dziękowaliśmy Stalinowi i partii, powtarzając różne głupawe formułki. Ze wszystkich głośników, od szóstej rano do późrzej nocy, lały się na nas wiersze, pieśni, kantaty i opowiadania o Stalinie. A z niezliczonych portretów patrzyły na nas jego mądre, dobrotliwe oczy. Nawet w ubikacjach wyglądała ze strzębów gazet jego ciepła twarz albo jej fragment, oko czy nos. Bo gazety w tamtych czasach służyły głównie do zawijania żywności i zastępowały papier toaletowy. O jego istnieniu dowiedziałam się wiele lat później. O telewizji, na szczęście, nikt jeszcze wtedy nie słyszał, bo mielibyśmy Wodza i Nauczyciela przez cały czas w domu. Jedynym miejscem, gdzie uszy odpoczywały od sloganów, była opera i częściowo kino. Kino stało się naszym

narkotykiem. Dorośli oglądali po kilka razy nieliczne zagraniczne filmy, które nie wiadomo dlaczego przedostawały się na nasze ekrany. Między innymi film z Franciszką Gall Katarzyna, po którego obejrzeniu matka zaczęła mi zawijać warkocze do góry i wiązać kokardy nad uszami.

W foyer kina Komsomolec przed seansem, przy akompaniamencie rozklekotanego fortepianu, śpiewała pulchna blondynka. Wychodziła ze swoim taperem, małym biednym człowieczkiem w okularkach i bardzo schodzonym ubraniu, splatała ręce na piersiach, uśmiechała się i mówiła kokieteryjnie:

- Jestem Wala. Walentyna, Waleczka! Wala Buszkina! Zaśpiewam wam arietkę z operetki Rosemarie...

I zaczynała śpiewać piskliwym głosem, nieco fałszując. Nikt jej i tak nie słuchał, w foyer robiło się gwarno, wszyscy opowiadali sobie plotki i dowcipy.

Pewnego dnia Buszkina ku naszej uldze zniknęła i przez jakiś czas panował spokój.

Aż stanął na estradzie bardzo chudy, całkiem siwy, wysoki starzec o pociągłej twarzy i szlachetnych rysach. Jęk rozczarowania wydobył się z piersi kinomanów.

Ale starzec jakby nas nie słyszał. Nie przedstawił się, podniósł lewą rękę do ucha i pochylił głowę: Zdawało się, że nadśluchuje czegoś, co płynie z jego dłoni, ułożonej jak muszla. Taper zagrał i on zaśpiewał zwrotkę, której nikt nie słyszał, bo na sali panował gwar. Nie podniósł głosu, jakby nucił wyłącznie dla siebie. Kiedy odśpiewał zwrotkę, fortepian zamilkł, a on zaczął jodłować.

Jodłował tak pięknie, że nagle zapanowała cisza. Patrzyliśmy na niego, zdumieni.

Publiczność kina Komsomolec polubiła tego anonimowego śpiewaka od pierwszego razu. Kiedy film był do niczego, widzowie kupowali bilety i wpadali tylko na chwilkę, żeby go posłuchać przed seansem i wyjść. Bilety kosztowały znacznie mniej niż kawałek chleba, więc nie mieliśmy na czym oszczędzać. Dorośli przeważnie prowadzili mnie z sobą, bo nie było komu podrzucić dziecka. W ten sposób często słuchałam tego jodłowania. Powoli zaczął docierać do nas sens tego, co tajemniczy starzec śpiewał miękkiem, bardzo przyjemnym głosem. Pamiętam do dziś słowa piosenki:

„Żył w Tyrolskich ja górach, był ja stary i siedoj, Łuczsze Ruskich w mirie niet - zdies' ja wieczno małodaj...” co w wolnym tłumaczeniu brzmiałoby mniej więcej tak:

„Żyłem ja w tyrolskich górach, byłem stary, byłem siwy, Rosja - kraj jedyny, w którym jestem młody i szczęśliwy...”

A potem zaczynał jodłować:

„U la, la, la - la, la, u la, la, la - la, la...”

Zamieraliśmy, wsłuchani. Cieszyłam się, że starcowi udało się opuścić straszne tyrolskie góry i że śpiewa o szczęściu, które możemy z nim teraz dzielić. Z audycji radiowych wiedziałam, że poza granicami naszego kraju wszędzie panuje chaos i nędza, tymczasem u nas można było kupić chleb, a niekiedy nawet masło i cukier!

Pewnego razu, gdy właśnie śpiewał swoje „Rosja - kraj jedyny, w którym jestem młody i szczęśliwy...”, na sali rozległ się spokojny głos:

- Śpiewa tu od paru miesięcy, stary skurwysyn, więc mógłby już chyba zauważyć, że mieszka w Gruzji!

Starzec śpiewał dalej, z pochyloną głową, z lewą dłonią o bardzo długich, pięknych palcach podniesioną do ucha, jakby nasłuchiwał szumu muszli. Nie drgnął żaden mięsień na jego wysuszonej, pomarszczonej jak kora akacji twarzy. Duże niebieskie oczy patrzyły gdzieś daleko poza nas bez żadnego wyrazu. Rozległy się chichoty, ale parę osób zasyczało, uciszając je. Wydało mi się to bardzo dziwne, bo głos z tłumu poruszył bolesny temat Rosja - Gruzja, a tu nikt go nie poparł.

Kilka starszych osób szybko wycofało się z kina. Mama też pociągnęła mnie na ulicę.

- Ten staruszek rzeczywiście mógłby zauważyć, że nie mieszka w Rosji - powiedziałam, starając się nadażyć za mamą.

Chciałam koniecznie poznać jej zdanie, bo coś mi się nie zgadzało w zachowaniu widowni. Ale mama przyspieszyła kroku.

- Milcz! - powiedziała po chwili. - On, wie, co ma śpiewać!

Jej odpowiedź jeszcze bardziej rozpałała moją ciekawość. Powracałam do tego tematu kilka razy, ale matka zbywała mnie sakramentalnym: „Dorośniesz - zrozumiesz!”

O mężczyznach mówi się „przystojny”, ale do tego starca pasowało raczej słowo „piękny”. Piękne w nim było wszystko: głos i dobrze osadzona, kształtna głowa na długiej szyi, prosty wąski nos i szlachetny profil, i oczy - duże, jasne, nieruchome. Wydawało się, że on nikogo nie dostrzega, patrząc w daleki punkt, gdzieś za naszymi głowami. Jego twarz promieniała jakąś tajemną, smutną wiedzą, dla nas niedostępną. Powiedziałam ojcu, że powinno się go namalować z aureolą, tak jak na fresku w cerkwi, do której zaprowadziła mnie kiedyś ciocia Maro.

- Tak - zgodził się ojciec. - Jest w nim coś ze świętego albo nawiedzonego.

Pokochaliśmy tego świętego, ale nie było nam dane nacieszyć się jego jodłowaniem:

Wkrótce zniknął z kina. Pojawiła się nowa pulchna blondynka, od razu zgodnie przez publiczność znieawidzona.

Przyzwyczałam się do znikania ludzi nawet z najbliższego otoczenia. Jeszcze przed moim urodzeniem wzięli całą rodzinę mojej ciotki, a potem jeszcze paru bliskich krewnych. Słyszałam, jak dorośli szepcą, że w nocy znowu kogoś wzięli, ale nikt nie miał ochoty mi wyjaśnić, kto, gdzie i dlaczego zabiera ludzi.

- Jak to może być, że kogoś zabierają? - zapytałam matkę.

- Zwyczajnie - mruknęła i twarz jej sposepniała. - Nie twoja sprawa!

- Kto zabiera? - domagałam się odpowiedzi.

- Nie zadawaj mi nieustannie pytań! - krzyknęła mama. - Co to za okropne maniery?!

Ale ja nie mogłam się powstrzymać.

- Czy mogą przyjść i nas zabrać?! - wrzasnęłam. Matka pobladła.

- Wypłuj te słowa! - Była bliska płaczu. - Nigdy tak nie mów! Bądź szczęśliwa, że żyjemy! Jeżeli żyjesz i żyją twoi najbliżsi, to znaczy, że masz szczęście.

Zrozumiałaś?!

Potrząsnęła mną za ramiona z taką siłą, że o mało mi głowy nie urwała. W ten sposób po raz któryś dowiedziałam się, że jestem szczęśliwa, ale mimo to bałam się. Wieczorami nie chciałam zasnąć, żeby nie przegapić chwili, kiedy po kogoś przyjdą. A dorośli, myśląc, że śpię, poruszali bardzo interesujące, aczkolwiek nie zawsze zrozumiałe dla mnie tematy. Niestety, nawet ojcu, zawsze gotowemu dać odpowiedź na każde możliwe pytanie, robiły się nagle szklane oczy i natychmiast głuchł albo zaczynał mówić o czymś innym, ilekroć poruszałam temat tych, których wzięli.

- Doszły mnie słuchy, milady - zaczynał i już wiedziałam, że jest źle, bo zwrotu milady używał wtedy, kiedy miał do mnie pretensję. - Doszły mnie słuchy, milady, że nie byłaś zbyt grzeczna!

Nie wiedziałam, czy strzela w ciemno, czy mu donieśli o czymś konkretnym.

Wolałam unikać poważnych rozmów; nigdy nie byłam zbyt grzeczna, zawsze miałam coś na sumieniu. W ten sposób odzwyczajono mnie od stawiania pewnych pytań.

Widocznie tak musiało być na tym naszym świecie, że co jakiś czas ktoś znika, bo go w nocy biorą na ofiarę nieznanemu bóstwu. A więc i teraz pogodziłam się z myślą, że już nie usłyszę starego śpiewaka, bo pewno go wzięli. Zresztą, co ja o nim wiedziałam? Może był wrogiem ludu albo szpiegiem? Tę drugą ewentualność zaraz jednak odrzuciłam: Szpieg nie mógł być taki szlachetny i smutny.

Przyszła jesień czterdziestego roku, mama zachorowała i ciocia Maro wzięła nas z bratem do siebie. Choć robiło się już chłodno, jedliśmy późny obiad na balkonie, który wychodził na podwórko. Na dworze nie musieliśmy zapalać lampy, oszczędzając deficytową

naftę. Słyszałam pogłoski, że ropę wysyłają do Niemiec, gdzie w dużych ilościach potrzebują jej do samolotów bombardujących różne kraje w Europie...

I wtedy nagle stary śpiewak wszedł na podwórko w swoim znoszonym garniturze, jeszcze bardziej wytartym niż dawniej. Rozejrzał się, postąpił parę kroków, z lekka powłócząc nogami, postawił na ziemi puszkę po konserwie, wyprostował się i podniósł do ucha smukłą dłoń.

- To on! To on! Zaraz będzie jodłował! - zawołałam, podniecona.

Niestety, staruszek nie jodłował. Zaczął śpiewać starą gruzińską piosenkę o robaczku świętojańskim. Nie radził sobie z gardłowym gruzińskim „eh”, ale słowa wyśpiewywał poprawnie. Chodziło mu widocznie o zyskanie sympatii Gruzinów. W ostatnich czasach lokatorzy domów przestali reagować na podwórkowych grajków i śpiewaków, bo z dnia na dzień przychodziło ich coraz więcej, ceny rosły, a żywność znikła ze sklepowych półek w zastraszającym tempie i mało kogo było stać na datki. A jednak ktoś z sąsiadów wrzucił drobne do puszeki jako gest uznania za trud, który śpiewak sobie zadał, by się nauczyć gruzińskiej piosenki.

Tu i ówdzie wyglądały zza firanek zaciekawione twarze. Czteroletnia Tają z parteru wyszła z miseczką dymiącej kaszy, usadowiła się na ganku i zaczęła jeść, zasluchana. Starzec spojrział na nią i na miskę i nagle się zakrztusił. Śpiew się urwał. Przez chwilę wpatrywał się w kaszę, potem z wysiłkiem się odwrócił i pokuśtykał do bramy.

- On musi być bardzo głodny... - cicho powiedziała ciocia Maro.

- Daj mu coś do jedzenia! - jęknęłam błagalnie.

Ciotka sfrunęła po schodach. Przy bramie zastąpiła drogę staremu.

- Niech pan wstąpi do nas na filiżankę herbaty. Niech pan się ogrzeje - poprosiła. - Mam harfę - dodała zupełnie bez sensu. - Zagram panu!

Starzec jakby się obudził. Na moment utkwił wzrok w twarzy ciotki, zdawało się, że z wielkim trudem usiłuje sobie coś przypomnieć. Po chwili ruszył za nią.

Ciocia Maro położyła na krześle poduszkę i poprosiła, żeby usiadł. Pobieгла do kuchni i wróciła z miską wody i z mydłem w kuchennej mydelniczce (wkrótce zaczęła się wojna i mydło zniknęło z horyzontu na kilka lat). Starzec posłusznie umył ręce; cień nikłego uśmiechu przemknął mu po twarzy. Cały czas wydawał się nieobecny. Może bawił myślami w dalekim Tyrolu, gdzie mu było jeszcze gorzej niż tutaj? Ciocia Maro postawiła przed nim talerzyk dymiącego adzapsandaiu. To taka najtańsza, sezonowa potrawa na bazie bakłażanów duszonych z pomidorami i wszystkim, co się ma pod ręką, podawana z gorącą mamałygą. Ze

złożonymi na kolanach dłońmi stary przez chwilę wpatrywał się w talerzyk i łykał ślinę, jakby się krępował. Spojrzał pytająco na ciotkę. Maro uśmiechnęła się.

Miała piękne zęby.

- Proszę jeść - powiedziała ciepło. - Wolałabym pana poczęstować pieczonym kurczakiem nadziewanym pigwami. Niestety, to dla nas już wspomnienie...

Wyciągnął drżącą rękę i zaczął jeść powoli, starając się nie okazywać głodu. A może przedłużał przyjemność? Jedzenia nie było dużo. Ciotka przyniosła kryształowy kielich na długiej nóżce i z glinianego, wiejskiego dzbana naląa czerwonego wina.

- Proszę... To wino jest jak nektar... Przywiózł je z Kachetii znajomy chłop.

Starzec podniósł kielich pod światło: Wino skrzyło kolorem oprawionych w złoto granatów.

- Jaki piękny kielich - powiedział. - To chyba stare szkło weneckie?

Ciocia Maro przytaknęła z uznaniem.

- Ojciec przywiózł je z podróży do Włoch. To było dawno... przed rewolucją...

Kiedyś było ich dwanaście. Ten jest ostatni...

Gość spojrzał na ciotkę i pierwszy raz zobaczyłam w jego oczach odrobinę ciepła.

- My też jesteśmy ostatni... pani i ja - powiedział i pociągnął łyk wina. -

Doskonale. Rzeczywiście jest jak zdrowie... Za przyszłość pani dzieci. One już będą całkiem inne. Oby dożyły lepszych czasów.

Ciocia Maro się zarumieniła.

- To dzieci mojej siostry... Ciotecznej siostry - poprawiła się. - Nigdy bym nie miała odwagi...

Nam, dzieciom, nie pozwalano nie pytanym odzywać się przy stole, zwłaszcza przy obcych, ale nie mogłam się powstrzymać.

- Dlaczego pan nie śpiewa w radiu albo na wielkich koncertach?

Śpiewak patrzył na mnie nie rozumiejąc, potem cicho, krótko się zaśmiał. Na chwilę jego twarz odmłodziła.

- Och! - Ożywił się. - Nie jestem śpiewakiem... Kiedyś wykładałem na politechnice matematykę... Wtedy śpiewałem tylko dla...

Urwał i jego twarz znowu straciła wyraz.

- Wie pan, mój ojciec wykładał łacinę i grekę na uniwersytecie... - pospiesznie powiedziała Maro, jakby się bała, że znowu wyskoczę z jakimś pytaniem. -

Kształcił nauczycieli, ale potem władza usunęła łacinę i grekę ze szkół, więc i jego wyrzucono. Ten zawód przestał istnieć...

- Sic fata tulere - westchnął gość.

Dopiero w dwadzieścia lat później dowiedziałam się ze słownika, że znaczy to „tak zrządziły losy”. Dopił wino i na chwilę przymknął oczy.

- Zapomniałam, że harfa jest trochę rozstrojona... Zresztą nie jestem aż tak dobrą harfistką, żeby urządzić solowe popisy... - przeprasząco powiedziała ciocia Maro.

- Słyszałem panią - ocknął się starzec. - Na koncercie w konserwatorium. Ale to było w innej epoce... Bardzo pięknie pani wyglądała z aureolą srebrnych loczków dokoła głowy, na tle złotej harfy... To dziwne, bo ma pani twarz młodej dziewczyny...

- Osiwiałam, gdy miałam szesnaście lat - z uśmiechem powiedziała ciocia.

Z pewnym trudem czy też z wielką niechęcią podniósł się z krzesła.

- Dziękuję... bardzo za wszystko dziękuję... Od lat nie jadłem czegoś tak smacznego...

- Przy drzwiach pochylił się i pocałował ją w rękę. - Jaka szkoda, że nie było nam dane spotkać się w innym, lepszym świecie!

Wyszedł, a ciocia jeszcze jakiś czas stała w otwartych drzwiach i patrzyła na schody, na których go już nie było.

Tego roku nadeszła szczególnie ostra zima. Wczesną wiosną powiał, jak zawsze o tej porze, kłujący wiatr. Po południu wracałyśmy z babcią bez bułek, mimo że odstałyśmy swoje w długiej kolejce. Ludzie chwyтали pieczywo, by suszyć je na czarną godzinę. Był rok 1941, Hitler już wojował z całą Europą, a to nie wróżyło nic dobrego, choć niby między ZSRR a Niemcami panowały pokój i przyjaźń. Tak naprawdę nikt nie wierzył w żadną przyjaźń Rosji z jakimkolwiek zachodnim krajem.

- Jeżeli wojna dojdzie do nas, to nie zostanie kamień na kamieniu - powiedziała babcia w rozmowie ze swoją przyjaciółką.

Godzinami usiłowałam sobie wyobrazić ten przekłety krajobraz, składający się z pustki, bez ani jednego kamienia, aż dostawałam bólu głowy.

Teraz wracałyśmy z pustymi rękoma i chciało nam się płakać, bo wygłodniałyśmy na wietrze pod sklepem, wdychając zapach świeżych bułek. Już prawie miałyśmy je w rękę: Skończyły się cztery osoby przed nami. Do domu pozostał jeszcze kawał drogi, kiedy dostrzegłam z daleka tłumek. Formowano właśnie pod ścianą nową kolejkę. Z okrzykiem - „Babciu, kolejka!” - rzuciłam się zająć miejsce. Okazało się, że na zapleczu wyładowują worki z cukrem. Zapadał już zmrok, kiedy sklep otworzono. W drzwiach oświetlonego wnętrza stanęła ekspedientka w fartuchu.

Oparła się plecami o futrynę, zasłaniając wejście jedną nogą i ręką. Wpuszczała do sklepu po pięć osób, żeby nie rozgnietli lady. Miałyśmy nadzieję, że coś do nas dojdzie, bo

dawano po kilogramie na głowę. Kolejka rosła bardzo szybko, za nami ginął w mroku długi sznur ludzi. Mnie i babcię ogarnęło podniecenie, znane chyba wszystkim myśliwym: Upolujemy coś czy wrócimy pokonane? Czy sprawimy ogromną radość mamie i ojcu? Drżałam nie tylko z zimna i wiedziałam, że z babcią dzieje się to samo.

- To dziecko całe się trzęsie - usłyszałam nad sobą głos litościwej starszej pani. - To skandal, że musimy tak zamęczać nasze dzieci.

Babcia spojrzała na nią bezradnie, a z kolejki odezwał się jakiś pan:

- Dzieci to podobno nasza świetlana przyszłość...

Znużeni wyczekiwaniem kolejkowicze chętnie włączali się do rozmowy.

- Jeżeli ma pani drobne, niech pani jej da cztery ruble i pięćdziesiąt kopiejek i niech dziecko spróbuje szczęścia - powiedziała jakaś poczciwa starsza pani.

- Słusznie! - poparł ją mężczyzna. - Niech się od małego uczy żyć.

Babcia niepewnie sięgnęła po portmonetkę.

- Niech jej pani da dziesięć rubli - doradzała kobieta za nami. - Zaciśnij je w pięść i kiedy będziesz przy kasie, powiesz tylko „reszty nie trzeba”.

Zrozumiałas? Dostaniesz dwa paragony na całe dwa kilo! Powtórz, co masz robić.

Byłam dzieckiem pojętym i ochoczo powtórzyłam: „Reszty nie trzeba!” Misja uskrzydliła mnie i już znalazłam się pod drzwiami sklepu. Kiedy wychodziła kobieta z poprzedniej piątki, wśliznęłam się do środka. Serce mi tak łomotało, że słyszałam jego uderzenia za uszami. Ekspedientka przy drzwiach udała, że mnie nie widzi. Drobna i chuda, wyglądałam na młodszą niż w rzeczywistości i pewnie to rozbrajało ludzi: zabiedzone dziecko. Już stałam przy kasie. Wspinając się na czubkach palców, wyciągnęłam pięść z dziesiątką i powiedziałam szeptem jak wytrawna konspiratorka:

- Reszty nie trzeba.

Kasjerka złapała dziesiątkę, zakręciła korbką dwa razy i wręczyła mi dwa paragony. Byłam naprawdę szczęśliwa, patrząc, jak ważą moje dwa kilogramy cukru.

Babcia już czekała pod drzwiami i ruszyliśmy żwawo w przypiływie nowej energii.

Odwróciłam się w stronę ogonka: Był chyba dziesięciokrotnie dłuższy niż w chwili, gdy zajmowałyśmy w nim miejsce. Wiadomość o dostawie cukru szybko się rozniosła po okolicy. Zmarznięci ludzie kulili się pod murami. Gdzieś w środku ogonka zamajaczyła sylwetka starego śpiewaka z kina Komsomolec. Stał jak zawsze wyprostowany, z dumnie osadzoną głową na długiej szyi, w swoim przenicowanym, wytartym i trochę za obszernym ubraniu i jak zawsze, niezależnie od okoliczności, wyglądał wytwornie. Nie ulega wątpliwości, że on mi się w tej kolejce przywidział, bo przecież na ostrym, kłującym wietrze

nie mógł stać w samym garniturze. Ja marzłam nawet w palcie. Poza tym wieczór był ciemny, a ulica źle oświetlona. Mimo to patrzyłam w tamtym kierunku, wyciążając wzrok. Babcia pochwyciła moje spojrzenie.

- Podobno zostało już tylko półtora worka - powiedziała. - Nie doszłoby do nas.

Chciała podkreślić moją zasługę, ale tylko pogłębiła złe samopoczucie.

- Ci państwo, co stali obok nas, nic nie dostaną - szepnęłam. - I tak by nie dostali - westchnęła babcia.

Też posmutniała, ale chciała mnie pocieszyć.

- Tobie się należy bez kolejki, bo jesteś dzieckiem.

Myśli kłębiły mi się w głowie: Jeżeli mi się należy bez kolejki, to nie było żadnej zasługi... należy mi się tylko kilo... I wcale nie jestem taka mała, przecież chodzę do szkoły... Jak coś zbroję, wszyscy w krzyk: „Taka duża dziewczyna!” A teraz... Nie potrafiłam tego rozwikłać. Pierwszy raz w życiu odkryłam, czym są wyrzuty sumienia. Zabrałam komuś kilogram cukru.

Zestarzałam się, ciąży mi na sumieniu wiele gorszych grzechów, nabierało się ich tyle, że mam się czego wstydić do końca życia, ale ilekroć wspominam ten kilogram cukru, zabranego komuś pod tamtym sklepem, robi mi się niedobrze.

Nic już nie mówiłam babci. Wiedziałam, że jej też jest ciężko, bo przecież czuła się odpowiedzialna za moje wyrzuty sumienia. Pocieszała mnie przez całą drogę.

- Pomyśl, jak się mama ucieszy! Udawałam, że nic strasznego się nie stało.

- Jutro znowu pójdziemy, i może uda się nam kupić masło. I bułki!

- A może nawet parówki - powiedziała babcia, wiedząc, jak bardzo je lubię.

Parówki były szczytem moich marzeń.

W domu cukier przyjęto z entuzjazmem. Mama zaparzyła świeżą herbatę, a ojciec wyłączył radio, bo zapowiedzieli powtórkę opowiadania postępowego amerykańskiego pisarza o głodujących dzieciach bezrobotnego ze slumsów. Mocno osłodzona herbata miała nieprzyjemny, metaliczny smak.

- Chyba nie lubię słodkiej herbaty - powiedziałam.

- Prawdziwi smakosze piją tylko gorzką - potwierdził ojciec.

Wstrząsały mną dreszcze. Mama szybko położyła mnie do łóżka i zmierzyła gorączkę.

Przeziębiam się i do tego dostałam czerwonki. Ojciec trzymał zimną rękę na moim czole. Słowo „cukier” zabrzmiało nagle chropowato i nieprzyjemnie.

- Skąd się wzięło słowo sachar? - zapytałam ojca po rosyjsku.

- Od Sahary. Jest taka pustynia w Afryce. Ogromna pustynia, na której nic nie rośnie, bo cała jest z białego piasku. Ten piasek to właśnie cukier, czyli po rosyjsku sachar, W Afryce deszcze padają bardzo rzadko, ale wtedy cukier się topi, a potem, w upale, schnie i powstają wielkie cukrowe głązy... Biada wędrowcowi, który zapuści się na pustynię, w chwili gdy zaczyna się burza piaskowa. Wiatr podnosi całe chmury cukrowego piasku. Cukier skrzypi mu w zębach, zalepia nos i oczy... Niewolnicy-Murzyni pracują tam w straszliwym upale: Ładują piasek cukrowy do worków i wysyłają do różnych krajów. A dla tych, co lubią pić herbatę na prikusku, tną cukrowe głązy na kostki specjalnymi tarczami.

- Czy ta Sahara nie leży w Rosji? - zdziwiłam się.

- Nie... Jeszcze nie - odparł ojciec.

- To dlaczego jej nazwa pochodzi z rosyjskiego sachar? Ojciec zastanawiał się chwilę.

- Bo większość, a może nawet wszystkie nazwy wymyślili Rosjanie - powiedział z dziwnym uśmiechem. - Im szybciej to sobie przyswoisz, tym łatwiej ci będzie iść przez życie.

Mama patrzyła na ojca uważnie i też się dziwnie uśmiechała. Zamknęłam oczy.

Majaczyłam w takt rozkołysanej kolejki, składającej się z samych starców podobnych do śpiewaka z kina Komsomolec. Usiłowałam jodłować, ale mi nie wychodziło, więc śpiewałam na cały głos: „Rosja - kraj jedyny, w którym jestem młody i szczęśliwy!” A tata zmieniał okłady na moim rozpalonym czole.

Odtąd, ilekroć próbowałam słodzić herbatę, zawsze czułam jej gorzki, metaliczny smak. Zresztą w czerwcu czterdziestego pierwszego Hitler napadł na Związek Radziecki i cukier ostatecznie zniknął. Prawdopodobnie dlatego, że przerwało się połączenie z Saharą. Zamiast cukru dostawaliśmy na kartki zastępczą kurogę, czyli rodzaj drobnych suszonych moreli, albo powidła z buraków cukrowych o bardzo nieprzyjemnym, gorzkawym smaku. Ale nie w smaku tkwił problem. Chodziło o to, żeby w jeden dzień nie zjeść miesięcznego przydziału. Mama starała się, jak mogła, by starczył na kilka dni, wydzielając mnie i bratu mikroskopijne porcyjki do herbaty.

W niespełna rok po pokonaniu Hitlera otworzono w Tbilisi luksusowy sklep.

Nazywał się Osobtorg (Osobaja Targowla), czyli Sklep Specjalny. Tam, w wolnej od kartek sprzedaży, można było po cenach komercyjnych zaopatrzyć się w cukier, masło i zdumiewający kolorowym przepychem tort sojowy. Kilo tego tortu kosztowało tysiąc rubli; mniej więcej równowartość przeciętnej urzędniczej pensji. Cioci Maro udało się zbyć ostatni nadający się do sprzedaży mebel i po naradzie z mamą szarpnęła się na kilo cukru, żebyśmy się raz w życiu mogli nim najeść do syta. Wsypały cukier do miski i pozwoliły bratu i mnie

jeść go łyżkami do zupy. Nigdy nie widziałam tyle szczęścia w oczach Maro, jak wtedy, gdy patrzyła na nasze obżarstwo. Mojemu bratu rozkosz zamglila oczy.

Nie byliśmy w stanie zjeść wszystkiego, zbierało się nam na mdłości. Potem całą noc męczył mnie koszmar: Idę przez Saharę, a cukier zalepia mi nos i oczy. Obudziłam się chora. Twarz, szyję i uszy pokryły żółte liszaje. Długo nie mogłam się ich pozbyć. Od tej pory smak skrzypiącego w zębach cukru przyprawia mnie o ból głowy. Cukier w czystej postaci definitywnie wykreśliłam z jadłospisu.

W latach osiemdziesiątych, już w Polsce, znowu zobaczyłam kartki na cukier i ogarnęła mnie panika. Poczulałam się jak w pułapce. Ale w kilka dni później zadzwonili do nas krewni z wiadomością, że z zagranicy przysłano im pięćdziesięciokilowy worek tego cennego produktu. Byliśmy uratowani!

- Dlaczego się denerwujesz? - dziwił się mąż. - Przecież nie jadasz cukru.

Nagle zobaczyłam w myślach mrugającego do mnie Stalina i zaśmiałam się. Ale Stalin pogroził mi palcem.

- Wcale nie byłem taki głupi, jak ci się wydaje, moja droga - powiedział po rosyjsku z silnym gruzińskim akcentem. - Wiedziałem, co robię, kiedy zamknąłem granice i zlikwidowałem duchowieństwo! Żadnych paczek! Żadnych przesyłek przez parafie! Figa!

Żeby już skończyć z tym przesłodzonym tematem raz na zawsze, opowiem ostatni epizod z tego cyklu. Studiowałam wtedy w Moskwie i przyjechałam do Tbilisi na wakacje. Stalin już nie żył, a Chruszczow wygłosił na XX Zjeździe swój pamiętny referat, czym przyprawił ludzi o zawrót głowy i rozwiązał im języki. Na ulicy spotkałam daleką krewną.

- Ach! - ucieszyła się. - Podobno uczysz się w Szkole Filmowej? Wcale mnie to nie dziwi. Zawsze byłaś zwariowana na punkcie kina! Pamiętasz, nawet mnie wyciągnęłaś ze trzy razy na tego twojego Tarzana.

- Tak, w kinie Komsomolec - przytaknęłam. - A pamięta pani tego wychudzonego starca, który śpiewał, że może być szczęśliwy tylko w Rosji?

- Oczywiście, że pamiętam! - zawołała krewna. - Mieszkał kątem u moich przyjaciółek, sióstr Cichockich.

I poznałam losy tego człowieka.

Jego rodzice byli zruszczonymi nadwołżańskimi Niemcami, on zaś ożenił się z austriacką Żydówką, która wyemigrowała do Związku Radzieckiego jako ideowa komunistka. Zamieszkali w Tbilisi i parę lat przed wybuchem wojny urodziła im się córeczka. Kiedy Hitler zażądał od Stalina wydania mu swoich obywateli, żonę starego, jako obywatelkę Rzeszy, wysiedlono do Austrii, a jego samego zesłano na Syberię, ponieważ był obywatelem

radzieckim. Córeczkę prawdopodobnie oddano do domu dziecka i ślad po niej zaginął. Staremu udało się jakoś uciec z zesłania. Ledwo żywy dotarł do Tbilisi, tułał się i sypiał w bramach, w końcu nie wytrzymał i poszedł do znajomych, do sióstr Cichockich. Wpadł tylko się ogrzać i już został. Wymagało to ze strony sióstr dużo odwagi. Jedna z nich chorowała na gruźlicę i niedługo potem umarła. Kierownik kina, angażując starego na pewien czas, też ryzykował, ale przypuszczalnie należał do jakiejś sitwy, bo kino w tamtych czasach przynosiło niezły dochód. Myślę, że zgodnie z obyczajami ustroju niektórych seansów w ogóle nie wstawiano do planu. Płacił staremu grosze, chociaż ludzie często przychodzili wcale nie po to, żeby oglądać bajki o Leninie, tylko żeby posłuchać jodłowania. W końcu jednak zwyciężył strach i zwolniono go nawet z tej bardzo marnie płatnej pracy. Wszystko, co zarabiał, przynosił do domu i dokarmał siostry. Lecz gdy wybuchła wojna i na ulicach i targowiskach zaczęto urządzać łapanki na dezertów, nie mógł już bezkarnie krążyć po podwórkach, a tym bardziej śpiewać o Tyrolu, bo wszystkich Niemców, niezależnie od obywatelstwa, wysiedlano do Kazachstanu czy gdzieś tam dalej.

- Zresztą, sama wiesz - powiedziała krewna. - Kto by mu coś dał w czasie wojny?

Przyznałam jej rację. Teraz już rozumiałam, co miała na myśli mama, mówiąc, że stary wie, co śpiewać...

- Musiał czuć się strasznie upokorzony, śpiewając to, co śpiewał - powiedziałam głupio.

- Nie sądzę - odparła krewna. - Takie wyższe uczucia nawiedzają ludzi o pełnym żołądku. A on przecież umarł z głodu. Jako nielegalny, nie miał dokumentów, a więc i kartek. Bardzo mało dostawaliśmy na kartki, ale zawsze... Cały czas miał nadzieję, że dożyje końca wojny, kiedy nie będzie już „wrogiem”, i odnajdzie córeczkę. O żonie nie wspominał. Chyba rozumiał, że ta sprawa jest beznadziejna.

Przypomniały mi się jego zapadnięte policzki i pomarszczona twarz. Wyglądał na osiemdziesiąt lat.

- Jak on mógł mieć małą córeczkę? - zapytałam. - Taki stary... Krewna oburzyła się.

- Wcale nie taki stary! Kiedy zmarł, miał czterdzieści parę lat!

Gdy go aresztowali, był bardzo przystojnym mężczyzną. Prawdziwy Zygryd z Nibelungów! - dodała dla wzmocnienia efektu. - Nie wiem, co oni tam robią z ludźmi. I nie chcę wiedzieć...

Nagle zamajaczyła mi przed oczami kolejka po cukier. Bardzo wyraźnie zobaczyłam starego Niemca kulącego się pod murem i walczącego z wiatrem. Zobaczyłam, jak w kolejnej

piątce wpuszczają go do sklepu i jak dochodzi do kasy w chwili, gdy kasjerka zamyka okienko.

- Cukru już nie ma! Koniec! - krzyczy na cały głos.

Pogrzeb po gruzińsku

Pewnego razu odwiedził nas wujek Dawid, popatrzył na mnie z niesmakiem i rzekł:

- To dziecko wygląda jak rachityczna roślinka, zasadzona w piwnicy. Cienka żółta łodyga garnie się do okna, a na czubku kiwa się żałośnie zielona cytryna.

Mama przyznała mu rację i ogarnawszy gestem ręki nasz nędzny pokój w ciemnym kącie podwórka, powiedziała:

- A co innego może tu wyrosnąć?

Wujek zaproponował, że zawiezie mnie na wieś do swoich rodziców, żebym i staruszkom pomogła, i nabrała kolorów. Mama skwapliwie skorzystała z ponętnej propozycji, bo na prowincji mimo wszystko łatwiej wyżywić dziecko niż w mieście.

W ten sposób po raz pierwszy i ostatni znalazłam się na gruzińskiej wsi, u Rewaza i Mariny Benaszwilich.

Przyjechaliśmy o zmierzchu. Spotkanie z jedynym synem nie zrobiło na staruszkach wrażenia. Oboje byli zajęci skubaniem zdechłych kur. Z oczu Mariny kapały łzy.

Rewaz usiłował ją uspokoić.

- Popatrz na nieszczęście Wenery, ona miała dwadzieścia dwie kury, a musi wykarmić dużą rodzinę - mówił. - A nam padło tylko dziesięć.

- Co ty tam rozumiesz! - warknęła Marina. - Jakie to były kury! Perłowe i do tego nakrapiane! Karmione mamałygą i orzechami! O, ta na przykład! - Podniosła z miednicy pstrokatą, jeszcze nie oskubaną kurę. - Znosiła po dwa jajka dziennie!

Rewaz uśmiechnął się nieśmiało.

- Raz na jakiś czas...

Za dziurawym płótem, na sąsiednim podwórku, potężna Wenera o olbrzymim mięsistym nosie, prawie sięgającym górnej wargi, wraz z dwiema córkami też zajmowała się skubaniem. Nie wiadomo, co to był za pomór, bo na razie padł drób tylko w tych dwóch zagrodach. Reszta wsi przyglądała się temu ze zgrozą.

Ściemniło się i Rewaz wrzucił kury do jamy na śmiecie, w kącie pod płótem.

- Jutro zakopię - powiedział.

Wenera zaproponowała, żeby mimo wszystko je sprzedać na dalekim targu.

Zasiedliśmy na tarasie do smutnej wieczery.

O świcie obudziło mnie przerażające gdakanie. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie słyszałam. Oskubane kury, jakby wyjęte z rosołu, biegały po obu podwórkach, machając żałośnie beziopiórymi skrzydłami. Parzyły je pierwsze promienie sierpniowego słońca. To tak, jakby w garmazerii ożyły nagle kurczaki, wyłożone na ladzie do sprzedania. Było w tym zmartwychwstaniu coś mistycznego, graniczącego z cudem, i chyba dlatego łapano je z przerażeniem w oczach, zdając się na niezbadane wyroki Opatrzności. Zapewne walczyli z myślą, że oto w ich obejściu zdarzył się cud. Ale dlaczego przytrafił się kurom? Trzeba je było uśmiercić, żeby się nie upiekły żywcem na słońcu. Kiedy zarżnięto wszystkie i Marina zabrała się do patroszenia pierwszej z brzegu, z rozdętego ptasiego żołądka posypały się wiśnie.

- O... o... o! - jęknęła Marina i rzuciwszy się do płotu, wrzasnęła: - Wenera!

Chodź no tu!

U sąsiadów panowała głucha cisza. Po chwili pojawiła się Wenera.

- Odlewałaś wczoraj nalewkę na spirytusie! - tonem prokuratora stwierdziła Marina, oskarżająco wyciągając palec w jej kierunku. - I wrzuciłaś wiśnie do dziury pod płotem! Widziałam! To ty upiłaś moje kury i ty mi za to zapłacisz!

Wenera ocknęła się z milczenia i ruszyła do ataku.

- A trzymaj swoje przeklęte kury pod spódnicą! Niszczą mi pomidory i rozgrzebują grządki w ogrodzie!

Marina aż się zachłysnęła ze złości.

- A twoje nie łążą po moim ogrodzie?! Ty głupia babo! Teraz nastroszyła się Wenera.

- Sama jesteś głupia i mąż twój jest głupi, i syn! A załatajcie wy nareszcie ten płot, wtedy nie będą przełazić ani kury, ani nikt inny!

Tego już dla Mariny było za dużo.

- Dlaczego to my mamy łątać płot?! To twoja świnia go rozwalila! Ale co ty możesz rozumieć, skoro masz nawóz zamiast mózgu!

- Sama jesteś świnia, ty i cała twoja rodzina! - odkrzyknęła sąsiadka.

Syn Mariny, który mnie tu przywiózł, z zadowoleniem przysłuchiwał się dyskusji.

Prawdopodobnie stęsknił się w mieście za głosem mamusi.

- Wenera nie umywa się do matki, zobaczysz - szepnął.

- Żebyś przycięła sobie ten wstrętny nos bramą! - zawołała Marina. - Może ludziom przestałoby się zbierać na wymioty, kiedy na ciebie patrzą!

Nagle w drzwiach domu Wenery stanęła wygięta w znak zapytania, ledwie trzymająca się na nogach Agrafena.

- A żeby ci się wywalił z gęby ten przeklęty jęzor! - zasyczała starucha. -

Zwisałby pewno poniżej kolan! I żebyś go już nigdy nie mogła wciągnąć z powrotem!

Marina odwróciła się w jej stronę.

- Twoje miejsce dawno jest na cmentarzu, ale ani Bóg, ani diabeł cię nie chcą!

Własne dzieci doczekać się nie mogą chwili, kiedy będą cię oplakiwać!

Agrafena dała Marinie dokończyć kwestię, po czym, chwiejąc się na nogach, wyrzuciła z siebie:

- Ty wyschnięta ze złości córo wygłodniałego szczura! Nawet twój mąż brzydzi się ciębie dotykać! Spłodził z tobą jedno dziecko tylko dlatego, że go upiliście w dniu ślubu!

Wujek Dawid cmoknął.

- Ta jest naprawdę dobra! Gdyby nie miała stu lat na karku, mogłaby w pojedynkę rozłożyć każdego!

Starucha trafiła widocznie w najczulszy punkt Mariny, bo ta aż podskoczyła.

- A żebyś tak leżała w trumnie z nie heblowanych desek! Mąż ci napłodził dzieci, bo nic innego nie umiał, a że był ślepy i nos mu zarósł brudem, to nic mu w tym nie przeszkadzało!

Agrafena uśmiechnęła się złośliwie.

- Po co ci ten głupi mózdzek? Powinien był wylecieć tyłkiem, może byłabyś trochę mądrzejsza!

Chciała dodać coś jeszcze, ale naszedł ją atak kaszlu: Przecież stała już jedną nogą na progu śmierci.

Rewaz podbiegł do wyciągniętej jak struna, drobnej Mariny, pochwycił ją mocno w pasie, podniósł i ruszył z nią do domu.

- Wystarczy - powiedział łagodnie. - Ta stara wiedźma naprawdę gotowa umrzeć. W jej wieku nie wolno się tak złościć.

Marina nawet nie próbowała się wyrywać z objęć rosnącego Rewaza.

- Żeby cię śmierć zabierała tam i z powrotem kilka razy, zanim zaczniemy cię oplakiwać! - krzyknęła jeszcze, ale Rewaz już wniósł ją do domu i postawił na podłodze.

Natychmiast rzuciła się na niego.

- Nie ma z ciebie żadnego pożytku! Stary tchórz! Niech ja się podźwignę, wynosząc cię w trumnie! Nawet nie stanąłeś w mojej obronie! Sama o wszystko muszę walczyć, ja, schorowana, słaba kobieta! Z czego się śmiejesz?!

Rewaz rzeczywiście nie mógł powstrzymać śmiechu. Przykrył wąsy szeroką dłonią i zachichotał.

- Jakiego strasznego kaca musiały mieć te nieszczęsne kury! Gdybyś ich z chciwości, dla nędznego puchu nie oskubała, wytrzeźwiałyby i żyły sobie wesoło...

Marina chwyciła się za głowę.

- Nędzniku! Zdrajco! Nie chcę cię znać! I wybiegła z pokoju.

Następnego dnia o świcie Rewaz wziął zwłoki sześciu kur i pojechał na targ.

Marina i ja odprowadziłyśmy ich syna za kołchozowe pole. Dosta! dwie kury.

Dziewiątą zjedliśmy na obiad. To była najsmaczniejsza kura, jaką kiedykolwiek jadłam. Wiśnie z nalewki odegrały swoją rolę.

- Powiedz swojej żonie, że posyłam jej najlepsze kury. Nie co dzień rodzą się takie na gruzińskiej ziemi! - podkreśliła Marina wagę swojego подарunku.

- A co w nich takiego szczególnego, mamusiu? - zapyta! mój krewny z poważnym wyrazem twarzy. - Czy ukończyły wyższą szkołę partyjną?

Od tej chwili w domu Mariny nastały ciche dni. Nie odzywała się ani do męża, ani do sąsiadów. Mnie przypadła rola łącznika. Rewazowi ta sytuacja bardzo ciążyła, bo miał łagodne usposobienie i nie znosił konfliktów. Wzdychał raz po raz i ostrożnie usiłował zagadywać żonę. Ale obrażona Marina upodabniała się do wrzącego czajnika: syczała tylko i bulgotała.

I tutaj znów wtrąciła się Opatrzność. W trzy dni później starej Agrafenie nareszcie udało się umrzeć. Marina straciła główną rywalkę. Za jej życia nie mogła strawić, że starucha uchodziła za większą jędzę od niej. Bo Marina musiała być pierwsza. Odczuwała niejaką dumę, że cieszy się we wsi respektem, graniczącym ze strachem, i ludzie unikają z nią wszelkich sprzeczek. Ale w obliczu śmierci tradycja nakazuje żądło schować głęboko. Należy przywołać żałobny wyraz twarzy niezależnie od stosunku do zmarłego za jego życia. Tak to jest w Gruzji.

W dniu pogrzebu Marina umyła głowę i na tarasie, w pełnym słońcu, wysuszyła opadające do pasa, prawie całkiem siwe włosy. Później miała je ułożyć w kok, spinając tylko jedną szpilką, żeby we właściwej chwili niby to przypadkiem się rozsypały. Dobrze wyćwiczyła stosowny ruch głowy.

Rewaz ze swoim kumplem od wypitki wzmacniał rozchwiany płot, a ja, tuż obok, potrzasałam śliwą i zbierałam owoce, żeby pod naszą nieobecność nie zjadła ich krowa. Podgniłe śliwki wrzucałam do zakopanej w ziemi, chyba dwustulitrowej kadzi na daczę - siedemdziesięcioprocentową, wiejską wódkę, podobną w smaku do włoskiej grappy. Jesienią dorzucano tam niejadalne wionogrona.

Rewaz związał poprzeczną żerdź z pionową, spróbował zachwiać płotem raz i drugi i westchnął:

- Dziś chyba nie rozwali... Chodziło mu oczywiście o krowę.
- Czy nie opłaciłoby się go raz przyzwoicie naprawić? - zapytałam nieśmiało.
- Komu by się opłaciło? - szczerze zdziwił się Rewaz. - Nie ma głupich!

Nie rozumiałam.

- Przecież to wasz płot? Kompan Rewaza uśmiechnął się.
- A bo to wiadomo... Przyjdą i znowu wszystko porozwalają...
- Kto przyjdzie? - zdumiałam się.
- Czy ty z wysokiego orzecha spadłaś, dziecko? - oburzył się Rewaz. - Puknij się w głowę! Nie wiesz, kto nam przewrócił całe życie?

Kompan Rewaza patrzył na mnie z litością.

- Naczelniki z miasta przyjadą dyrygować i nie wiadomo, co im do łba strzeli - wyjaśnił. - Jak wtedy, gdy aresztowali naszego dziedzica.

Zdumiałam się jeszcze bardziej.

- Nie cieszyliście się, że go aresztowano? - zapytałam. - Przecież was wyzyskiwał i gnębił.

Widziałam, że spokojnego zazwyczaj Rewaza o mało krew nie zalała.

- Kto nas gnębił?! - krzyknął. - Poczciwy człowiek był! Sam żył i nam dawał żyć!

Nie to, co teraz. Gdzie są nasze orzechy?! Gdzie winogrona?

I Rewaz zaczął opowiadać, a jego kompan potakiwał, wzbogacając relację szczegółami. Po raz pierwszy się przekonałam, że życie nie wygląda tak, jak uczono nas w szkole. Kiedy zaczęto zakładać w Gruzji kołchozy, kazano rozebrać wszystkie ogrodzenia i zaorać miedze.

Rewaz zrobił szeroki gest ręką.

- Widzisz te dwie wsie na wzgórzu i tę niżej? Wszystkie należały do dziedzica.

Jedną od drugiej dzieliła polna droga, a po obu jej stronach rosły kiedyś drzewa: wysokie orzechy włoskie. Cień był, żeby człowiek mógł odpocząć, wiatry tak nie hulały na wiosnę, no i orzechów było w bród!

Trzeba tu wyjaśnić, że orzechy włoskie są niezbędnym komponentem kuchni gruzińskiej. Zastępują tłuszcz. Rozgniecione w drewnianym moździerzu z cebulą, czosnkiem i przyprawami, rozprowadzone octem winnym, stanowią podstawę większości sosów.

- Drzewa należały do dziedzica, ale zbieraliśmy orzechy, ile komu było potrzeba na całą zimę. Nikt nam nie liczył! - mówił Rewaz. - Mieliśmy pod dostatkiem kukurydzy i fasolki, suszonych owoców i wina...

- A oni przyjechali traktorem i kazali wykarczować winorośle, szczepione z dziada pradziada. Wiesz, ile trzeba lat, żeby wyhodować szlachetne odmiany? - wtrącił się rozżalony kompan Rewaza. - Wycięli też wszystkie drzewa wzdłuż miedzy! Kazali siać pszenicę, bo kolchoz musiał wykonać plan dostaw zbożowych.

Komisarz stał nad głową i pilnował. Ale pszenica nigdy tu nie chciała rosnąć i dla komisarza nie zmieniała swoich zwyczajów! Tu rosną granaty i figi, hurmy i pomidory, wielkie jak talerz i słodkie jak jabłka. No i sadziliśmy tu kiedyś kukurydżę. Teraz znowu pozwalają ją sadzić, odkąd komisarza zabrali tam, skąd przyjechał!

Ucieszyłam się. Musiałam ratować cokolwiek z tego, czego uczono nas w szkole.

- Wiadomo - bąknęłam - były błędy i przegięcia... Ale teraz przecież znowu jest dobrze...

Rewaz spojrzął na mnie badawczo.

- Komu jest dobrze? - zapytał. - Owszem... dobrze, że mieliśmy siłę to wszystko wytrzymać i nie zdechliśmy z głodu! Tylko co tu na tym skrawku wyhodujesz? -

Wskazał ręką ogród i podwórko. - Idź na pole kolchozowe, zobacz, co im tam rośnie!

Widziałam, co im rosło: rachityczna kapusta, obgryzana przez kozy, jakaś żalonna kukurydza, po której smętnie pięła się pożółkła fasolka. Teraz nabrałam pewności siebie.

- Trzeba pracować! I pilnować! Kiedy nikt się nie przykłada, to nic nie wyrośnie!

- pouczałam ich z przekonaniem.

- A kto ma pracować na cudzym? - spytał kompan Rewaza, patrząc na mnie z ironią.

- To przecież wasze! - zapewniłam go całkowicie pewna swego.

- Gdzie nasze?! Jakie nasze?! - Kompan Rewaza nie mógł wyjść ze zdumienia. - Co tylko wyrośnie, zaraz ładują na wozy i wywożą! Nasze!

Machnął ręką. Rewaz zerknął w stronę tarasu. Mariny już nie było, przebierała się w sypialni.

- Już czas. Odwiąż krowę.

I poszedł do domu zmienić spodnie.

Szybko zaczęłam wkładać czarną sukienkę, którą Marina naprędce uszyła ze swojej starej spódnicy.

- Nie spiesz się tak - powiedziała z kamiennym wyrazem twarzy. - Niech się tam zbierze więcej ludzi...

Wyglądała jak primadonna przed wyjściem na scenę.

W domu zmarłej słychać już było zawodzenie kobiet. Dwa kroki przed otwartą na oścież bramą Marina przystanęła i przypatrywała się wieśniakom, stojącym w grupkach na tarasie, schodach i pod drzewami. Szykowała się do efektownego entree! Bezblędnie wyczuła chwilową przerwę w głośnych lamentach, wzniosła pięści ku niebu i donośnym głosem, o który trudno było podejrzewać tę drobną kobietę, krzyknęła, a raczej zapiała:

- Boże! Co ci ludzie tu robią? Dlaczego tu jesteście? Co robicie, nieszczęśni?!

Dlaczego stoicie w tych ciemnych ubraniach?!

Zaskoczeni, odwrócili się ku niej. Marina tylko na to czekała. Zniżyła głos do szeptu.

- Powiedzcie, że to nieprawda! Powiedzcie, że to koszmarny żart! To przecież niemożliwe, żeby w tym wesołym, świętym domu ktoś zmarł! - Podniosła głos o dwa tony. - Pocieszcie mnie! Pocieszcie! Wyprowadźcie z błędu!

Stojący na tarasie rozstąpili się i w progu stanęła Wenera, cała w czerni.

- Och, Marino! - wrzasnęła. - Czarny dzień dla nas nastał! Nieszczęście nawiedziło nasz dom! Chodź tu, płacz razem z nami! Ulżyj sobie, bo nas już nic pocieszyć nie może.

Marina postąpiła dwa kroki i zatrzymała się tuż za bramą.

- Boże! Dlaczego pozwoliłeś mi dożyć tej strasznej chwili?! Ja tam nie wejść!

Nie przestąpię progu tego domu! Serce mi pęknie, jeżeli zobaczę ją w trumnie! - wołała dramatycznie.

- Chodź do nas, ciociu Marino! Ona cię kochała - szlochały wnuczki zmarłej.

- Nasze łzy nie potrafią jej wskrzesić - zawtórowały im prawnuczki. - Może kiedy ciebie zobaczy, to wstanie.

Marina postąpiła jeszcze krok i uderzyła się dłońmi w skronie. Zgodnie z planem jej puszyste włosy rozsypały się na ramiona i zasłoniły pół twarzy, a ona z okrzykiem - „Zabijcie mnie! Zabijcie mnie!” - padła na kolana i zaczęła bić głową o ziemię. Musiałoby to być bardzo bolesne. Na szczęście stałam tuż obok i spostrzegłam, że sprytnie podkłada pod głowę otwarte dłonie. Zaraz podbiegło kilku mężczyzn, pochwycili ją i zawlekli na taras. Płacząc, Marina i Wenera padły sobie w ramiona. Córki, wnuczki i prawnuczki szlochały coraz głośniejsze, wtórowała im reszta rodziny i przyjaciele.

- Mamusiu kochana, ty byłaś jak wielkie drzewo, które daje spokój i ochłodę!

Było nam dobrze w twoim cieniu, było nam błogo! - szlochała młodsza córka nieboszczki.

- Nie docenialiśmy cię za życia! Nie pilnowaliśmy, jak należy! - dodała Wenera.

- Byłaś dobra i sprawiedliwa! Byłaś naszym światłem! - usiłowała przekrzyczeć Wenerę wnuczka.

- Byłaś najlepszą z przyjaciółek! - wpadła im w słowo sąsiadka. Marina stała z opuszczoną głową. Czekwała na swoją kolej. Nagle zabrzmiały dźwięki kapeli.

Najpierw, nieco fałszując, zagrała Marsza żałobnego Chopina, potem, znacznie sprawniej, arię Abiesaloma z gruzińskiej opery Abiesaiom iEtieri. Była to muzyka rzewna, wyciskająca łzy nawet z najbardziej zatwardziałychem oczu. Zapłakali więc zgodnie wszyscy, rozległy się głośne westchnienia i jęki. Kiedy kapela zagrała swoje i zaległa cisza, Marina oderwała ręce od oczu i uderzając się w piersi, wyrzuciła z siebie najgłośniejsze, jak umiała:

- To moja wina! Możecie mnie wszyscy potępić! Przeze mnie ta poczciwa kobieta przedwcześnie zesłała z tego świata!

Skupiły się na niej zdumione spojrzenia zebranych.

- Byłam zła i kłóciłam się z tobą, moja ty najukochańsza przyjaciółko! Byłaś aniołem, a ja skróciłam ci życie! Niech uschnie mój przeklęty język!

Jeden z sąsiadów aż cmoknął z zachwytem. Wachl - wyrwał się komuś okrzyk podziwu.

Wnuczkom z zadości odebrało mowę. Córki rzuciły się ratować honor rodziny.

- Nie byliśmy dobre dla ciebie! Często się sprzeciwialiśmy twojej woli!

- Wybacz nam, matko! Daruj!

Ale to było tylko nędzne naśladownictwo. Spostrzegłam wyraz triumfu na twarzy Rewaza. Teraz Marina usunęła się na bok i taktownie zamilkła, chowając twarz w dłonie i szlochając. Odstąpiła scenę bliższemu krewnemu. Znowu zagrała kapela i przy dźwiękach żałobnej muzyki i łkania zebranych zaczęto wyprowadzać zwłoki.

Przodem dwóch wyrostków niosło powiększone i ręcznie pokolorowane zdjęcie zmarłej sprzed czterdziestu lat: Odmłodzona nieboszczka groźnie patrzyła na żałobników. Prawdziwa jędza z piekła rodem. Dalej szli chłopcy z wieńcem od najbliższej rodziny, za nimi powiewała wstęga wieńca od przewodniczącego kołchozu i wiejskiego kolektywu. Wreszcie czterech osiłków niosło otwartą trumnę.

Staralam się być od niej jak najdalej. Ale nieboszczyk w jakiś tajemniczy sposób przyciąga wzrok wbrew woli. Zmarłą przykryto kwiatami. Widać było tylko ciemne, skrzyżowane na piersi dłonie i podwiązaną chustką twarz; jakby ją bolały zęby.

Chodziło o to, żeby nie opadała szczeka. Za trumną szli wszyscy w głębokiej czerni: córki, wnuczki i prawnuczki, cała wieś, a na końcu znajomi i nieznajomi z sąsiednich wiosek, którzy korzystali z okazji, żeby wypłakać własne nieszczęścia. Ocierając łzy, procesja dotarła na cmentarz - najpiękniejsze miejsce w okolicy, ponieważ nie dotknęła go na szczęście

rewolucja październikowa: Zatrzymała się przed bramą. Mur z kolorowego piaskowca wił się zygakiem po stoku. W jego szczelinach rosła trawa i mech. Zakwitły właśnie koronkowe drzewa mimozy, przypominające ogromne różowe dmuchawce. Wysokie cisy wystrzeliwały pod niebo.

Kondukt doszedł do wykopanego zawczasu grobu. Postawiono trumnę na ziemi i przykryto wiekiem. Mężczyźni mocno trzymali swoje kobiety, by w zapale nie wpadły do grobu. Zawodzeniom nie było końca. Kiedy trumnę zasypano ziemią, nagle wszystkim zaczęło się bardzo spieszyć na kelech, czyli stypę.

Sąsiadki, które zostały w domu zmarłej, rozstawiły pod drzewami suto zastawione stoły. Do uczyty mieli prawo wszyscy. Od paru dni dwaj najbardziej szanowani w wiosce starcy chodzili po domach i zbierali datki, w naturze i w gotówce.

Pieniądze ułatwiły rodzinie kupno trumny i miejsca na cmentarzu. Coś w rodzaju towarzystwa ubezpieczeń wzajemnych. Nikt się nie uchylał od wsparcia i dlatego każdy mógł się czuć pełnoprawnym uczestnikiem stypy. Chłodne wiejskie wino lało się strumieniami, mężczyźni pili z rogów i wygłaszali toasty ku czci zmarłej, wychwalając jej cnoty. Kobietom, jak wiadomo, alkoholu pić nie wypada. Zaglądały więc tylko czasami do kuchni, by zwilżyć usta i w ten sposób ugasić ból.

Z początku żałobne, pełne czci treny pod wpływem wina stawały się coraz weselsze.

Biesiadnicy uznali, że uczynili zadość świętej pamięci zmarłej jędzy, i zaczęli sobie nawzajem życzyć wszystkiego najlepszego. Padały coraz frywolniejsze dowcipy. W pijackim rozgwarze ktoś zaintonował żartobliwą piosenkę, a słaniający się na nogach młodzieniec usiłował zatańczyć. Żałobnicy ryczeli ze śmiechu.

Przerażone, raczej trzeźwe kobiety próbowały wyciągnąć mężów do domu.

Kiedy wracaliśmy, świecił księżyc, a mocno podpity, ale twardo trzymający się na nogach Rewaz, powiedział do żony:

- Byłaś dziś najlepsza! Jestem z ciebie dumny! Marina kroczyła godnie i nie odpowiedziała.

- Jesteś prawdziwą artystką! - dodał po chwili. - Kiedy rzuciłaś się na trumnę z krzykiem: „Wstań! Pokłóć się ze mną! Boże, zostałam sama! Nie mam już godnego przeciwnika! Wstań! Albo niech nas pochowają razem”, Niko trącił mnie łokciem i szepnął: „Ona jest niezrównana!”

Marina w dalszym ciągu nie reagowała na pochlebstwa. To była twarda kobieta. Ale kiedy kładliśmy się spać, gasząc jak co dzień naftową lampę, nie wypowiedziała swojego sakramentalnego: „Oby tak zgasło życie Rewaza Benaszwilego!”

Wiele lat później, już jako studentka Instytutu Filmowego w Moskwie, zawsze przyjeżdżałam na wakacje do domu, do Tbilisi, i jak najwięcej czasu starałam się spędzać w Goskinpromie, co w dosłownym tłumaczeniu znaczy Państwowy Przemysł Filmowy. Przygotowywałam sobie grunt pod przyszłą praktykę i pracę dyplomową.

Najzyczliwszy «okazał się młody, bardzo przystojny redaktor Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Kroniki (przystojni mężczyźni rzadko bywają wredni).

Zaprzyjaźniliśmy się. Zanim zrobiłam dyplom, pozwolił mi nakręcić dwa wydania kroniki młodzieżowej Pionieńa (odpowiednik ówczesnej Polskiej Kroniki Filmowej).

Po pewnym czasie, zadowolona już w Kronice, zaproponowałam redaktorowi, że nakręcę krótkometrażówkę pod tytułem: „Pogrzeb po gruzińsku”. Zerknął na mnie podejrzliwie i warknął: „Nie!” Próżno go przekonywałam. Nic z tego. Bardzo mnie to dziwiło, bo minęło już trochę czasu od śmierci Wodza Narodów i od XX Zjazdu, ludzie stopniowo przestawali się wszystkiego bać i na coraz więcej sobie pozwalali. Zresztą temat w żaden sposób nie zahaczał o politykę i wydawał się całkiem niewinny.

Pożaliłam się koledze ze studiów, że redaktor zachowuje się niezrozumiale.

- Daj spokój! - wybuchnął. - To przecież Ormiaszka! Tego rodzaju argumenty nigdy do mnie nie przemawiały.

- A gdyby nawet, to co? - zapytałam.

- Nic nie rozumiesz! - pieklił się kolega. - Zmienił końcówkę nazwiska, żeby brzmiało jak gruzińskie, a takich pseudo-Gruzinów różnych narodowości wtyka nam wszędzie Moskwa na kluczowe stanowiska, żeby byli dyspozycyjni i niszczyli gruzińską kulturę!

Oburzona, odrzuciłam tę myśl, ale ona krążyła, powracała... Czy ten zarzut może dotyczyć redaktora? Nie uważałam go za tchórza, bo w roku 1956, kiedy wybuchło powstanie na Węgrzech i upadł stalinizm w Polsce, zbieraliśmy się codziennie rano w jego gabinecie i przekazywaliśmy sobie szeptem nowe wiadomości, usłyszane w BBC, w Głosie Ameryki i w Wolnej Europie, a zamiast „dzień dobry”, po uprzednim sprawdzeniu, czy nie czuwa gdzieś w pobliżu nasz dysponent, mówiliśmy: „Boże, chroń Węgrów i Polaków” - na co redaktor z ni to ironicznym, ni to konspiracyjnym uśmiechem odpowiadał: „Amen!” Raz nawet posunął się do tego, że przyniósł dużą butelkę czerwonego wina i wypiliśmy za zdrowie Węgrów i Polaków. Pech chciał, że nakrył nas na tym dysponent. Staruszek miał koci chód i podsłuchiwał, gdzie się dało. Gdy zamarliśmy ze szklankami w rękę, przytomny redaktor nagle szeroko się uśmiechnął i zaczął wylewnie dziękować starcowi za to, że podrzucił nam to pyszne wino. Tamten spurpurowiał z oburzenia i aż się zapluł, dowodząc, że to nieprawda.

Stwierdziliśmy zgodnie, że widzieliśmy na własne oczy, jak się skradał, przemycając dla nas ten wspaniały trunek. Dygotał ze złości, ale tym razem bał się donieść, gdzie trzeba.

Kiedy zaczęłam kręcić pierwszą Pionierę, redaktor przydzielił mi operatora, cieszącego się w wytwórni opinią największego tchórza. Starszy, z zaczerwienionymi oczyma, wyglądał na kogoś, kogo bez przerwy boli brzuch.

Konflikt wybuchł pierwszego dnia na planie. Chciałam nakręcić bardzo duże zbliżenie: oczy dziewczynki na cały ekran. Najpierw się bronił, że z naszą techniką nie da się tego zrobić. Kiedy mu udowodniłam, że i owszem, da się, uparł się jak osioł.

- Jak to?! Chcesz pokazać człowieka z odciętym czołem?! Zażartowałam, że to jeszcze nie jest człowiek, tylko dziecko, ale Rafik (bo tak miał na imię) obstawał przy swoim.

- To jest nasza, radziecka uczennica! Nasza pionierka! Nie wolno jej okaleczać nawet na ekranie. Musi mieć czoło i brodę. A w ogóle to nie namawiaj mnie do formalizmu! Ty sobie pojedziesz do tej swojej Moskwy, a mnie tu będą ciągać po gabinetach!

Przerwałam zdjęcia i tego samego dnia w obecności Rafika i innych operatorów urządziłam redaktorowi awanturę, i zażądałam zmiany ekipy. Rafik stał w kącie i uśmiechał się, zadowolony.

- On mi się nie daje rozwijać! - zawołałam patetycznie.

- O to właśnie chodzi. - Redaktor uśmiechnął się, niewzruszony. - Powiedz jej! - zwrócił się do Rafika.

- Coś ty! Jeszcze nie zwariowałem! - zachnął się Rafik. - Tu ściany naprawdę mają uszy!

Redaktor machnął ręką i tę samą propozycję złożył innemu operatorowi.

- Nie chcę tego słuchać! - wrzasnął Rafik, zakrzuszył się i wybiegł z gabinetu.

No i zaczęło się uświadamianie naiwnej studentki. Nie ma sensu wszystkiego powtarzać, bo się rozgadali na całego. Cofnęli się do czasów, kiedy w ZSRR jeszcze nie było szkół filmowych, a w Tbilisi już powstała Kronika. Operatorów werbowano spośród miejscowych fotografów od ślubnych portretów. Dostali kamerę i musieli kręcić „tematy”. Kadry z tamtych lat nie grzeszą zazwyczaj ani dobrą kompozycją, ani jakością, ale fotografowie wylazili ze skóry, żeby ukazać wielkość epoki stalinowskiej. Jednego z nich kosztowało to życie. Nazwijmy go Sandro. Był to człowiek niemłody, władze darzyły go zaufaniem i dlatego powierzono mu bardzo ważny temat. W górach powstawał pierwszy kolchoz, gdzie rozkręcano wzorcową hodowlę owiec. Należało pokazać gruziński przykład pracy stachanowskiej w kolektywnym rolnictwie. Sandro dobrze rozumiał ciężar odpowiedzialności. Kazał przewodniczącemu spędzić owce z całej okolicy, również od

prywatnych hodowców. Niezmierzone morze owiec, aż po horyzont! W tym miejscu, jak wszędzie w tamtych czasach, postawiono ogromny pomnik Stalina. Wódz ludzkości królował na tle nieba i chmur na najwyższej górze. Uradowany Sandro postanowił nakręcić film swojego życia: wielki Stalin i bogactwo kolchozu!

Wrócił wielce zadowolony z siebie i z dumą czekał na przegląd materiału. W sali projekcyjnej zebrali się koledzy operatorzy i politycy - szefowie Kroniki.

Zaczęła się projekcja i nagle powiało grozą: Na ekranie ukazał się tłum owiec, stłoczony wokół pomnika Iosifa Wissarionowicza! To nie wszystko. W trakcie zdjęć nadciągnęły chmury i Stalin, otoczony rzeszą baranów, stał bez głowy. Zebrani opuścili salę w pośpiechu. Tego dnia Sandra widziano po raz ostatni.

Niedługo potem zniknął następny operator. Tym razem nie chodziło o zdjęcia. Ktoś go zapytał, dlaczego jest taki chudy, a on odpowiedział, że taka konstytucja, i już było po nim. Później zniknęło paru innych kolegów, ale ci sobie na to zarobili po godzinach pracy.

Redaktor podsumował wszystkie dykteryjki.

- Czasy może się zmieniły, ale kierownictwo zostało to samo i oni do dziś się trzęsą jak Rafik. Mam ryzykować swój redaktorski fotel dla twojego głupiego temaciku? W dodatku pogrzebu jej się zachciało! - Wskazał mnie kolegom. - Może i popa skądś wytrzaśniesz? Diabli wiedzą, co tam nakręcisz!

A jednak był chyba człowiekiem porządnym jak na te czasy, bo nigdy nie awansował.

Nie ufano mu.

W parę lat później, kiedy od dawna mieszkałam w Polsce i przyjechałam w odwiedziny do matki, spotkałam go przypadkowo na ulicy. Nie był już szefem Kroniki. Teraz mogłam go zapytać, dlaczego odrzucił mój temat o gruzińskim pogrzebie.

- Nie jesteśmy Włochami ani Francuzami - powiedział poważnie. - Jesteśmy bardzo małym, nieszczęśliwym narodem i nie stać nas na autoironię. Ja cię znam, zrobiłabyś z tego zgrywę albo satyrę, co wykorzystaliby nasi okupanci, żeby się naśmiewać. Patrzcie, jaki zacofany, dziki naród! A przecież tak nie jest. Czy ty wiesz, że w całym Związku Radzieckim najwyższy procent ludzi z wyższym wykształceniem przypada na Gruzję?

- Wiem - potwierdziłam i zrobiło mi się bardzo smutno. Dodam tylko, żeby już raz na zawsze rozprawić się z tematem pogrzebów, że parę lat później, kiedy umarł mój ojciec, matka powiedziała do brata i do mnie:

- Mam nadzieję, że nie zrobicie z tego pogrzebu widowiska. Ojciec przewróciłby się w trumnie. Płakać będziecie później!

Byliśmy tego samego zdania i trzymaliśmy się bardzo godnie, bez szlochów i jęków, jak przystało na cywilizowanych mieszkańców metropolii. Ale długo potem odczuwaliśmy jakąś pustkę. Ciężła nam świadomość źle spełnionego obowiązku...

To, o czym opowiadam, dawno przeminęło i nie jestem pewna, czy tradycja gruzińskich pogrzebów przetrwa czas jakiś nawet na wsi. Rośnie nowe pokolenie.

Im pewno już się spieszy do telewizorów na kolejny odcinek głupiego serialu. A kiedy przyjdzie nas grzebać, zaczną przestępować z nogi na nogę i marzyć, żeby jak najszybciej zasypano trumnę. Na cmentarzach zalegnie prawdziwie grobowa cisza i nikt nie będzie nas oplakiwał.

Pierwsza miłość

W latach młodości mojej babci, a może jeszcze dawniej, mawiano w Gruzji, że człowiekowi gość jest potrzebny jak powietrze. Ale... jeżeli powietrze wejdzie i nie wyjdzie, człowiek może się zadusić.

Niestety, coraz więcej nieproszonych gości zostaje w Gruzji na stałe. Gdy tylko staramy się uwolnić od jednych, żeby się nie udusić, inni, za namową tych pierwszych, wysuwają żądania autonomii, choć stanowią znikomy procent ludności na obszarze, który chcą zawłaszczyć.

Byłam jeszcze dzieckiem, kiedy ojciec wytłumaczył mi, dlaczego wszyscy usiłują podbić naszą ojczyznę.

- Dawno, dawno temu Bóg przydzielał różnym narodom ich miejsce na Ziemi. Swoim zwyczajem Gruzini ucztowali i spóźnili się na tak ważną dla nich chwilę... I Bóg ukarał ich w sposób po bosku wyszukany. Ponieważ zdążył już podzielić całą Ziemię, dał im niejako spod lady malutką, najpiękniejszą resztówkę, którą zamierzał zatrzymać dla siebie. Odtąd nie mamy ani chwili spokoju. Ze wszystkich stron szarpią nas zazdrośni sąsiedzi, żeby nam wydrzeć, jeśli nie całą Gruzję, to choćby jej kawałek. Jest nas bardzo mało. Nie możemy walczyć ze wszystkimi, o wiele potężniejszymi najeźdźcami. Prędzej czy później nas pożrą.

Nie przeszkadzała nam nigdy wielobarwność i wielojęzyczność hałaśliwych, gestykujących mieszkańców Tbilisi. Z czasem polubiliśmy nawet nieproszonych gości.

W roku 1941 Hitler napadł na ZSRR, jego wojska dotarły do Kaukazu i tu się zatrzymały. Nie udało im się przekroczyć naszych wysokich gór, ale nam się zdawało, że w Tbilisi stacjonuje cała Armia Czerwona. Pojawiło się też mnóstwo obdartych, głodnych i bosych uciekinierów. Nocowali tłumnie na dworcach, w parkach i pod ścianami domów. Oficerów z rodzinami i uciekinierów wtłaczano do mieszkań tubylców. Ci, dusząc się w małych klitkach, musieli się jeszcze bardziej ścisnąć.

Nam nikogo nie dokwaterowano, bo mieszkaliśmy w jednym maleńkim pokoju bez łazienki i bez kuchni. W sąsiednich mieszkaniach stacjonowało już dwóch rosyjskich oficerów z rodzinami, a do dziesięciometrowego pokoiku chwilowo nieobecnego Zuraba Kikwadzego (nigdy nie wrócił, zginął na którymś z frontów) tymczasowo wprowadziła się rodzina uciekinierów z Odessy. Nie sposób ustalić, ilu ich się tam gnieździło, bo często nocowały dodatkowe osoby. Ale na stałe mieszkało co najmniej siedem osób.

Fascynowały mnie w tej rodzinie dwie postacie: Jurna i Sara. Sara miało około dwudziestu lat. Jej piękne kasztanowe włosy, według ówczesnej mody zwinięte w rulonik na dole, zwisały do ramion. Oczy błyszczały szafirem. Nigdy nie widziałam takich granatowochabrowych źrenic. Całą jesień chodziła w blad różowej jedwabnej sukience, opinającej jej sterczący brzusek. Przypominała zachodnią gwiazdę filmową z pocztówki.

Zbieraliśmy fotki gwiazd, mimo że nie znaliśmy nawet ich nazwisk, bo filmy, w których grały, nie docierały do nas. Zakochałam się w Sarze od pierwszego wejrzenia. Chcąc ją we wszystkim naśladować, zaczęłam chodzić z wypiętym brzuchem. Zastanawiało mnie, jak ona utrzymuje swoją różową sukienkę w idealnej czystości, bo przecież nie miała ani mydła, ani gorącej wody. Zresztą wodę często wyłączano. Chodziliśmy po nią na cudze podwórka, gdzie ledwie ciekła z kranu. Sara należała już do świata dorosłych. Nie zwracała na mnie uwagi, nie wiem, czy w ogóle zauważyła, że istnieję. Nie mieszkała w pokoiku na piętrze, często nocowała u sióstr swojej matki, Rywy i Firy, bo widocznie w mieszkaniu rodziców panował jeszcze większy tłok. Jurna, syn Rywy, był ode mnie starszy tylko o kilka lat. Na okrągłej śniadej buźce zaczynał mu się sypać wąs, a orzechowe oczy patrzyły spod ciężkich powiek beznamiętnie i ospale. Zamyślony i bardzo tajemniczy, sprawiał wrażenie człowieka, który niczego dokoła nie dostrzega. Tak samo małowówny jak jego ojciec Rywin, od razu stał się autorytetem dla chłopców z naszej ulicy. Nie skończyłam jeszcze dziewięciu lat, ale już się w nim nieprzytomnie zakochałam. Wypatrywałam go z okna, zapominając nawet o głodzie. Marzyły mi się różne bohaterские czyny. Bombardują nasz dom, a my z Jurną wychodzimy na dach, wyłapujemy bomby i rzucamy je na środek podwórka, a potem zbiegamy na dół, zasypujemy je piaskiem i wszyscy nam dziękują. Tbilisi uniknęło bombardowań (w tym też miałam szczęście), więc nie wydawało mi się to wszystko aż takie groźne. Po domach przeprowadzano szkolenie przeciwlotnicze.

Dowiedziałam się, że są różnego rodzaju bomby: zapalające, odłamkowe, chemiczne i „fugasne” (do dzisiaj nie wiem, co to znaczy). Uczono mamę je rozróżniać.

Podobno Niemcy najczęściej zrzucali zapalające. Dostarczono nam nawet skrzynie z piaskiem i szczypce, żeby je łapać i gasić. Przygotowani w ten sposób, mogliśmy już bomb

się nie obawiać. Ale mnie się śniły pożary, krew i śmierć za radziecką Ojczyznę! Wyobrażałam sobie, że Niemcy wkraczają do Tbilisi, a my z Jurną i wszystkimi chłopcami z podwórka - oczywiście pod dowództwem Jumy - ostrzelujemy się i unicestwiwszy wroga granatami, wycofujemy się w góry. Jurna jest ciężko ranny, większość bohaterskich chłopców zginęła w walce. W górach opatruję im rany i przynoszę jedzenie, które wykradam z obozu wroga. Kiedy są zdolni do walki, ruszamy do natarcia, gromimy faszystów i zwyciężamy! A wtedy...

Ooo!... Sam Stalin przypina nam na piersiach złote gwiazdy bohaterów Związku Radzieckiego i order Lenina, a nasze fotografie ukazują się we wszystkich gazetach. Nauczyciele, którzy mnie dotąd krzywdzili, rzucają się z przeprosinami.

Z Jumą, dla Jurny i za Jumę gotowa byłam iść w ogień! Niestety, on nawet nie spojrzał w moją stronę. I nic dziwnego: Byłam brzydka, piegowata i niedomyta. A już całkowicie dyskwalifikował mnie brak butów. Niedościągłe marzenie. W lecie chodziłam boso, ale w zimie trzeba przecież coś włożyć! Matka wyciągnęła z kąta stare wysokie buty ojca, które prosiły jeść (tak mówiliśmy o butach z rozdziawioną jak paszcza podeszwą). Sąsiad, bo szewc nie chciał ich naprawić, przymocował podeszwy drucikami do zniszczonych cholewek, a mama włożyła do środka ocieplenie, czyli plik gazet z niezliczonymi podobiznami Stalina, i kazała mi w tym chodzić. Myślałam, że umrę ze wstydu.

- Nie rób problemu z bzdur - powiedziała. - Nie bądź mieszczką! Kogo ty chcesz kokietować w twoim wieku?

Aż się zakrztusiłam z goryczy. Co ona mogła wiedzieć!

Tej zimy często widywałam ludzi leżących pod murami. Nie wiedziałam, czy śpią, czy zasłabli, czy może umarli. Zdawało się, że nikt się nimi nie interesuje. W nocy znikali, a na ich miejsce pojawiali się inni. Czasem osuwali się na ziemię i tak tkwili bez ruchu. Większość szkół zamieniono na szpitale, ranni leżeli stłoczeni na korytarzach. W mojej szkole zajęcia odbywały się na cztery zmiany.

Nawet w piwnicach urządzono klasy i siedzieliśmy po czworo w jednej ławce.

Pisaliśmy, przyciskając łokcie do piersi. Nasza wychowawczyni podlizywała się dzieciom szweców i ekspedientek sklepów spożywczych (w innych i tak nie było). Na początku roku szkolnego sporządziła dokładny spis uczniów z adresami miejsc pracy rodziców. Nie miałam podręczników ani zeszytów, odrabiałam lekcje na przerwach, pożyczając książki od zamożniejszych koleżanek. Cóż z tego? Nawet gdy znałam materiał na pamięć, obrywałam dwóje. Trójka stała się szczytem moich możliwości. Większość nauczycielek mną gardziła.

Pewnego razu wychowawczynie o mentalności policjantki wezwała mnie do tablicy i wskazując na ogromne, rozdeptane buty ojca, powiedziała:

- Spójrzcie na nią! To przecież strach na wróble! Jestem wdową, ale mój syn zawsze ma wszystko! Co sobie myśli twoja matka?! - grzmiała. - Dlaczego nigdy się u mnie nie pojawiła?

Paliłam się, ze wstydu.

- Mama jest chora - wymamrotałam.

- Bardzo wygodnie zasłonić się chorobą! - syknęła. - Każdy chce się wykpić od obowiązków! Umarłabym ze wstydu, gdyby mój syn chodził tak zaniedbany!

Wszyscy wiedzieli, że wyciąga od sprzedawców o wiele więcej nafty, niż wynosi przydział, a więc może grzać wodę i kąpać synka w balii nawet co tydzień! Mogła się naśmiewać z mojego karykaturalnego stroju, bo ojciec naszej koleżanki, księgowy z NKWD, dorabiał wieczorami, szyjąc po kryjomu buty, w które zaopatrywał nauczycielkę i jej syna. Potrafiła wydusić wszystko! A moja biedna mama, pracownik Komitetu Ochrony Zdrowia, zarabiała równowartość siedmiu i pół kilograma chleba, sprzedawanego nielegalnie na targu. Chleb wyglądał jak kit i podobnie smakował. Mogłaby załatwić wychowawczynie miejsce w szpitalu poza kolejnością, ale ona, niestety, cieszyła się dobrym zdrowiem. Natomiast mama któregoś dnia zasłała w swoim komitecie, oparła się o chybotliwą poręcz schodów i zleciała razem z nią piętro niżej, łamiąc dwa kręgi szyjne. Z ciężkim wstrząsem mózgu spędziła trzy miesiące w szpitalu. Potem wypisano ją do domu, bo choć w nogach jeszcze nie odzyskała władzy, zaczynała już mówić i ruszać rękoma.

Tego dnia, kiedy wychowawczynie wywlekła mnie na środek klasy, piętnując moje buty, czekały na mnie po lekcjach cztery podłe i tępe dziewczyny. Nie mogły strawić, że umiem zawsze dużo więcej niż one, chociaż nie mam podręczników.

Wciągnęły mnie do bramy, pobiły, podrapały i opluły. Czuły się całkowicie bezkarne.

Wróciłam do domu cała w sińcach i powiedziałam matce:

- Więcej do szkoły nie pójdę! Chyba zrozumiała, co zaszło, bo kiwnęła głową.

- Nie idź...

Po południu, kiedy w pokoju zrobiło się ciemno (wszystkie wybite szyby zastępowaliśmy dyktą lub kartonem; zresztą i tak obowiązywało zaciemnienie), usiadłam z książką na ganku, przed naszym wąskim balkonem, z którego prowadziły drzwi do trzech różnych mieszkań. Rozpacz nie przeszkadzała mi w lekturze, przeciwnie, obcowanie z książką koło bólu i pozwalało zapomnieć o całym podłym świecie dookoła. Zaczynałam się i nie zauważyłam, jak podeszli do mnie dwaj mężczyźni: Jurna i jego ojciec Rywin, wojenny

inwalida bez nogi. Nazywaliśmy go „Rywin”, bo był mężem Rywy, a nikt nie znał jego prawdziwego imienia. Rywin nigdy nie rozpoczynał rozmowy, a zagadywany, odpowiadał mrukiwie i szybko chował się do pokoju, skąd starał się nie wyłazić.

- Co czytasz? - zapytał. (Pierwszy raz słyszałam jego głos.) - Pokaż! Delikatnie wyjął mi książkę z ręki, przewrócił parę kartek i pomacał papier.

- To jest „Don Kichot” - wymamrotałam. Ale tytuł go nie interesował.

- Jeżeli możesz mi zorganizować parę takich książek - powiedział - to chętnie kupię. Ważne jest, żeby miały szerokie marginesy... Rozumiesz?

Od bliskości Jurny wyszło mi gardło. Kiwnęłam głową.

- I żeby to nie były broń Boże dzieła naszych przywódców! - dodał i pokuśtykał na pierwsze piętro.

Jurna nadal stał obok mnie. Kiedy ojciec wszedł na schody, wskazał książkę.

- Interesująca?

Chciałam wypaść jak najlepiej... mądrze i poważnie. Przełknęłam ślinę.

- To jest klasyka! - Miałam zamiar powiedzieć dobitnie, ale głos mi zadrżał. -

To trzeba znać! - usiłowałam naśladować ton mojego ojca.

- Kiedy przeczytasz, pożyczysz mi, dobrze? - zapytał łagodnie, ale dla mnie to brzmiało jak rozkaz.

Zamknęłam książkę.

- Bierz! Przeczytam później!

Wziął książkę, zdziwiony, podniósł swoje ciężkie powieki i pierwszy raz spojrzał na mnie. Przez cały czas starał się nie widzieć moich butów. W ogóle odwracał ode mnie wzrok. Byłam pewna, że się mnie brzydzi. Po co by miał patrzeć na coś tak szpetnego?

- Kto cię tak urządził? - zapytał.

Nie mogłam powiedzieć mu prawdy, a żadne przyzwoite kłamstwo nie przychodziło mi do głowy. Wstydziałam się.

- Jurna - powiedziałam błagalnie - naucz mnie, jak się bić! Ty przecież jesteś najsilniejszy i uczysz wszystkich chłopaków...

Przyjrzał mi się uważnie.

- Ale ty nie jesteś chłopakiem - odparł.

- Ja muszę się umieć bronić, Jurna! Wszystko wytrzymam! Wyciągnął dłoń i próbował wymacać mięśnie moich ramion pod cienkim, kusym paletkiem.

- Napnij! - rozkazał.

Napięłam z całej siły, ale to musiało być żalodne, bo pokiwał głową w zamyśleniu.

- Na imię mi Niuma - powiedział. - To znaczy Naum. A Jurna mówią do mnie żartem.

Mały Misza nie potrafi inaczej i małpują pętaka... Chodź!

Poprowadził mnie pod trzepak obok śmietnika, podsadził i kazał się podciągnąć.

Napięłam się z całej siły, ale nic mi nie wychodziło.

- Musisz bardzo dużo trenować - mruknął niezadowolony. - Powiem chłopcom, żeby ci pomagali... I rób przysiady. Kiedy będziesz silniejsza, to może spróbujemy...

Pomógł mi zeskoczyć, odwrócił się i pobiegł do domu. Nawet nie zdążyłam zapytać, co spróbujemy.

Ażurowe żelazne schody, prowadzące na ich balkon, przylegały do ceglanego muru.

Nasz dom był jednopiętrowy, z dwoma bocznymi skrzydłami. Z czwartej strony prostokątne podwórko zamykał właśnie ten ceglany murek. Jurna mieszkał w oficynie przy schodach. Tam też drzwi kilku mieszkań wychodziły na wspólny balkon. Ponieważ rozkradziono sporo cegieł, już od połowy schodów można było widzieć chłopców bawiących się na sąsiednim podwórku i rozmawiać z nimi. Po powrocie ze szkoły Jurna często siadywał na tych schodach, tam, gdzie murek był najniższy. Czytał książkę albo po prostu siedział i milczał z tajemniczym wyrazem twarzy. I właśnie za to milczenie i za ten tajemniczy wyraz twarzy tak bardzo go kochałam. Mogłam patrzeć na niego w nieskończoność. Nigdy nie pozostawał długo sam. Natychmiast zbiegali się chłopcy z całej okolicy, szeptali i nad czymś się naradzali. Niektórzy byli znacznie starsi od niego. O dwóch wiedzieliśmy, że to prawdziwi chuligani, bo się nie uczą i uczestniczą w najgorszych burdach. Ale na Jumę patrzyli z respektem. Czasami szli pod schody i chwytając się szczebli, wspinali się na samą górę. Uważali, by nie obserwowala ich wyczynów żadna sąsiadka, a zwłaszcza Fira, ciotka Jurny, bo natychmiast podnosiła krzyk:..Zejdź stąd! Zejdź natychmiast! Wy się pozabijacie!” Skakali też z murku na sąsiednie podwórko z wysokości ponad dwóch metrów. Ze wszystkich tych gier Jurna wychodził zwycięsko.

Teraz i ja zaczęłam ćwiczyć: podciągałam się na trzepaku pod okiem któregoś z chłopaków, robiłam przysiady i stójki na swoim balkonie. Zadziwiające, jak ci chłopcy wyłazili ze skóry, żeby mi Pomóc! Na jedno słowo Jurny wszyscy od razu zrobili się dla mnie mili. Natomiast sąsiadki aż bulgotały ze złości.

- Co z niej wyrośnie?! - gdała Natasza.

- Chuliganka! Chuliganka! - wtórowała jej czerwona z oburzenia Makwała.

Biegały na skargę do matki, ale mama, wciąż jeszcze bardzo słaba, spokojnie wysłuchiwała ich lamentów i wracała do czytania książki, dając do zrozumienia, że audyencja skończona.

U znajomych i krewnych zebrałam stos makulatury, co nie było proste, bo wszędzie poustawiano prymitywne piecyki z cienkiej blachy, sklecone przez majsterkowiczów.

Stała taka koza na wysokich nóżkach, jak najdalej od drewnianej podłogi. Rury wyprowadzało się na zewnątrz przez okrągłą dziurę wyciętą w dykcie, która pełniła funkcję szyby. Palono, czym się dało: gazetami, książkami, meblami, a nawet płytami gramofonowymi His Master's Voice. Z żalem patrzyłam, jak płonie opera Faust ze słynną arią Mefistofelesa w wykonaniu Szalapina i jak skręcają się zaszuchane białe pieski. Ale czego bym nie zdobyła dla Rywina!

Poszłam do nich późnym wieczorem, wiedząc, że zastanę tu. Moje oczy przyzwyczyły się do ciemności, bo przecież trwała wojna i obowiązywało zaciemnienie. Nawet płomyk świecy traktowano jako sygnał dla samolotów wroga. A na naszym podwórku mieszkało aż dwóch radzieckich oficerów z rodzinami, więc było co bombardować.

Wchodząc do pokoju stwierdziłam, że cała liczna rodzina jest w domu, chociaż na stole paliła się tylko jedna???????, czyli lampka olejowa lub naftowa, sporządzana domowym sposobem z małej buteleczki. Buteleczkę napełniano wszystkim, co się pali. Dawała nikłe światło i musieliśmy często igłą podciągać wypalony knot. Po wieczorze spędzonym przy kopcilce wyglądaliśmy jak Murzyni.

Teraz przy stole zobaczyłam Sarę i Firę z przytulonym do niej czteroletnim synkiem Dawidem, na którego wołaliśmy po gruzińsku Dewi. Jej młodszy, półtoraletni syn Misza spał pomiędzy Rywą, siostrą Firy, a starą bezzębną babcią na rzuconych na podłogę materacach. Przed piękną Sarą leżał plik pociętej w prostokąty bibułki. Nakręcała ją na ołówek i sklejała w rurki, które kładła na blaszanej tacy. Fira cięła na paski strony jakiejś książki. Paski skręcało się od środka ku marginesowi w tutki, które wsuwało się do rurek z bibułki: rodzaj filtru czy ustnika. Rywin nakładał na kawałek celofanu tytoń, wpychał go śrubokrętem do przygotowanej rurki i w ten sposób powstawał papieros.

Położyłam książki na stole. Rywin obejrzał marginesy, pokiwał głową, że dobre, i zapytał, ile za nie chcę. Zmieszałam się.

- Nic nie chcę! - wykszusiłam, wycofując się do drzwi. Juma, który czytał mego „Don Kichota”, nie podniósł oczu znad książki.

- Proszę się nie fatygować - dodałam głupio, chociaż nikt się nie ruszył, i wybiegłam z pokoju.

Na drugi dzień odwiedziła nas Fira. Na rękę trzymała małego Misze, a Dewi kroczył obok, uczepiony jej spódnicy. Bała się zostawić urwisów bodaj na chwilę.

Nigdy dotąd nie odwiedzała sąsiadów. Przybysze z Odessy jeszcze nie znali gruzińskiego, czuli się obco i trzymali się na uboczu. A może wstydziła się swojej biedy? Mama siedziała na łóżku, jak zawsze z książką w ręku.

Fira z niedowierzaniem rozejrzała się po pokoju.

- Che! - powiedziała zdumiona. - Chyba wcale nie mieszkacie lepiej od nas!

Rzeczywiście, sufit i ściany lśniły od wilgoci, bo rura w kuchni u sąsiadów z góry pękła, a na to już nie było żadnej rady. Uprawdom, uprawlajuszczij domom, czyli administratorka, na nasz widok zatykała uszy i uciekała z biura. Nigdy nikogo nie nienawidziłam z taką pasją. Rysowały się tylko dwie możliwości: dać jej ogromną łapówkę albo, co znacznie droższe, wezwać rzemieślników na własny koszt. W obu wypadkach, biorąc pod uwagę nasze zerowe dochody, wydatek wydawał się astronomiczny. Fira popatrzyła na brudną podartą bieliznę pościelową (marzyłam, że kiedy będę bardzo bogata, kupię sobie sto kompletów bielizny i będę ją zmieniała codziennie) i na stół, oparty o bibliotekę, czyli stos ukochanych książek, których jeszcze nie zdążyliśmy spalić, zastępujących brakującą nogę. Wszystko było mokre i zakopcone.

- Rzeczywiście... widywałam w życiu elegantsze wnętrza - zaśmiała się mama.

Wyraźnie spodobała się jej prostolinijność Firy.

- Jak to się stało? - zapytała Fira. - My to co innego, my uchodźcy... ale pani, miejscowa?... - Nagle ją olśniło. - Wiem! Pani pewno z niedorzniętych?!

Niedorzniętymi (niedorezannyje) nazywano resztki nieprzystosowanej do nowego stylu życia inteligencji, której Stalin nie zdążył wykończyć przed wojną.

Mama ciągle się uśmiechała.

- Chyba tak... To długa historia i nieciekawa. Nie chciałabym pani zanudzać.

Czym mogę służyć?

Fira aż podskoczyła z zachwytu.

- Ach! Co ja słyszę?! Czym pani mi może służyć?! Może to ja powinnam pani służyć?

- Wyciągnęła z torby nieduży pakunek, zawinięty w gazetę. - Trochę mlecznego proszku... Przyda się dla dzieci.

Mama przestała się uśmiechać.

- Jak to?! A pani?! Przecież pani też ma dzieci! Fira machnęła ręką.

- To są dzieci?! To są krwio pijcy! One by tylko żarły chleb i chleb! Niech pani bierze!

Dobry proszek, amerykański! Moja siostra Rywa pracuje w fabryce zapalek.

Tam śmierdzi siarką i czymś jeszcze, więc obiecali, że dadzą pół litra mleka dziennie, ale mleka nie ma... dają talerz grochówki, a czasem ten amerykański proszek! Pani chyba pali?

I położyła na szafce stojącej obok łóżka kilka papierosów.

- To iście królewski dar! - zawołała mama. - Dlaczego pani to robi?! Wie pani, prędeż mogę wytrzymać bez jedzenia, ale kiedy nie mam co palić, robi mi się niedobrze, odzywa się serce i zaczynam kaszleć...

Fira uśmiechnęła się.

- Niech pani pali na zdrowie!

Jeszcze nieraz przynosiła papierosy i nigdy nie zapomniała powiedzieć: „Na zdrowie!” Teraz ociągała się z wyjściem.

- A czy pani córka nie mogłaby zarobić na papierosy dla mamusi? - zagadnęła.

- Moja córka?! Jak? - zdumiała się mama.

- To nie jest trudna praca - pocieszyła ją Fira. - Skleja się bibułkę na gilzy i wsadza się do nich ustniki z pociętych książek...

Mama zarumieniła się z podniecenia.

- Ja bym mogła to robić... Ręce już mam zupełnie w porządku, zaczynam nawet chodzić!

Fira uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Czyli interes stoi? Duży zarobek to nie będzie, ale lepsze to niż nic.

Zaczął się nowy etap w moim życiu. Teraz miałyśmy z mamą robotę. Musiałam też zdobywać coraz to nowe książki na ustniki. Płacono nam w papierosach. Mama oszczędzała je, jak mogła. Zbierała nawet resztki tytoniu z niedopałków i robiła z nich papierosy. Nadwyżki sprzedawaliśmy. Chodziłam z Rywinem na targ.

Jednonogi Rywin, bo drugą nogę urwało mu powyżej kolana, w wypłowiałym, wojskowym płaszczu, z medalami, z dokumentami inwalidy Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, był prawie nietykalny. Nie obawiał się żadnej obławy na spekulantów. Wsparty na kuli, trzymał towar, a ja, obok, ofiarowałam klientom papierosy. Kiedy sprzedaliśmy ostatniego, Rywin zaczynał obchód wśród sprzedawców tytoniu. Wąchał go, rozgniatał palcami, sprawdzał kolor.

Zachwalającemu marny towar mówił krótko:

- Takiego gie nie palę!

Dokładnie tak mówił. „Gie”, a nie „gówna”, bo na swój sposób był to wytworny mężczyzna. Nie wytrzymałam i zapytałam:

- Przecież pan kupuje ten tytoń nie dla siebie? Odpowiedział niechętnie:

- Kto u mnie raz kupuje, wraca.

Czasami organizowaliśmy wypad na wieś. Wymienialiśmy tam papierosy i wybrakowane, ale nadające się do użytku zapalniczki, wyniesione przez Rywę z fabryki, na garstki fasolki, mąki kukurydzianej, pomidory, a czasem nawet na jajko. Ale do wyjazdu z miasta potrzebowaliśmy przepustek. Na dworcach i na drogach czyhały patrole wojskowe. Korzystaliśmy raczej z autostopu, niż z przeładowanych, oblepionych ze wszystkich stron, nieregularnie kursujących pociągów.

Po drogach jeździły wyłącznie willisy i studebakery z amerykańskiej Lend and lease. Willisów nie zatrzymywaliśmy, bo w nich przeważnie rozpierali się oficerowie z wypisanym na twarzy poczuciem odpowiedzialności za losy Ojczyzny.

Trudno zresztą było im się dziwić. Na północnych stokach Kaukazu Ingusze, Czeczeńcy i Tatarzy, zachęceni wieściami o tym, że Hitler likwiduje kolchozy i wiesza komunistów, rzucali broń i witali Niemców chlebem i solą. Krążyła pogłoska, że gruzińscy chłopcy chcą iść w ślady sąsiadów z północnych stoków.

Niektórzy młodzieńcy, licząc się z dalszą niemiecką ofensywą, wywabiali kwasem solnym modne niegdyś tatuaże z sierpem i młotem, co wywoływało ropiejące rany.

Wielkimi ciężarowymi studebakerami jeździli tylko żołnierze, którzy lada dzień mogli zginąć na froncie albo stracić nogę. Kiedy więc Rywin stawał na drodze, wsparty na kuli, dzwoniąc medalami, zatrzymywali ciężarówkę i brali nas „na burtę”. Zasypywali Rywina pytaniami, na jakim froncie tak dostał, kiedy, w jakich okolicznościach i w jakim pułku. Wyglądało na to, że przywiązują do tego ogromną wagę. Może czuli coś mistycznego w tych pogrzebanych ludzkich kończynach?

Podwozili nas, jak tylko mogli najdalej, ale i tak musieliśmy potem przemierzać długie i „głodne” kilometry, bo im bardziej głuchą napotkano wieś, im dalszą od drogi, tym większe były szanse korzystnej wymiany.

Na każdy wyjazd potrzebowaliśmy przepustki z Komendy Milicji. Ciągnęła się tam kilometrowa kolejka. Wydanie przepustki zależało od widzimisię komendanta i nie przyznawano jej częściej niż raz na trzy miesiące.

Tutaj wkroczył Juma. Miał złote ręce. Za pomocą kawałka bibułki i rozchybotanego szkolnego cyrkla potrafił skopiować każdą pieczętkę i każdy podpis. Chodziło tylko o to, by mieć z czego kopiować i nie pomylić daty. Milicja wiedziała, że ludzie podrabiają przepustki, i często zmieniała pieczętki. Na szczęście w komendzie brakowało blankietów i w ogóle

papieru, więc kazali przychodzić z własnym i wystawiali przepustki, na czym się dało: na skrawku, wyrwanym z zeszytu czy nawet na pakowym papierze.

Za pierwszym razem, gdy Juma miał mi wystawić przepustkę, przysłał naszego sąsiada Ilkę, mojego rówieśnika. Juma mianował go swoim adiutantem i z tego powodu Ilka chodził dumny jak sroka. Wieczorem, kiedy zrobiło się już prawie ciemno, wywołał mnie pod schody.

Czekał tam Juma.

- Jak się pisze twoje nazwisko? - zapytał. Przeliterowałam mu.

- Strasznie długie - westchnął. - Mnie by tam wystarczyła jedna sylaba... „Dzi”, na przykład!

Zaśmiał się na cały głos. Pierwszy raz widziałam, jak się śmieje. Spodobała mu się ta idea.

- Wiesz, ty jesteś Indianin Dzi!

- Dlaczego Indianin? - zdziwiłam się.

- A nie patrzyłaś w lustro? Masz twarz czarną od sadzy! Poczułam, że nawet szyja mi płonie. W oczach stanęły łzy. Zror zumiał, że sprawią mi przykrość, bo zaraz dodał pojednawczo:

- Wszyscy jesteśmy Indianami... - I znowu się zaśmiał. - Nie tylko przez nasze kopciłki... Jesteśmy przecież głodni i nadzy... i czerwoni... No i mamy wodza! -

Mrugnął do mnie. - Mamy?

Aż mnie zatkało.

- No... mamy... - zaśmiałam się nerwowo.

Takie dowcipy wypowiedziano szeptem, w gronie najbliższych. Mogłam je usłyszeć tylko wtedy, gdy dorośli przypuszczali, że śpię.

- Nikomu nie powtarzaj! - powiedział Juma poważnie.

- Jasne! - zachnęłam się, czując, jak mi rosną skrzydła. Poczułam, że w jakiś sposób zostałam powołana do grona jego przyjaciół. Tego wieczoru nie płakałam z głodu w poduszkę, tylko zasnęłam z głową pełną marzeń. Łączyła nas już, co prawda, tajemnica przepustek, ale to była tajemnica służbowa.

- Przysięgnij mi na życie matki - zażądał kiedyś Rywin - że się nie wygadasz! Bo wiesz, co nam za to grozi?!

Boże! Wydać Jumą?! Prędzej bym umarła!

- Słowo honoru! - powiedziałam uroczyście. - Nie wysypię nawet na torturach!

Rywinowi coś nie odpowiadało.

- Nie chcesz przysiąc!

- Mój ojciec twierdzi, że słowo honoru - to największa przysięga, ważniejsza nawet od słowa pioniera i komsomolca! Bo honor to jest coś bardzo osobistego, czego człowiekowi nie wolno stracić w żadnych okolicznościach.

Wszyscy w pokoju nagle zamilkli i spojrzeli po sobie, a Rywin przyglądał mi się z jakimś dziwnym wyrazem twarzy. Zwykle był bardzo poważny, ale teraz wydawało mi się, że się śmieje. Zerknął na Jumą i ich spojrzenia się spotkały.

- Niech będzie słowo honoru - zdecydowałam. Dotrzymałam tego słowa aż do dziś, do chwili kiedy zaczęłam spisywać moje wspomnienia. Nawet matce nic nie powiedziałam. Przypuszczała, że Rywin legalnie załatwia przepustki przez jakieś koneksje w milicji. Na swój sposób nawet odczuwała dumę, że jestem już samodzielna i potrafię handlować.

Sama w życiu niczego nie umiała sprzedać i zawsze rozdawała wszystko na prawo i lewo, jeżeli tylko coś miała.

Moje kontakty z Jurną stawały się częstsze. Czasami zaszczycał mnie krótką rozmową. Kiedy oddawał „Don Kichota”, zapytał:

- Czy cię ta książka ani trochę nie znudziła? Zawahałam się.

- Tak... chwilami... - powiedziałam niepewnie.

- Co w niej takiego genialnego? Upośledzony na umyśle facet jeździ na chudej szkapie i robi jedno głupstwo po drugim, a jego normalny przecież sługa wszędzie się za nim wlecze na ośle, zamiast zwiąć.

- Tata powiedział, że to książka o ludzkiej wyobraźni - przytaczałam z pamięci słowa ojca. - Mówi, że wśród tępych mieszczuchów, co myślą tylko o żarciu i picciu, znalazł się ktoś taki, kto potrafi nawet w zwiędłej Dulcynei dojrzeć piękno i podjąć walkę z wiatrakami, choć jest beznadziejna...

Juma nie wyglądał na przekonanego.

- Co mu zawiniły te biedne wiatraki? Czy to mało dokoła prawdziwego zła, z którym mógłby sobie walczyć, skoro już musiał? Z tą wyobraźnią też coś nie tak...

Niechby spróbował tak pić herbatę bez cukru, jak my, i wmawiać sobie, że jest słodka, albo zreć nasz chleb, w którym jest wszystko prócz mąki, i udawać... że się najadł... A czy nasze niedomyte kobiety wyglądają ładnie? A jednak... ludzie wciąż się jakoś rozmnażają...

Milczałam. W głębi duszy zgadzałam się z nim, ale czułam, że ojciec szybko przekonałby nas oboje. Nie wiedziałam, po czyjej stronie jest racja...

Pożyczałam Jurnie wszystkie moje ulubione książki. Wyłudzałam je od krewnych, przysięgając, że zwrócę. Przyniosłam mu „Jeździec bez głowy”, „Trzech muszkieterów” i

nawet „Hrabiego Monte Christo”, największy bestseller tych czasów. Najbardziej podobały mi się „Przygody dobrego wojaka Szwejka” i opowiadania Marka Twaina.

Moje życie wypełniło mnóstwo zajęć: trenowałam mięśnie, kleiłam z mamą gilzy, handlowałam i zdobywałam książki dla Rywina. Codziennie wlewałam wodę do miski i szorowałam uszy i szyję. Od zimnej wody bolały mnie kości, ale nie mogłam pokazać się Jurnie z zakopconą twarzą. Sprzątałam balkon i nawet pokój usiłowałam utrzymać w porządku, na wypadek gdyby (a nuż?!) Juma lub któryś z jego przyjaciół zajrzał do nas. To właśnie była moja walka z wiatrakami!

I nagle zdarzyło się coś strasznego. Stałam rano w kolejce po chleb i przyglądałam się naszym kartkom. Na jednej dzisiaj kupon był wycięty, bo wykupiliśmy nań chleb poprzedniego dnia. Czasami to się udawało: Kiedy zdarzała się popołudniowa dostawa i nie mogliśmy wytrzymać ssania w żołądku, błagałam ekspedientkę, by sprzedała jutrzejsze trzydzieści deka. Ten maleńki kawałek kitu zjadaliśmy w ciągu sekundy. Głód nie ustępował, a my żywiliśmy nadzieję, że jutro spadnie nam manna z nieba.

Teraz chodziło o to, żeby sprzedawczyni nie zauważyła pustki po odciętym kuponie.

Schowałam więc kartkę do środka, między inne, i Pan Bóg ukarał mnie za próbę oszustwa: Jakiś obdartus wyrwał mi wszystko i uciekł. Do końca miesiąca pozostały jeszcze cztery dni. Cztery długie dni bez chleba. I głodne oczy mojego młodszego brata. Nie miałam siły powstrzymać łez. Wracając do domu, beczałam na cały głos. Wśród spazmów mama wyławiała urywane słowa tragicznej opowieści. Po chwili wieść o wydarzeniu obiegła całe podwórko. Przybyło z kondolencjami kilka sąsiadek; wypytywały o szczegóły i dawały pożyteczne rady na przyszłość.

W parę godzin później pojawił się Ilka - adiutant Jумы.

- Naum chce wiedzieć, jak wygląda ten złodziej - powiedział dumny ze swojej misji. - Pójdziemy go szukać!

Nie bardzo wiedziałam, jak on wygląda. Obdartusów nie brakowało, a wszystko trwało ułamki sekundy. Chłopak nie mieszkał w naszej dzielnicy, bo kolejkowicze by go poznali.

- No chodź! - rozkazał Ilka. - Pod schody!

Poszłam za nim. Prócz Jумы był tam Gogi, chłopak z sąsiedniego podwórka, i jeszcze jeden z naszej ulicy, którego nazywaliśmy złodziejem. Do górnego stopnia schodów, tuż pod piętrem, przywiązali gruby sznur.

- Pokaż jej! - rozkazał Jurna.

Gogi chwycił sznur i zaczął się wspinać. Potem zszedł, chwytając sznur raz jedną, raz drugą ręką.

- Teraz będziesz zdawała egzamin - powiedział Jurna. - Zobaczymy, czy się do czegoś nadajesz.

Kazał mi się wspinać po sznurze. Gogi korygował moje ruchy. Dygotałam, bo musiałam zdjąć z nóg stare buty ojca, a wraz z nimi pończochy. Chodziło o to, by nikt nie zauważył, że są dziurawe. Wyłaziłam ze skóry, żeby wykonać zadanie.

Jurna wydawał się ze mnie zadowolony.

Następnego dnia rano pojechaliśmy wszyscy na przedmieście. Jechaliśmy na buforze zatłoczonego tramwaju. W ten sposób dotarliśmy do wolno stojącego pawilonu, a raczej budy sklepowej. Zwiadowcy Jumy dowiedzieli się, że w nocy dostarczono do sklepu jakieś beczki. Mogły w nich być śledzie! Zajęliśmy kolejkę i wkrótce się okazało, że przywieziono nie śledzie, tylko, niestety, tak zwaną chamkę, czyli rybki o połowę mniejsze od szprotek, zasolone, robaczywe i pokryte rdzawym nalotem. Należało nam się na miesiąc pół kilograma mięsa, ale mięsa nie widzieliśmy na oczy, w zastępstwie mogliśmy kupić albo kilo chamki, albo amerykański proszek jajeczny. Braliśmy zawsze tych rybek na pół kartki, moczyliśmy przez parę godzin, żeby usunąć nadmiar soli i żeby wypłynęło robactwo.

Mój ojciec, wieczny optymista, wmawiał nam, że robaki to bardzo poszukiwany delikates w Chinach i we Francji.

- Szkoda, że tego specjału nie da się u nich wymienić na kawałek zwyczajnej chabaniny! - wzdychała mama.

Po wymoczeniu jednak zjadaliśmy te rybki, zamykając oczy i wstrzymując oddech.

Po krótkiej naradzie chłopcy postanowili wziąć trochę tego rybnego paskudztwa, ale nie rybki ich interesowały. Miałam dobrze obejrzeć okno, skobel, a zwłaszcza żaluzję, policzyć kroki od okna do miejsca, nad którym znajdował się wąski świetlik, i sprawdzić czy sięgnę skobla.

Jeszcze tej samej nocy wróciliśmy pod sklep. Zbliżał się koniec miesiąca i z pewnością dostarczono jakiś towar. Nie interesowało nas paskudztwo, przeznaczone do ogótaej sprzedaży, ale towar dla lepszych klientów, który nigdy nie ukazywał się na ladzie, i dla stacjonującego w pobliżu oddziału wojsk specjalnych.

Kiedy dowiedziałam się, co planują chłopcy, ogarnęło mnie przerażenie.

- Nie wolno kraść!

Pierwszy raz podniosłam głos na Jumę. Obrzucił mnie lodowatym spojrzeniem.

- Nie ukradniesz, nie przeżyjesz! - wycodził. - Chyba nie chcesz, żeby twój brat zdechł z głodu?!

Nie chciałam.

- Ale co wam zawiniła biedna sprzedawczyni?! Jak ona się z tego rozliczy?!

Jurna uśmiechnął się pobłaźliwie, jakby miał przed sobą idiotkę.

- O nią się nie martw. Każda z nich marzy o włamaniu! Jedna nawet namawiała moich kumpli i obiecała dać cynk, kiedy dostarczą coś dobrego, ale sklep jest w śródmieściu... Za dużo ludzi...

Nie mogłam zrozumieć.

- Ta twoja biedna sprzedawczyni, zanim zawiadomi milicję, wyniesie resztę towaru do krewnych i zwali wszystko na włamywaczy. A przecież i tak każda ma w sklepie manko. W ten sposób ją ratujemy. Kapujesz?

To było logiczne, ale wciąż się wahałam.

- Mój ojciec mówi, że nie da się niczego ukraść, bo każde zło obraca się przeciwko nam. Za wszystko przyjdzie prędzej czy później zapłacić!

To był mój ostatni argument.

- Twój ojciec to bardzo mądry człowiek - odparł Jurna poważnie. - Ale go nie ma!

Przy okazji... gdzie on właściwie jest? Na froncie?

Policzki zapłonęły mi ze wstydu.

- Nie... pracuje w radiostacji i w czasie wojny nie wolno mu jej opuszczać...

Jurna się uśmiechnął.

- Na pewno jest bardzo ważnym pracownikiem... To dobrze, bo ma szansę przeżyć wojnę. Ja się bardzo ucieszyłem, kiedy się dowiedziałem, że mojemu urwało nogę...

Chciałam mu wytłumaczyć, dlaczego ojciec nie jest na froncie i że to nie jego wina.

- Mój ojciec... - zaczęłam, ale Jurna mi przerwał.

- Wiem! Twój ojciec chce, żeby ludzie byli mądrzy, zdrowi i uczciwi! Przyznaj się, że masz pietra! Wracaj do swojej zagłodzonej mamusi!

Umówiliśmy się, że wymknę się z domu o północy, kiedy wszyscy zasną.

Szliśmy na piechotę, skrótami przez podwórka. Trzymaliśmy się bardzo blisko siebie, bo panowały ciemności. Marsz w czarnej pustce zajął nam chyba z godzinę.

Omijaliśmy wojskowe patrole, czujni jak koty. Jeden z chłopców niczym jaszczurka wdrapał się po narożniku na dach sklepowego baraku, przywiązał dwa sznury do haka, zawczasu wbitego w deskę na górze, trzymając się sznura, wybił szybę w świetliku, oczyścił brzegi, wrzucił jeden sznur do środka i zeskoczył na ziemię.

Teraz przyszła moja kolej, bo tylko ja mogłam się przecisnąć przez wąskie okienko. Musiałam zdjąć palto i buty. Ze strachu nie czułam zimna. Włazłam po sznurze, popychana z dołu przez chłopców. Najważniejsze, żeby przecisnąć przez świetlik głowę. Podrapałam ucho, ale głowa przeszła. Z resztą poszło łatwiej.

Ześliznęłam się po sznurze na podłogę. Z wielkim wysiłkiem, nieprzytomna ze strachu, po omacku dotarłam do okna i zaczęłam walczyć z ciężkim skoblem. Był przymocowany do haka w futrynie. Ręce mi się plątały, zapierało dech. Tkwiłam w czarnej dziurze. Kiedy nareszcie otworzyłam okno i chłopcy wdarli się do wnętrza, byłam bliska omdlenia.

- Trzymaj się - szepnął Jurna, podając mi palto i buty.

Jego obecność przywróciła mi siły. Przy nikłym płomyku ogarka pakowaliśmy do worków, co się dało. Umówiliśmy się, że każdy weźmie tyle, ile potrafi bez trudu unieść. Ale czy mogliśmy się powstrzymać na widok tych wspaniałości?

Natrafililiśmy nawet na bryłę margaryny. Takiego skarbu nikt nie umiałby porzucić.

W co ją zawinąć? Ktoś znalazł na podłodze pomiętą gazetę; podzieliliśmy ją uczciwie i każdy odkroił taki kawał margaryny, jaki dał się zawinąć w jego strzęp gazety.

Kiedy wyszliśmy przez okno na ulicę, zdawało nam się, że już nie jest tak ciemno.

- Nikomu nie wolno biec - rozkazał Jurna szeptem. Szliśmy w pewnej odległości od siebie, przywierając do murów, przyczajeni i płochliwi, w każdej chwili gotowi zniknąć w bramie. Na szczęście patrolom nie chciało się włączyć po nocy: Na całej naszej trasie usłyszeliśmy tylko jeden. Przeczekaliśmy w bramie, aż kroki żołnierzy ucichną. Zdawało mi się, że droga powrotna trwa wieczność.

Zrozumiałam, że życie złodzieja nie jest łatwe.

Zaczynało już świtać, kiedy wreszcie dotarliśmy do naszej ulicy. Chłopcy znikali w swoich podwórkach. Kiedy Jurna, Ilka i ja dochodziliśmy do naszego domu, zobaczyłam moją matkę, przemarzniętą i kurczowo uczeponą bramy.

- Gdzieś ty była?! - krzyknęła. - Czekam na ciebie całą noc! Przeraziłam się, że obudzi sąsiadów.

- Cicho! Sza! - przerwał jej Jurna.

- Co to znaczy „sza”! - oburzyła się mama, ale Jurna zrobił ostrzegawczy gest w stronę ulicy i popchnął mnie w kierunku balkonu.

- Ściągają nas! Milicja! - powiedział dramatycznym szeptem. - Niech pani natychmiast ukryje dziecko!

Mama cała się trzęsła i bez przerwy mówiła, co jej się zazwyczaj nie zdarzało.

- Jaka milicja!? Co on plecie?! Dostanę przez ciebie zawału! Myślałam, że idziesz do ubikacji (ubikacja znajdowała się na podwórku, obok śmietnika), ale nie wracałaś i nie wracałaś! Poszłam cię szukać! Biegałam po wszystkich piwnicach! Gdzie ty byłaś?!

Nie odpowiedziałam. Postawiłam worek na podłodze i wykladałam zdobycze na stół.

Było tam sześć sojowych ciastek, wypieczonych na melasie z buraków cukrowych, suszone drobne mordki, spora paczka amerykańskiego proszku jajecznego, dwa małe bochenki chleba, puszka amerykańskiej mielonki, margaryna w brudnej gazecie i trochę ciemnego makaronu. Wszystko pomieszane.

- Co to jest?! Skąd ty to masz?! - przeraziła się mama. Żadne kłamstwo nie byłoby wiarygodne.

- Ukradłam - odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Myślałam, że mnie uderzy. Ale mamę zatkało. Usiadła.

- Odniesiesz wszystko tam, skąd wzięłaś! - powiedziała cicho i dobitnie.

Tak ją przecież wychowano. I wtedy dostałam ataku śmiechu. Najpierw śmiałam się po cichu, potem głośniej, potem szlochałam i śmiałam się na przemian. A później cicho płakałam. Tu mi pomógł mój wiecznie głodny, dwuletni brat: Obudził się i zaciekawiony, podszedł do stołu. Złapał ciastko, obejrzał je ze wszystkich stron, ugryzł ostrożnie i zaraz połknął całe. Zanim mama oprzytomniała, zabrał się do następnego.

Nazajutrz rano mama kazała mi iść po Rywę. Rywa przybiegła niezwłocznie.

- Czy pani wie, co pani syn i moja córka robili w nocy?! - groźnie zapytała mama.

- Jakbym miała nie wiedzieć? - westchnęła Rywa i pokiwała z dezaprobatą głową.

- Ma pani zamiar tolerować takie postępowanie? - atakowała mama.

- Boże broń! - zawołała Rywa. - To jest zbyt niebezpieczne! Mogli ich przecież złapać i wysłać do poprawczaka!

Mama popatrzyła na nią ze zgrozą.

- I pani mówi to tak spokojnie?! A moralny aspekt tej sprawy pani nie obchodzi?!

Co z nich wyrośnie?!

- A co tu może wyrosnąć? Pracujemy cały dzień i noc i nawet nie możemy tych dzieci do syta nakarmić... Pani to dobrze mówić, bo siedzi pani cały dzień w domu...

Mama aż się poderwała ze zdumienia.

- Komu dobrze?! Gdybym mogła nakarmić te głodomory, nic takiego mojej córce nie przysłoby do głowy! Kończy mi się zwolnienie lekarskie i muszę iść do pracy. A zarobię tam jeszcze mniej, niż siedząc w domu i zwijając gilzy.

Rywa pokiwała głową zamyślona.

- Gdyby pani mogła pozbyć się tych burżuazyjnych przesądów... może załatwiłabym pani pracę u nas w fabryce... Wie pani, jak deficytowe są zapalki... Jeżeli się dobrze żyje z wartownikami, można trochę wybrakowanych wynieść w majtkach...

Wczoraj na przykład zamieniłam je na kilo koźliny! Smaczne to nie jest, ale zawsze trochę mięsa, no nie?

Myślałam, że mama ją wyrzuci za drzwi. Ale zamiast tego usłyszałam pytanie:

- Sądzi pani, że ja potrafię... no... przywłaszczając i... Mama chyba czekała teraz na odrobinę zachęty.

- Nie bądź pani dzieckiem! - wykrzyknęła Rywa i wzruszyła ramionami.

Nagle mama zaśmiała się tym swoim zaraźliwym, perlistym śmiechem, którego dawno nie słyszałam.

- Niech pani załatwi mi tę pracę! Bardzo proszę! Rywa też się zaśmiała radośnie.

- Zrobi się!

W ten sposób zaczął się zupełnie nowy etap w naszym życiu. Nie trwał długo, ale odegrał ważną rolę i wyrył głęboki ślad w naszej psychice. Mama poszła pracować w fabryce zapalek. Starła się zawsze być z Rywą na tej samej zmianie. Nigdy się nie targowały z administracją, kiedy wyznaczano im noc: Wtedy łatwiej czyściło się fabrykę ze śmieci, czyli wynosiło wybrakowane zapalki. Brakowało się je wówczas, gdy główki grzebyków zlewały się razem, gdy grzebyki pękały lub gdy fosfor i siarka rozmazywały się na paskach.

Mama wykazywała tyle pomysłowości w tym procederze, że nawet Rywa, kobieta zaprawiona w bojach, nabrała dla niej głębokiego respektu. Teraz jedliśmy co drugi dzień placki kukurydziane albo fasolkę, a codziennie talerz śmierdzącej grochówki! Mama zabierała ją ze stołówki, przynosiła w garnku do domu, rozwadniała na trzy porcje i w ten sposób każdego dnia mieliśmy gorącą zupę.

Odżyliśmy, a co najważniejsze, pozbywaliśmy się stopniowo burżuazyjnych przesądów, co nam bardzo pomogło w przyszłości.

Nieraz w życiu powracałam myślami do chwili, gdy matka zdecydowała się na pracę w fabryce. Zastanawiało mnie, co ją wtedy tak rozbawiło. Chyba nie perspektywa wykradania zapalek? Mogła przecież przypłacić ten proceder życiem. Było to konieczne dla naszego przetrwania, ale wcale nie śmieszne. Humor zupełnie nie w jej stylu. Zrozumiałam to znacznie później. Moja biedna matka miała pecha:

Urodziła się w zamożnej rodzinie. Wpojono jej zasady nie tylko nieprzydatne, ale wręcz niebezpieczne, godzące w radziecki ustrój. Grała na fortepianie, uczyła się francuskiego, a co najgorsze - miała dobre maniery. A że nie mogła się poszczycić

pożądanym proletariackim lub chłopskim pochodzeniem, od czasu wkroczenia wojsk radzieckich do Gruzji wszystkie drogi zostały przed nią zamknięte. Łącznie z drogą na studia medyczne, o których marzyła. Trwała niejako zawieszona w próżni, ale okazywała pewne zadowolenie, bo „przecież nie zesłano nas na Syberię”. Zdołała zapomnieć języki i odrzucić dobre maniery, ale wciąż nie mogła znaleźć swojego miejsca w nowej rzeczywistości, bo tego miejsca nie przewidziała nowa władza.

Zrozumiałam, że kiedy Rywa zaproponowała jej kradzież wybrakowanych zapalek i wnoszenie ich w majtkach, mama nagle powzięła postanowienie: Zaczęła swoją małą wojnę ze Stalinem, prowadząc ją w jedyny sposób, na jaki ją było stać. Może się też mściła za złamane życie, swoje i swoich bliskich. Albo się po prostu zbuntowała. W sytuacji, kiedy brakowało wszystkiego, kiedy ludzie dokoła byli skazani na męczarnie, głód, chłód, brud i poniżenie, przepisy nakazujące niszczyć wybrakowane, ale nadające się do użytku zapalki (i nie tylko zapalki!), choć stały się towarem prawie nieosiągalnym, te przepisy wydawały się bezwstydnym szyderstwem. Matka nie mogła walczyć z otwartą przyłbicą, nie nadawała się na Don Kichota. Od lat oplakiwała znikających kolejno bezbronnych Don Kichotów. Roześmiała się, bo w swej wyobraźni pokazała Stalinowi figę. Ty każesz nam zdychać, a my żyjemy! Żyjemy - to stało się przecież jej głównym celem. ŻYĆ! - to był jedyny program, jaki mogła nam ofiarować.

- Nie narzekaj! - mówiła. - Nie obrażaj Boga! Jeszcze żyjemy! Przez chwilę wydawało mi się, że w ten sposób na swoim mikroosobistym poletku zwyciężyła Stalina. Ale wtedy Stalin, ten z licznych portretów, wyretuszowany i upiękaszony (innego przecież nie widziałam), pogroził mi palcem i z figlarnym uśmiechem powiedział:

- Mylisz się! To ja was nauczyłem kraść i kłamać! Dla waszego dobra!

Demoralizowałem was i poniżałem, żeby łatwiej wam było lizać buty na moich pomnikach! Nawet gdy je zburzycie, łatwo się mnie nie pozbędziecie! - Podniósł swoją wygiętą fajkę i zaciągnął się jak na filmie. - Ty też kłamiesz! Zabrałaś się do pisania tych swoich wspominków, ale czy zdecydujesz się na wyjawienie całej prawdy? Poruszysz tylko jej małą część! Nie mam racji?

- Postanowiłam pisać prawdę i tylko prawdę! - odparłam butnie.

- Figę tam! I tak ci się nie uda!

Stalin machnął ręką, skrzywił się i zniknął.

Kola

Czas mijał, a Jurna nie wspominał o żadnej akcji. Dyskretnie pożyczał ode mnie książki, zamienialiśmy kilka słów na ich temat, ale gdy mówiłam o nowym wypadzie,

udawał, że nie rozumie, o co chodzi, i szybko się żegnał. Może mnie już nie potrzebował, bo inne sklepy nie miały tak wąskich świetlików, a może rodzicom udało się go przekonać, żeby zaniechał podobnych wyczynów.

Nadeszła ostra wiosna (wiosna zawsze wydaje się najostrożniejsza, kiedy ludzie są osłabieni), dmuchał silny, przenikający do kości wiatr, nasuwając trwożne myśli i zmuszając ludzi do chowania się w swoich norach.

Któregoś dnia mama długo nie wracała z fabryki. Żeby odpędzić złe myśli, wyszłam na podwórko i zaczęłam ćwiczyć na trzepaku. W bramie stał chłopak z ręką na temblaku, w żołnierskim płaszczu, wiszącym na nim jak na kiju od szczotki.

Wyglądało na to, że na kogoś czeka, ale mimo zmierzchu raczej wyczułam, niż zobaczyłam, że błagalnie wpatruje się we mnie. Prawie słyszałam, jak szczeka zębami.

- Wypisali mnie ze szpitala - powiedział i wyciągnął do mnie swój tobołek. -

Chodziłem cały dzień... Chciałbym się ogrzać...

Powinnam była powiedzieć, że mama mi kategorycznie zabrania rozmów z obcymi, a już o zapraszaniu do domu nie ma co mówić. Ale zamiast tego odparłam:

- W naszym pokoju wcale nie jest ciepło... Chyba nie miał siły odejść.

- Dali mi suchy prowiant - powiedział i głos mu zadrżał. - Mam koncentrat kaszy jaglanej, ale nie wiem, gdzie ją można ugotować...

Znowu wyciągnął do mnie tobołek.

Pozostało jeszcze trochę szczap z deski, którą udało nam się z mamą oderwać spod balkonu. Odsłoniłyśmy pod podłogą pustą przestrzeń, w której gnieździły się szczury.

- Proszę, niech pan wejdzie.

Jakoś nie mogłam powiedzieć nic innego. Zanim matka wróciła, udało się nam rozpalić ogień w piecyku na „kurzych nóżkach”. Mój młodszy brat po zjedzeniu dziennej porcji chleba resztę dnia spędzał nad szufladą, w której ten chleb chowaliśmy, i śliniąc palec, szukał okruszków. Ale tych już dawno nie było. Dno szuflady aż błyszczało od tego stałego polerowania. To było jedyne naprawdę czyste miejsce w naszym domu. Teraz brat oderwał się od szuflady i usiadł przy piecyku, tęsknie wpatrując się w garnek z kaszą. Pochyleni nad piecykiem, grzaliśmy ręce i wdychaliśmy smakowite opary.

Nagle weszła mama. Chłopak w szynelu, jeszcze zsiniały z zimna, poderwał się, wyprężył na baczność i zdjął czapkę.

- Ja się tylko trochę ogrzeję i pójdę - powiedział, jękając się i wyciągnął swoje papiery. - To jest zwolnienie ze szpitala i zaświadczenie o urlopie... Za trzy tygodnie mam wracać do jednostki... Proszę sprawdzić.

Mama spojrzała w jego jasne dziecięce oczy. Włosy miały barwy puchu pisklęcia. A może nawet jaśniejsze.

- Nie jestem milicjantką - uśmiechnęła się. - Schowaj, dziecko, te papiery. Ile ty masz lat?

Miał na imię Kola i osiemnaście lat. Mama dołała do swojej fabrycznej grochówki więcej wody, by starczyło i dla niego. Postawiła garnek na piecu i wrzuciła do zupy jeden drobno pokrojony kartofel. Podkładałam do ognia cenne szczapy. Mój brat nie mógł ani na chwilę oderwać wzroku od garnka z kaszą.

A Kola mówił nam o sobie. Widać zdobyliśmy sobie jego zaufanie, co w tamtych czasach nie było łatwe. Należał do rodziny wrogów ludu; jego rodziców, chłopów z okolicy Orłowa, ogłoszono kułakami, bo hodowali aż dwie maciory. Oczywiście aresztowano ich i gdzieś wywieziono. A Kola trafił do bezprizornych, czyli do poprawczaka. Wiedział, że nie jest w stanie zmyć piętna haniebnego urodzenia, i dlatego ucieszył się, gdy wybuchła wojna. Natychmiast się zgłosił: Chciał zginąć jak bohater, własną krwią zmywając winę rodziców. Takich jak on przestępców rzucano na pierwszą linię pod karabiny wroga. Mieli torować drogę do zwycięstwa, ale bez broni, bo jej na tamym froncie brakowało nawet dla prawomyślniej, chłopsko-robotniczej młodzieży. Uzbrojeni byli ci, co szli za nimi: dozorczy karnego batalionu. Wiedzieli, że w razie ucieczki natychmiast strzelą im w plecy. Kola nie chciał uciekać. Poszedł do ataku zupełnie bezbronny, wrzeszcząc: „Za rodzinu! Za Stalina!” Bolało go, że umrze bez sensu, nie oddawszy ani jednego strzału. Tymczasem Niemcy obłożyli ich mocnym ogniem i uzbrojeni dozorczy zaczęli uciekać. No i cała reszta za nimi... Nawet nie pamiętał, jak się znalazł w szpitalu. Złożono mu zgruchotaną rękę. Teraz wracał do zdrowia i nawet poruszał palcami, a więc niedługo znowu go wyślą na front. Dadzą mu karabin, czy nie? Może tą ręką zmazał swój pierwotny grzech...

Na dworze wiał silny wiatr, a my pożeraliśmy to nasze grochowe paskudztwo z kaszą.

Rozgrzało nas i doprowadziło do błogości. Czerwone refleksy z piecyka skakały po naszych twarzach.

- Grochówka pachnie brudną ścierką - powiedziała mama. - Pewno ją na tej szmacie gotują, żeby miała trochę tłuszczu... Ale poza tym da się zjeść.

- A mnie bardzo smakuje - odparł Kola. - Oj, jak mi dobrze! - dodał rozmarzony.

- A wszystko to dała nam władza radziecka!

Z gardła mojej mamy wydobył się jakiś dziwny dźwięk, ni to jęk, ni to pisk.

Zdusiwszy śmiech, zerknęła na mokrą, zagrzybioną ścianę i na nasze jedyne łóżko.

- Gdzie ja cię położę? - zadumała się. W oczach Koli błysnęła nadzieja.

- Jeżeliby się znalazły jakieś gazety, mógłbym je położyć na podłodze - powiedział nieśmiało. - Przykryłbym się płaszczem. Przyzwyczyłem się tak spać w okopach.

Mama wyszła. Słyszałam, że puka do mieszkania, zajętego przez rosyjskiego oficera z rodziną. Wróciła z plikiem gazet i kilkoma workami po kartoflach.

- Pożyczyli! - powiedziała triumfująco.

Stawała się niezwykle odważna i stanowcza, kiedy prosiła o coś nie dla siebie.

Ułożyliśmy Kółkę w kącie między piecykiem a pozbawionym jednej nogi stołem.

- Jutro poszukam sobie jakiegoś kąta - uspokajał nas Kola. - Może w Wojenkomacie coś poradzą?

Mama kiwnęła głową.

- Żeby ci się udało znaleźć kąt z materacem...

Rano Kola zostawił swój tobołek i poszedł na poszukiwanie kąta. Chodził cały dzień, ale mieszkania pękały w szwach. Wszędzie gnieździli się uciekinierzy i stacjonowali wojskowi.

- Nie wiem, co robić - powiedział, kiedy wieczorem stanął przed mamą.

Mama ściszyła głośnik. Radia zabrano za pokwitowaniem, gdy tylko wybuchła wojna, żebyśmy nie mogli odbierać fałszywych, wrogich wiadomości. Głośniki podłączono tylko do miejscowej radiostacji, a w odpowiednich godzinach odzywała się Moskwa, podając ostatnie doniesienia z frontu. Teraz nadawano muzykę klasyczną. Sytuacja na froncie nie była najlepsza i deklamowano nieco mniej wierszy o Stalinie.

- W Wojenkomacie powiedzieli, że mogą mi załatwić tylko skierowanie do jednostki na front...

Mama popatrzyła na niego ze zgrozą.

- Przecież ty ledwie ruszasz ręką. Kola wzruszył ramionami.

- Jeżeli nie dadzą broni, to nie ma znaczenia... Twarz mu sposepniała.

- Nie jest to pałac Elizejski. - Mama zrobiła szeroki gest, wskazując zacieki na ścianach. - Ale chyba nie mamy wyboru... Siadaj do stołu!

Na piecyku smażył się placek z mąki kukurydzianej i grzała się rozwodniona grochówka.

- Mam przecież jeszcze koncentraty! - zawołał Kola. - W plecaku! Dlaczegoście nie wyjęli?!

Cały promieniał radością, że go nie wyrzucamy.

- Nie zmarnują się - uśmiechnęła się mama. - Ugotujesz je jutro na obiad, kiedy będę w fabryce.

Nagle Kola pochylił się i po wiejsku pocałował mamę w rękę. -

- Co to za przedrewolucyjne zwyczaje? - zaśmiała się mama. - Gdzieś się tego nauczył?

- Nikt jeszcze nie był dla mnie taki dobry - wyjąkał Kola. - Pani jest dla mnie lepsza niż matka!

Mama spoważniała.

- Nie waź się mówić źle o rodzicach w obecności moich dzieci!... I w ogóle...! - krzyknęła. - Bo zaraz ci dam w skórę w ich imieniu!

- To nie moja wina, że byli kułakami - bronił się Kola.

- Wielcy zbrodniarze! - zaśmiała się sarkastycznie mama. - Hodowali nieszczęsną świnię!

- Dwie śwynie! - poprawił ją Kola rzeczowo. - I nawet sprzedawali prosięta! A śwynie wcale nie były nieszczęsne. Powodziło im się lepiej niż mnie teraz... Ale nasz koniec będzie podobny...

- Bo to wszystko ci dała władza radziecka, prawda? - wyrwało się mamie.

- No...

Kola spojrział na nią niepewnie i nagle głośno się zaśmiał.

- Mam nadzieję, że tego nigdzie nie powtórzysz?!

Matka spojrzała na mnie groźnie, ale Kola wziął jej słowa do siebie.

- Grób-mogila! - zawołał i przeżegnał się szeroko, po chłopsku. Teraz zaśmialiśmy się wszyscy. Na stole dymiły przed nami cztery talerze z grochową wodą i placek kukurydziany.

Następnego dnia rano mama i Rywa poszły do fabryki, a Kola zabrał się do systematycznego sprzątanía. Szło mu to bardzo sprawnie mimo bezwładnej ręki.

Pomagałam mu do południa, a potem musiałam biec do mamy, żeby trafić na skróconą, wojenną przerwę obiadową. Stawałam po drugiej stronie muru i czekałam na przerzut.

Gdy ulica pustoszała, śpiewałam pieśń rewolucyjną, i gdy na dziedzińcu fabrycznym nie było nikogo, mama i Rywa przerzucały worek z wybrakowanymi zapalkami. Jeżeli na ulicy pojawiał się ktoś podejrzany, zmieniałam melodię na Żegnam się dzisiaj z wami, Cyganie. Czasami musiałam długo śpiewać i zaczynałam chrypieć.

Raz zatrzymał mnie jakiś przechodzień.

- Czego się drzesz? - spytał.

- No bo... mama twierdzi, że mam obrzydliwy głos, i nie pozwala mi śpiewać w domu - odpowiedziałam na odczepnego.

- Coś w tym jest!

Zaśmiał się i poszedł dalej. Gdyby wiedział, jaki skarb wyłądaje u moich stóp za parę minut...

Wreszcie chwyciłam tobolek i pobiegłam do domu. Kola właśnie wynosił kolejne wiadro brudnej wody do ubikacji. Chłopcy z naszego podwórka ćwiczyli na trzepaku i grali w kości.

Ilka mrugnął do mnie.

- Widzę, że najęliście służącą...

Kola pochwycił jego spojrzenie, ale ani trochę się nie zmieszał.

- Lepsze to niż wasze nieróbstwo - skontrował.

- Słusznie - poparł go Jurna. - Pracuj ku chwale socjalistycznej ojczyzny! W pocie czoła zarobisz na życie!

Poklepał Kolę po ramieniu. Ten postawił wiadro na ziemi.

- Chodźcie! Nauczę was, jak zarabia się łatwiej! - Wyszczerył do chłopców zęby.

- Umiecie ogolić piżona?

Jurna spojrział na niego z zainteresowaniem. Kola zademonstrował swój sposób: Oto dwie grupy niby to nie znających się cwaniaków podchodzą do piżona (tak nazywano bikiniarzy) z przeciwnych stron, niby niechcący go potrącają, zdmuchują mu z głowy czapkę (w Tbilisi były wtedy modne kepi) i rozbiegają się w różne strony.

Chodziło o to, by bikiniarz sądził, że czapkę ma ten, który biegnie akurat w odwrotnym kierunku, a nie ten, który ją rzeczywiście ukradł.

- Tak sobie zarabialiśmy na papierosy w sierocińcu - wyjaśnił Kola z satysfakcją.

Już się wkupił w towarzystwo chłopców. Ci ochoczo podchwycili nową zabawę. W bramie pokazała się Sara. Nie patrząc na nikogo, z dumnie podniesioną głową, przepłynęła ku schodom prowadzącym do mieszkania Jumy. Na jej widok Kola znieruchomiał. Jakby go sparaliżowało. Rzeczywiście, widok tej gwiazdy był pod naszym śmietnikiem zupełnie nieoczekiwany. Oczy Koli zrobiły się jeszcze jaśniejsze.

- Kto to?! - wymamrotał, gdy Sara zniknęła za drzwiami.

- To moja siostra cioteczna - rzucił niedbale Jurna. Widział, jakie wrażenie zrobiła na Koli, i w głębi duszy był z niej dumny.

- Kolka się zakochał! Zakochany Kolka! - zaśpiewał Ilka. Kola spurpurowiał, chwycił wiadro i uciekł do naszego pokoju.

- Nie dokuczaj mu! - rozkazał Jurna ściszym głosem. - On już swoje oberwał.

Przed powrotem mamy Kola rozpałił w piecyku i zaczął gotować kaszę z koncentratu.

- OooL. - zapiąła mama, zachwycona. - Ktoś posprzątał i umył podłogę! Nigdy chyba tak nie lśniła!

Twarz Koli rozplynęła się w uśmiechu. - Żeby było jeszcze weselej!

Mama włączyła głośnik. Nie potrafiła ani chwili wytrzymać bez szmeru radia.

Popłynęła muzyka.

- Nadaliby jakieś ładne piosenki - pożalił się Kola. - Cały czas puszczają ten hałas...

- To zaden hałas, tylko Appassionata Beethovena, ty ciemna maso! - zaśmiała się mama. - Ale niezły z ciebie chłopak... Odziedziczyłeś po rodzicach zamiłowanie do porządku. No i chyba maniery...

Kola zarumienił się.

- Tak nas wychowali w domu dziecka - odparował z uśmiechem.

- Wszystkich? - zapytała mama. - A nie było tam przypadkiem żadnego łobuza i drania?

Kola zaśmiał się głośno jak dziecko.

- Same łobuzy i dranie!

Mama spojrzała na niego poważnie.

- No widzisz, czegoś jednak cię rodzice nauczyli... Nie zapominaj o tym!

Nagle Kola zakrył twarz rękami.

- Ja was oszukałem, Mariko Georgiewna! Nie jestem bohaterem!... Bardzo chciałem!... Bóg mi świadkiem, że chciałem!...

Ale się boję! Kiedy pomyślę, że mam wracać, to mnie skurcze łapią w brzuchu! Wy nawet nie możecie sobie wyobrazić, jakie tam piekło!

Mama pogłaskała go po głowie.

- Nie martw się - powiedziała ciepło. - Wszyscy się boją! A jeżeli udają, że się nie boją, to kłamią! Kiedy strzelają do bezbronного człowieka, jego obowiązkiem jest uciekać!

Pocałowała go w czoło, tak jak całowała swojego młodszego brata, który też miał na imię Mikołaj. Może to z powodu zbieżności ich imion od razu polubiła Kole?

- Straszni ludzie! - dodała. - Straszni ludzie! Mordercy! - Siedziała teraz nieruchomo, zdawało się, wsłuchana w muzykę, ale nie słuchała jej. - Nie mogę cię tu przechować. Nie mam gdzie... Jesteśmy jak na patelni.

Muzyka w radiu się skończyła i spikerka powiedziała pieszczotliwie, jakby mówiła do małych dzieci:

- Słuchaliście, drodzy słuchacze, sonaty Appassionata Ludwika van Beethovena w wykonaniu...

Koła aż podskoczył.

- Skąd pani wiedziała, że to była ta sonata?! - Mama uśmiechnęła się, ciągle zamyślona. - Jak się odróżnia te wszystkie sonaty i symfonie? Dla mnie to tylko hałas! Nuda i już. Zawsze myślałem, że ci dyrygenci i kompozytorzy to oszuści! I ci, co chodzą na koncerty, też! Udają, że im przyjemnie, bo chcą pokazać, jacy są kulturalni, a nudzą się jak niedźwiedzie w zimie! Przecież w tym nie ma żadnej melodii!

- Jesteś ciemna masa! - zaśmiała się mama. - Nie martw się, to nie twoja wina.

Do muzyki trzeba się przyzwyczajać od kołyski... A zresztą... może to wcale nie jest potrzebne?

- O! Właśnie! Po co miałbym się do tego przyzwyczajać? Co innego operetka! - dodał rozmarzony. - Raz organizowaliśmy całą grupą kultpochod, wymarsz kulturalny na Wesołą wdówkę, kiedy przyjechała do nas operetka z Saratowa! Jaka piękna dziewczyna tam śpiewała! Jejku! Zupełnie jak siostra Niumy!

Nagle się mocno zaczerwienił.

Nie słuchałam uważnie dyskusji o muzyce. Wstrząsnęła mną wcześniejsza wypowiedź mamy: „Nie mogę cię tu przechować... Jesteśmy jak na patelni”. Matka nigdy nie szafowała frazesami.

Czekałam na odpowiednią chwilę, żeby z nią porozmawiać.

Kiedy Jurna zagwizdał na Kołę i gdzieś tajemniczo zniknęli, zapytałam:

- Schowałabyś Kołę, gdyby było gdzie? Przecież zostałby dezernerem?!

Mama zastanawiała się chwilę.

- Masz rację. Nie mogę ryzykować, mam przecież obowiązki wobec własnych dzieci...

Jej odpowiedź zaskoczyła mnie jeszcze bardziej. Wtedy sam fakt, że ktoś może zachować się na wojnie inaczej niż po bohatersku, wydawał mi się haniebnym.

- A gdyby był moim bratem... czy ojcem... tobyś zaryzykowała?! - wrzasnęłam.

- Naturalnie - odparła mama spokojnie. - Mogłabyś żyć ze świadomością, że twój ojciec zginął, bo odmówiłaś mu pomocy? Mam nadzieję, że nie przejęłaś się zbytnio tym waszym bohaterem... jak mu tam? No, tym, co donosił na własnych rodziców?!

Na twarzy matki malowała się pogarda.

- Pawlik Morozów - odpowiedziałam.

Był to jeden z głównych bohaterów naszych szkolnych czytanek.

- Właśnie - powiedziała mama z wyraźną ironią. - A więc jak? Mogłabyś donieść na mnie? Czy na kogokolwiek w ogóle?!

Jej pytanie wykluczało twierdzącą odpowiedź.

- Nie... Oczywiście, że nie! Ale... obowiązek wobec ojczyzny? Co wtedy z obowiązkiem wobec ojczyzny?!

Mama milczała dłuższą chwilę.

- Najpierw musimy ustalić, gdzie jest twoja ojczyzna. Czy to jest nasze cuchnące podwórko, czy całe Tbilisi, czy Gruzja? A może dołączymy do tego Czukczów i Jakutów z Dalekiej Północy? - Mama podciągnęła palcami kąciki oczu, udając Chinkę albo Mongołkę. - Odpowiadaj!

- Właściwie nie wiem... - poddałam się.

- No to nie filozofuj! - Odetchnęła z ulgą. - Najpierw musisz wydorosnąć i zrozumieć wiele rzeczy. - Ucałowała mnie nagle. - Na razie proszę cię bardzo, żebyś wbiła sobie w tę pustą główkę, że nie ma na świecie nic bardziej świętego i bliskiego, jak własna rodzina!

Twoja krew! Bez nas w ogóle by cię nie było! A kiedy nas stracisz... - nagle przerwała. - Mam nadzieję, że to nie nastąpi szybko...

Jej odpowiedź bardzo odbiegała od wszystkiego, co słyszałam w radiu i w szkole, ale tym razem czułam, że jestem po stronie matki: Moja rodzina była mi bliższa od narodów Afryki i Antarktydy...

Wesele

Kola spędzał dużo czasu z chłopcami. Bawili się w golenie piżona. Poczuli się ważni i potrzebni. Mnie do tej zabawy nie dopuszczano. Juma też nie brał w niej udziału. Przyglądał się z boku i czasami coś poprawiał albo udzielał jakiejś mądrej rady. Nie mogłam zrozumieć, jak oni mogą tak głupio marnować czas!

Mama od dwóch dni załatwiała coś ważnego, z kimś się naradzała. Wreszcie zawołała Kolę.

- Ktoś kompetentny twierdzi, że jedyny sposób, by zdobyć kilka dni odroczenia, to się ożenić.

Kola patrzył na mamę osłupiały.

- A z kim ja się mam ożenić?! Przecież nikogo nie znam! - zawołał.

- Z Sarą! - wyrwało mi się. - Ona jest taka piękna!

W oczach mamy błysnęła jakaś iskierka. Popatrzyła na mnie z uznaniem.

- Za wysokie progi... - mruknął Kola i oczy mu poczerwieniały. - Gdzie by ona mnie zechciała... Taka królewna!...

Rano, wychodząc do fabryki, mama powiedziała do Rywy jakby od niechcienia:

- Gdybyśmy ożenili Kolę, dostałby kilka dni dodatkowego urlopu...

Rywa spojrzała na mamę pytająco.

- On nie ma żadnych znajomych... - wyjaśniła mama. - A poza tym jest po uszy zakochany w twojej siostrzenicy...

- Ach! - krzyknęła Rywa i przystanęła. - Ale czy on niczego nie zauważył?

- Tego nie da się już nie zauważyć - stwierdziła mama. - Myślę, że byłoby dla wszystkich dobrze...

Nie dokończyła, ale Rywa zrozumiała i kiwnęła głową.

- Dlaczego nie? - powiedziała.

Na drugi dzień Juma zagwizdał pod naszym balkonem i wywołał Kołę.

- Podobno zgłupiałeś i chcesz się żenić? - zapytał.

W jego głosie nie było drwiny, raczej współczucie. Kola patrzył gdzieś w bok.

- Czy ty nie widzisz, że ona... Juma się zawahał.

- Widzę - uciął Kola. - No i co? Juma patrzył na niego z politowaniem.

- Czy to warto, dla paru dni urlopu? Wiesz, co ryzykujesz? Kola spojrzął na Jumą i odpowiedział dobitnie:

- Chcę jej zostawić mój atestat. (Atestat - to upoważnienie do odbioru przez rodziny wojskowych ich żołdu w wypadku śmierci na froncie.) - Dla dziecka! Chcę, żeby nosiło moje nazwisko...

Juma ściągnął brwi.

- A co będzie, jeżeli wrócisz i zakochasz się naprawdę? Chcesz przez całe życie bulić alimenty cudzemu bachorowi?

- Ja nie wrócę - odparł spokojnie Kola.

- Wariat jesteś! Ale to twoja sprawa. W takim razie masz! Juma wyciągnął bilet do kina.

- Co to? - zdziwił się Kola.

- Bilet na Młodość Maksima - odparł Juma. - Nie wiem, jak to jest u was w okolicach Orła, ale u nas w Odessie dziewczyny nie wychodzą za nieznajomych...

Usiądziesz w kinie obok niej. Musisz ją rozbawić.

Kola wziął bilet i popatrzył na Jumą bezradnie.

- Staraj się! Masz bardzo mało czasu!

Juma odwrócił się i pobiegł na górę, stukając ciężkimi żołnierskimi butami.

Kiedy Sara i Kola wrócili z kina, było jeszcze całkiem jasno. Wiosna już dawała o sobie znać. Ociepliło się i sąsiedzi wylegli na balkony. Rozparci jak w operowych łóżach, obserwowali „narzeczonych”. Kola włókł się parę kroków za Sarą.

Ta, nie oglądając się, weszła po schodach i zniknęła w pokoju Rywy. A Kola bez słowa pożegnania, bardzo smutny, skręcił na nasz balkon. Nie śmiałam o nic pytać.

Kiedy się ściemniło, Juma zagwizdał pod naszym balkonem i wywołał Kolę.

- Sara powiedziała, że nawet z tym brzuchem nie pójdzie za głuchoniemego...

Kola opuścił głowę i nic nie mówił.

- Dlaczego się do niej ani razu nie odezwałeś?! Czy to dziewczyna ma zaczepiać faceta? Czy jak? Jak ty to sobie wyobrażasz?!

Kola zerknął na mnie, potem na Jumą.

- Zatkalo mnie - wyjaśnił.

Juma popatrzył na niego z niedowierzaniem. Chwilę się zastanawiał.

- No dobrze - zdecydował. - Jutro przyniosę wam bilety na ten sam film. Namówię ją na jeszcze jedną próbę. Kiedy tylko rozpocznie się projekcja, masz się do niej odezwać! Powiesz, że już to widziałeś, i zapytasz, czy ona ma zamiar oglądać go po raz drugi. No i zaproponuj jej spacer... I masz całą drogę gadać!

Jasne?!

- Jasne - westchnął Kola. - Ale co ja mam mówić?!

- Opowiadaj jej, jaka jest wspaniała. Zaczynij od tego, że jest najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkałeś! No i tak dalej...

Teraz Kola spojrział na niego z niedowierzaniem. - I tak całą drogę?

- Jeżeli ci do tej pustej makówki nic lepszego nie przyjdzie, to całą drogę!

Kobiety nigdy nie nudzą takie pochlebstwa.

Kiedy następnego dnia Sara i Kola wrócili z kina, było już prawie ciemno.

Trzymał ją pod rękę i opowiadał coś wesołego, bo często się śmiali. Zatrzymali się przy bramie, rozmawiali jakiś czas i znowu poszli dalej, do rogu ulicy. Tak spacerowali pod bramą jeszcze godzinę. Wreszcie Kola wrócił do domu rozmarzony.

Mama postawiła przed nim talerz grochówki, którą przyprawiła kawałkiem cebuli, obsmażonej w jakimś podejrzanym, słodkawym oleju. Twarz Koli promieniała radością i nagle spostrzegłam, że na swój sposób jest i ładna, i bliska.

- Podobasz mi się taki uśmiechnięty. - Mama jakby przechwyciła moją myśl. -

Ludzie powinni jak najczęściej się uśmiechać!

- Tak - zgodził się Kola. - Dziś poznałem najpiękniejszą, najmądrzejszą i najlepszą dziewczynę, jaka kiedykolwiek chodziła po świecie! Chcę, żeby wszyscy byli uśmiechnięci i szczęśliwi, bo mimo wszystko szczęście istnieje!

Mama z trudem powstrzymywała śmiech...

- A dużo dziewczyn znalazłeś? - zapytała niby to bardzo poważnie. Kola spojrzał na nią zmieszany.

- Tak naprawdę... bliżej nie znałem żadnej...

W ten sposób na naszym podwórku pojawił się jeszcze jeden szczęśliwy człowiek.

Pozostawało parę dni do ślubu. Więc mama i Rywa z podwójnym zapalem czyściły fabrykę z wybrakowanych zapalek. Bez przerwy biegałam tam i z powrotem, aż mnie gardło bolało od śpiewu pod murem. Wszystkie koleżanki w fabryce pomagały im, jak tylko mogły. Kiedy przywlekłam do domu kolejny, wyjątkowo ciężki worek, Fira się przestraszyła.

- Czy one nie za nachalnie tam czyszczą? Co będzie, jak je złapią? - zapytała zatroskana.

- Rywa mówi, że im Bóg pomaga w dobrej sprawie - odparłam pewnym głosem.

Przecież Kola musiał wykorzystać swój życiowy przydział kilku dni szczęścia.

Trochę z tego szczęścia promieniowało na mnie, bo Jurna eskortował mnie osobiście na targ, gdzie wymienialiśmy zapalki na cebulę, kartofle i owoce, i pomagał mi dźwigać worki. Znosiliśmy kapustę, buraki, marchew, wspomagani przez adiutantów Jurny, którzy przy okazji podkradali, co się dało.

Kola cały ten czas spędzał z Sarą, która podjęła się doprowadzić do jakiego takiego porządku jego garderobę.

W przeddzień ślubu wysłano nas jeszcze po zieleninę, rzodkiewki i mąkę kukurydzianą. Z dnia na dzień robiło się coraz cieplej. Na targu pojawiły się dwie baby z naręczami mimozy. Nikt nie zwracał uwagi na kwiaty, ludzie polowali na jedzenie.

Juma nagle się zatrzymał.

- Coś mi się należy za targanie marchewki! - zawołał i wyciągnął garść zapalcanych grzebyków. - Mógłbym to potraktować jako moje koszyczkowe, jak myślisz?

Spojrzał na mnie pytająco.

- Chyba tak...

Nie zrozumiałam, o co mu chodzi. Podszedł do kwiaciarek i wrócił z ogromną wiązanką.

- Sara przepada za mimozą - wyjaśnił. - Masz, przechowaj tę miotłę do jutra.

Dasz ją Sarze przed ślubem i powiesz, że to od Koli. Podejrzewam, że mu nic takiego nie wpadnie do głowy.

Wręczył mi kwiaty. Spacer z tą miotłą wyraźnie go krępował.

Weselny wieczór był upalny. Ze wszystkich mieszkań wyniesiono na podwórko stoły i krzesła. Dni stały się dłuższe, a że uroczystość wypadła podczas pełni księżyca, nie

musieliśmy się martwić o oświetlenie. Przyjaciele Rywy i Sary z Odessy przynieśli półmiski z rybą, forszmak i garnki z cymesem, który okazał się duszoną marchewką. Znalazło się tych przyjaciół co niemiara. Zaproszono też wszystkich sąsiadów. Przymaki z półmisków znikwały w okamgnieniu.

Matka kupiła kawałek szarego, śmierdzącego mydła z oleju rycynowego (producenci wykupywali ten olej w aptekach całego miasta) i udało nam się jakoś domyc ręce, twarz i szyję. Policzki płonęły nam od szorowania. Żeby przytłumić smród mydła, sąsiadka skropiła nas tanimi perfumami o namiętnej nazwie „Karmen”. Śniada twarzyczka sąsiadki płonęła bardziej niż zazwyczaj, bo wróciła z prowizorycznej łaźni w baraku, zbudowanym w tym celu koło dworca. Łaźnia nazywała się teraz Sanobrobotka, czyli Obróbka Sanitarna, i pełniła funkcję odwyszalni dla młodszych oficerów i ich rodzin. Dyżurna wlewała w dłonie nagusów szare, żrące mydło, które pienilo się i ściągało grubą warstwę brudu. Niestety, żeby się dostać do Sanobrobotki, należało zaskarbić sobie względy któregoś z oficerów, by zechciał odstąpić swój specjalny talon. Podkochujący się bez wzajemności w ślicznej Irce oficer, zakwaterowany u sąsiadów na piętrze, ofiarował jej talon chwilowo nieobecnej żony. Wyparzona w gorącej wodzie Irka zabłysła pełnią swej urody.

Rozpromieniona i domyta, pomachała ręką ofiarodawcy i rzuciła wesołe „dziękuję”!

A ten, zachwycony, patrząc na nią z wysokości pierwszego piętra, zawołał na cały głos:

- Iren! Ja zawsze wyczuwałem, że kobieta po Obróbce Sanitarnej jest znacznie piękniejsza niż przedtem!

Odtąd jeszcze przez wiele lat na naszym podwórku kąpieli nie nazywano inaczej niż Sanobrobotka.

Mama kupiła mi na tę okazję pantofle, a raczej kapcie, zręcznie zmajstrowane z kawałków opony od studebakera i sznurka. Tak odświętnie obuta chciałam znaleźć się jak najbliżej Jurny, ale on siedział obok narzeczonej, a mnie nie wypadało się pchać do głównego stołu. Chyba jednak mnie dostrzegł, bo gdy usiadłam na stopniach naszego balkonu, wstał, podszedł do Firy, szepnął jej coś i Fira przyniosła mi talerz pełen zakąsek. Nigdy nie przypuszczałam, że ryba może być tak smaczna! Siedząc na balkonie, zajadaliśmy z bratem prawdziwe smakołyki. O czymś takim nie mogłam dotąd nawet marzyć z braku wyobraźni.

Jedzenie szybko zniknęło z półmisków, nie brakowało tylko wina, ale dzieciom go nie dawano. Jurna był starszy, więc napił się z Kolą, na policzkach zakwitły mu rumieńce, a ciemne oczy załśniły jeszcze mocniej. Wkrótce wyniesiono stoły, ludzie z Odessy wyjęli skrzypce i akordeon i skocznie zagrali do tańca. Wtedy słyszałam te rytmy po raz pierwszy.

Wyjaśniono mi, że to stare piosenki odesskich Żydów. Teraz, gdy słyszę którąś z nich w postaci modnego przeboju w nowej instrumentacji, wypływa w pamięci ten wieczór, wiosenny i ciepły, przesycony bolesnym szczęściem. Są to bowiem melodie dobrych chwil mojego dzieciństwa, a przede wszystkim Jurny i Koli.

Tańce rozpoczęli mężczyźni z Odessy, dołączyła do nich Fira i reszta gości, a potem już tańczyli wszyscy, dorośli i dzieci, każdy, jak umiał i jak chciał.

Zrobiło się bardzo wesoło, przybiegli ludzie z sąsiednich podwórek. Odessa rozbawiła nas ponad miarę, a że nie należało się w tych czasach zbyt radować, zaraz zjawił się jakiś oficer obwieszony medalami, gromko uciszył muzykantów i nawymyślał wszystkim, że się bawią, kiedy na froncie giną żołnierze. Wtedy wystąpiła Fira w bojowej pozie i zawołała mocnym głosem, który zawsze było słyhać na całą ulicę:

- Właśnie urządzamy pożegnalny wieczór bohaterowi, który wraca na wojnę!

I wskazała na Kolę. Kola zupełnie nie wyglądał na bohatera. Chudy nastolatek, z błogim uśmiechem nawiedzonego wodził zakochanymi oczami za Sarą, nie widząc poza nią świata. Sara tańczyła ochoczo, nie bacząc na ogromny brzuch. Tylko Jurna i Kola nie dali się wciągnąć w podskoki. Pewnie nie umieli tańczyć, a ambicja nie pozwalała im obnażyć słabości. Oficer odszedł, ktoś wystawił na balkon stary patefon i zachrypiały przedwojenne tanga i fokstroty. Tańczono na wszystkich balkonach, na parterze i na piętrze. Podeszłam do Koli i usiadłam koło niego.

Pomyślałam, że to ostatnia chwila, by z nim porozmawiać.

- Kim chciałeś zostać, zanim wybuchła wojna? - zapytałam.

- Lotnikiem! - odpowiedział bez chwili namysłu. - Zawsze chciałem być lotnikiem!

- A ty? Kim chcesz zostać, gdy dorośniesz? - usłyszałam nagle za sobą głos Jurny.

Zaskoczona, odwróciłam się. Jurna stał obok mnie.

- Komisarzem Oświaty! - odpowiedziałam bez wahania, bo o tym właśnie marzyłam w tamtych czasach.

- Cooo?! Dlaczego?! - zdziwił się Juma.

- Zaraz bym powyrzucała ze szkół wszystkich nauczycieli, którzy biorą łapówki i stawiają najlepsze stopnie tępym uczniom!

Musiałam to powiedzieć z wielką pasją, bo Juma położył rękę na mojej dłoni i lekko ją uściśnął.

- Bardzo śmieszne z ciebie stworzenie - powiedział serdecznie. - Powinnaś zmienić szkołę - dodał po chwili namysłu.

Od tego dotyku i od ciepła jego głosu zachciało mi się rzucić w jakiś niesamowity, szalony taniec. Poczułam, że w tej chwili potrafiłabym zaśpiewać pięknie jak nigdy. Niczego takiego na szczęście nie zrobiłam, ale wspomnienie tego wieczoru dodawało mi sił jeszcze długo, kiedy to musiałam znosić nowe upokorzenia i niesprawiedliwości, których nigdy nie brakowało. Powzięłam nagle twarde postanowienie, że zabiorę się do nauki: najpierw w domu, potem w nowej szkole, jak mi doradzał Juma. Z tych marzeń wyprowadził mnie głos liki, który zawsze się kręcił koło Jurny.

- Jak człowiek zacznie jeść, toby jadł i jadł! Teraz bym wrębał jeszcze talerz makaronu, takiego, jaki robili przed wojną!

- Dlaczego makaronu? - zdziwił się Juma. - Tyle jest lepszych rzeczy! Mój dziadek z Odessy mawiał: „Czego potrzebuje biedny, stary Żyd? Kawalka świeżej bielusieńkiej bułeczki... A kawior? Kawior, czort z nim, niech będzie czarny!”

Ilka głośno się zaśmiała.

- Nie wiem, jak smakuje kawior.

Też się zaśmiałam i powiedziałam pobłaźliwie:

- Nie wiesz też, jak smakuje prawdziwy makaron! To, co wyrabiają w fabrykach, to namiastka! Prawdziwy makaron rośnie tylko w słonecznej Italii na wiecznie zielonych drzewach i nazywa się spaghetti! Oni tam jedzą świeże, pachnące, zielone makarony. Nawijają je na widelec! A makaron pokrajany i wysuszony w słońcu do białości przysyłali nam jeszcze przed rewolucją...

Ilka aż otworzył usta ze zdumienia, a Juma popatrzył na mnie jakoś dziwnie.

- Słyszałaś to oczywiście od ojca? Bardzo musiał mu smakować taki makaron w dzieciństwie, przed rewolucją.

- Skąd wiesz? - zdziwiłam się.

- Domyśliłem się - odpowiedział Juma. - Po prostu marzę o spotkaniu z twoim ojcem. Zadałbym mu parę pytań...

- Odpowie na każde! - zapewniłam go.

- To już zrozumiałem - odrzekł Jurna, uśmiechnął się i poszedł do siebie na górę.

- Mogłabym nie spać do rana - zwierzyłam się Koli. - Dziś jest tak cudownie i niezwykle...

Był to rzeczywiście wyjątkowy wieczór. Nie przeszkadzał nam nawet fetor z rozgrzanego śmietnika i z wychodka, napływający falami z każdym powiewem wiatru.

- Tak - z radością zgodził się Kola. - Dziś wszystko jest takie nieprawdziwe i bajeczne... I wszystko to dała nam władza radziecka - dodał z przyzwyczajenia, ale przerwał, poszukał oczami mojej mamy i zaśmiał się.

Mama też się zaśmiała i kazała mi iść spać. Kola poszedł do Sary, a żeby zwolnić nowożeńcom pokój na noc poślubną, cała rodzina Sary została u Rywy. Kola zniknął na kilka dni. Przyszedł do nas przed samym wyjazdem na front. Trzymając na kolanach żołnierską czapkę, rozejrzał się dokoła.

- Mariko Georgiewna, jak się niby nazywa ten pałac? No ten, co nim nie jest wasze mieszkanie? - zapytał nagle.

- Pałac Elizejski - powiedziała mama.

- Dla mnie ten dom był lepszy od wszystkich Elizejów - zawołał z przekonaniem. -

Jeżeli Bóg zechce zażartować i mnie ocali, to na pewno wrócę... Przyjadę i zrobię tu remont!

- Kola - zaczęła mama niepewnie. - Nie włącz pod kule!... Pokochasz to dziecko...

Ono nikomu przecież nic złego nie zrobiło... A później napłodzisz własnych...

Kola objął mamę i pocałował ją po rosyjsku, z dubeltówki.

- Kula mnie sama znajdzie...

Potem szybko, w pośpiechu, pocałował mnie i brata i wybiegł.

Bez Koli zrobiło się w domu bardzo pusto. Chłopcy przestali się bawić przy śmietniku i gdzieś się wynieśli. Juma też zniknął na całe godziny. Nie mogliśmy razem chodzić na zwiady ani do natarcia, ale przecież mogłabym zostać członkiem jego paczki. Zapytałam przy okazji ostrożnie, kiedy znowu pójdziemy ratować ekspedientki przed mankiem. Udał zdziwienie.

- Coś ty?! Zapomnij o tym! Przycisnęłam Ilkę w bramie.

- Dlaczego Juma mi nie ufa? Dlaczego nie bierzecie mnie ze sobą? - zapytałam wprost.

- Daj spokój - wywinął się Ilka. - To nie jest kwestia zaufania... Robimy teraz całkiem co innego - dodał tajemniczo. - Baby się do tego nie nadają.

I splunął z fasonem. Chciałam koniecznie wiedzieć, co robią, a jemu jeszcze bardziej chciało się mówić. Uśmiechnął się.

- Golimy piżonów pod kinem.

Okazało się, że Juma zorganizował sprzedaż modnych podówczas czapek z daszkiem wprost z głowy piżona. Chłopcy kręcili się pod kasą kina czy na peronie stacji, a Juma przyjmował zamówienia od ewentualnych nabywców.

- Ta - mówił nabywca, wskazując palcem czapkę, która mu się podobała. - Ta beżowa w kratkę na łbie tego z zakrzywionym nosem!

Juma ustalał z nim sumę, umawiał się, że za dziesięć minut czapka będzie na jego głowie, i rzeczywiście...

- Czysta robota bez ryzyka - pochwalił się Ilka. - Żadne tam rozkradanie państwowego mienia...

Wściekłam się, że dla mnie nie ma w tej zabawie miejsca.

- Papła jesteś! - rzuciłam mu zamiast podziękowania za informację. - Juma wyrzuciłby cię z paczki, gdyby wiedział!

Twarz liki się wyciągnęła.

- Ja przecież nikomu nie mówiłem, tylko tobie!... - usprawiedliwiał się, przestraszony.

- Jak tajemnica to tajemnica! - pouczałam go, odchodząc. - Pary z ust!

Chyba już po miesiącu Sarze przysłano zawiadomienie, że jej mąż poległ w walce za Ojczyznę. A w miesiąc później urodziła syna, któremu dała na imię Kola.

Moje kontakty z Jurną coraz bardziej się rozluźniały: Cały czas przybywał poza domem, a ja się zabrałam do nauki. Przeniosłam się do rosyjskojęzycznej szkoły pod takim oto pretekstem, że muszę zgłębiać ten język na wypadek, gdybym miała studiować poza Gruzją. Naprawdę chodziło o to, że do rosyjskich szkół uczęszczało dużo dzieci uciekinierów, ubranych w takie same łachy jak moje. Zaczęłam też pomagać sąsiadce, która wymyśliła nowy sposób zarobkowania. Organizowała skądsz zużyte spadochrony i na tym jedwabiu techniką batiku barwiłyśmy apaszki.

Wkrótce po wyzwoleniu Odessy cała rodzina Rywy zniknęła tak samo nagle, jak się pojawiła. Wyjechali do swojej Odessy-mamoczki, co od dawna zapowiadali, klóiąc się z niejakim Iwanem Iwanowiczem Iwanowem. Klócili się przeważnie o to, że Dewi za długo przesiaduje we wspólnej ubikacji, położonej w rogu pierwszego piętra. W zatłoczonym pokoju Dewi nie mógł rozłożyć swoich dziecinnych książeczek, zamykał się więc z nimi w ubikacji, a wiecznie pijany Iwan Iwanowicz krzyczał na całe podwórko:

- Przekłęci Żydzi! Co was tu przyniosło?! Wynście się, dranie, z mojego miasta!

Życie nie dadzą spokojnym ludziom! Jeszcze was tu brakowało!

Ale Fira nie dała się zastraszyć.

- Ty pijaku cuchnący! - krzyczała tak, że słychać było na sąsiednich podwórkach.

- Odczep się od moich dzieci! Niech no tylko wyzwolą naszą kochaną Odessę! Tyle nas zobaczycie! - I pokazywała figę. - Nasrali my na wasz Tyflis!

Kochaliśmy ich sprzeczki i śmialiśmy się do rozpuku, bo Iwan Iwanowicz przez całe życie nie zadał sobie trudu nauczenia się choćby jednego gruzińskiego słowa, a „aborigeni” bardzo go złościł, toteż po pijanemu lżył Gruzinów wcale nie mniej niż Żydów. Z jego krzyków wynikało, że czułby się w tym kraju bardzo szczęśliwy, gdyby nie obecność paskudnych Gruzoszek, jak obraźliwie nazywano Gruzinów.

Jeszcze długo tęsknie spoglądałam na piętro i schody, gdzie zwykł siadać Jurna z książką na kolanach. W ich pokoju zamieszkała już inna, zupełnie mnie nie interesująca rodzina.

Minęło kilka lat. Studiowałam w Moskwie i przyjechałam na wakacje do domu. Przez ten czas przepoczwarzyłam się. Gdybym napisała, że w pięknego motyla, byłaby to oczywiście przesada, ale powiedzmy, w dziewczynę, której nie grozi samotność.

Teraz, już domyta, miałam własne buty właściwych rozmiarów i dość ładną sukienkę z Polski. Kochałam się zupełnie w kimś innym i to z wzajemnością.

Tego dnia wracałam z administracji domu. Całkiem nową urzędniczkę znienawidziłam tak samo jak poprzednią. A nadal nie stać nas było na łapówkę. Złożyłam w administracji kolejną pisemną skargę, że przekłeta rura z kuchni sąsiadów zalewa nam sufit i ściany. Nie miałam żadnej nadziei na załatwienie tej fatalnej sprawy. Nagle zobaczyłam Jumą! Poznałam go z daleka i mimo wszystko serce zabiło mi mocniej. Szedł tym swoim niespiesznym, ale zdecydowanym krokiem z takim wyrazem twarzy, jakby cała ulica należała tylko do niego. (Co ja mówię?! Cała dzielnica, a może całe miasto!) Jeszcze mnie nie zauważył. Usta rozplynęły mi się w szerokim uśmiechu.

- Juma! - krzyknęłam i rzuciłam się ku niemu.

Przez chwilę zdawało mi się, że coś zabłysło w jego oku, ale nie drgnął, nie zwolnił, wyminął mnie i poszedł dalej, jakbyśmy się w ogóle nie znali.

- Juma! Nie poznajesz mnie?! - krzyknęłam. Nie odwrócił się.

Wieczorem wpadł do mnie Ilka.

- Naum kazał ci przekazać, że jeżeli go kiedykolwiek zobaczysz na ulicy, nie podchodź i nie odzywaj się! - powiedział rozkazującym tonem.

- Dlaczego?! - wybuchnęłam. - Co ja mu złego zrobiłam?!

- Nic - odparł Ilka. - Naum twierdzi, że ty teraz jesteś zupełnie kimś innym.

Powinnaś zająć wysoko i dobrze wyjść za męża. Kto się z tobą w Tbilisi ożeni, jeżeli będziesz zadawać się z takimi jak my?

- Nie chcę wyjść za męża! - zawołałam, ale zaraz machnęłam ręką.

Wiedziałam, że z Jurną nie ma dyskusji... Skoro tak postanowił...

- Co on robi w Tbilisi? Do kogo przyjechał? - wypytywałam Ilkę.

- Robi wielki biznes!... - uśmiechnął się Ilka. - Możesz być pewna, że nie zajmujemy się takimi głupstwami jak wtedy!... Ale to nie twój interes!

Nie dane mi było więcej spotkać Jurny. A Ilka w parę miesięcy później zginął, dźgnięty nożem w jakiejś przypadkowej bójce.

Nie ma już schodów, na których siadywał Juma, ani naszego podwórka. W latach siedemdziesiątych, po śmierci mamy, w naszym rozpadającym się domu przeprowadzono gruntowny remont, na co czekaliśmy przez lata. Ledwie skończono remont, cały dom rozebrano, poszerzając plac przylegający do dworca. Na tę chwilę czekaliśmy latami i przestaliśmy wierzyć, że nadejdzie za naszego życia. Tylko matka żyła marzeniem o nowym mieszkaniu. Niestety, nie dożyła.

Zita

Otoczone zielonym pierścieniem gór, Tbilisi kojarzy mi się z głębokim talerzem.

Leżące w kotlinie miasto amfiteatrem opada ku rzece, którą my, tubylcy, nazywamy Mtkwari, a Rosjanie Kurą. Mtkwari, wirując i kipiąc na wiosnę, a ledwie szemrząc w dniach letniej posuchy, przecina ten talerz na dwie połowy: wyższą i niższą.

Kręte uliczki, stromo wspinające się w górę, są ciasno zabudowane, dzięki czemu zyskuje się cień, a godne matrony, spożywające wieczerzę w łóżach swoich rzeźbionych w drewnie balkonów, nie muszą podnosić głosu, rozmawiając z sąsiadkami z naprzeciwka. Brukowane kocimi łbami jezdnie są pośrodku nieco wklęsłe, bo podczas ulewnych deszczów zamieniają się w rwące potoki. Tylko dwie główne ulice, te, które biegną wzdłuż rzeki, są równe. Ta na lewym brzegu nazywała się Prospekt Plechanowa. Zawsze mnie zastanawiało, co ten biedny Plechanow ma wspólnego z moim Tbilisi. Utało się, że na Prospeckie Plechanowa spacerowała młodzież wielu narodowości: czarnowłose Ormianki, o błyszczących jak gagaty oczach, rozchichotane Chochołki - tak nazywaliśmy Rosjanki i Ukrainki - o oczach rozświetlonych błękitem i mnóstwo innych przedstawicieli różnych ras i języków.

Na wyższym, prawym brzegu rzeki, biegł Prospekt Szoty Rustawelego, klasyka gruzińskiej poezji z dwunastego wieku. Przechadzały się tam dumne Gruzinki, udając, że nie dostrzegają zaczepnych spojrzeń chłopców, cienkich w talii jak osa. Nie rozglądając się na boki, wpatrzone w jakiś punkt przed sobą, szły godnie, jak nakazywała przyzwoitość i tradycja.

Na Prospekt Rustawelego rzadko zapuszczali się tamci z niższego brzegu, a już na pewno nie Kurdyjki w szerokich wielobarwnych spódnicach i różnokolorowych fartuszkach. Kurdowie gnieździli się przeważnie w piwnicach na peryferiach miasta i w okolicy dworca.

Dokoła targu można było zobaczyć roztańczone Cyganki z obowiązkowymi złotymi kołami w uszach, a na samym targu spotykali się wszyscy: Chewsurzy i Gurijcy, Polacy i Szwedzi, Ajsorzy i Turcy.

Na niewielkim obszarze milionowego miasta rozbrzmiewała muzyka różnych języków, krzyżowało się mnóstwo dialektów i żargonów - wszystko rozkrzyczane i pstrokate.

Takie było Tbilisi mojego dzieciństwa.

Wychwytywaliśmy obce, śmiesznie dla nas brzmiące słowa, włączaliśmy je do naszej sztubackiej gwary, aż stawały się częścią potocznej mowy ulicznej, zaśmiecając niemilosiernie nasz język. Ale kto by się temu oparł? Wszystko mieszało się i kotłowało niby musujące wino w gigantycznym glinianym dzbanie. Rozśpiewane i roziskrzane, jak na obrazie Wowy Kandelaki.

Tylko ja jedna chodziłam zapłakana i nieszczęśliwa... Stop! Znowu kłamię! Nie wszyscy wesoło tańczyli!

Przed wojną Chaczyk pełnił obowiązki pomocnika sławnego w Tbilisi malarza pokojowego Zaks. Stary Zaks dobrze znał swój fach, klienci ustawiali się do niego w kolejce, bo każdy, komu zgodził się odmalować mieszkanie, mógł spać spokojnie: Wiedział, że w ciągu najbliższych lat nie posypie mu się tynk na głowę i nie popękają sufity.

Zaks nie miał potomstwa, więc kiedy siostra jego żony Arszy umarła, wziął osieroconego Chaczyka na wychowanie. I chociaż nie umiał okazywać czułości, troszczył się o Chaczyka jak ojciec i nauczył go wszystkiego, co sam umiał.

Jako pomocnikowi Zaks, Chaczykowi powodziło się całkiem nieźle na wszystkich etapach budowy socjalizmu w Gruzji. I nigdy nie odczułby egzystencjalnej nicości i niepokoju, zrodzonego z gwiazdnej nieskończoności, gdyby nie Zita.

Zita mieszkała na sąsiednim podwórku i często przybiegała do mojej mamy. Panie poczuły do siebie sympatię od pierwszego dnia, kiedy to sprowadziliśmy się do nory przy ulicy Gogola, tuż koło dworca. Mimo pewnego dystansu bardzo się lubiły.

Zita wyznawała dziwaczną zasadę: Nigdy nie wchodziła do obcego mieszkania.

Stawała na kocich łbach podwórka w odległości około metra od balkonu i słodkim głosem wołała: - Marika! Ma - ri - ka!

Wtedy, jak na komendę, pojawiali się w oknach i na balkonach sąsiedzi i wpatrywali się w Zitę. Mama siadała na krześle, wyprostowana, spinała ciężki zwój czarnych włosów nad

karkiem, kładła rękę na poręczu balkonu i uśmiechała się do Zity zachęcająco. Ta otwierała mały tomik i trzymając go w cienkich palcach jak modlitewnik, zaczynała czytać któryś z wierszy Jesienina - rzadziej Igora Sewierianina czy Błoka. Jesienin był jej pasją. Zawsze czytała tylko jeden wiersz. Chętnie bisowała, ale nigdy nie częstowała nas następnym wierszem. Pozostawiała słuchaczy z jedną tylko frazą poetyckiej melodii, która długo brzmiała w naszych uszach. Starannie przygotowywała się do każdego występu. Znała na pamięć wszystko, co napisał Jesienin, ale każdy wiersz przygotowany na kolejny popis jakby w niej dojrzywał.

W radiu nigdy nie czytano Jesienina, choć stalinowska cenzura nie umieściła go na indeksie. Po prostu radziecka władza nie lubiła tego rodzaju wierszy, bo w żaden sposób nie mogła przykleić im etykiety „sorealistyczny”. Zresztą aktorzy i spikerzy swoim patosem i manierą podwywania (od słowa „wyć”) potrafili zabić każdą poezję.

Zita czytała jasno, czasami z dystansem i z humorem, czasami wybijając rytm sylabami i wyśpiewując melodię. Niewielkim, bardzo dźwięcznym głosikiem umiała przydać barwy każdej linijce. Deklamując, nigdy na nas nie patrzyła, tylko odwracała twarz w stronę któregoś z okien. Potem zamykała książeczkę i zerknęła na mamę, pochylając głowę i szukając aprobaty w jej oczach. Mama, oczarowana, zaczynała klaskać, a za nią reszta słuchaczy. Żądali bisu. Zita wdzięcznie się uśmiechała i czytała ten sam wiersz w zupełnie nowej interpretacji.

Słowo „piękna” do niej nie pasowało. Mówiliśmy o niej po prostu: „Słodka Zita”.

Drobna, kobieca, patrzyła na nas ogromnymi czarnymi oczami, rozchyłała czerwone usta i pokazywała lśniące ząbki. Jak dziecko w oczekiwaniu na cukierek. A przecież była prawie rówieśnicą mamy, czyli starą, dwudziestoparoletnią kobietą.

Śniada cera jej okrągłej buzi paliła się na policzkach mocnymi, nienaturalnymi rumieńcami.

- Czy to nie jest genialne? - Zita domagała się pochwały dla Jesienina. - Mariko, czy widzi pani ten obraz?!

- Widzę! - wołała matka. - Wszystko widzę!

A Zita, posyłając sąsiadkom łobuzerski uśmiech, powtarzała: „Plujże, wietrze, garściami liści... Jestem takim jak ty chuliganem!” Iwan Iwanowicz, jeśli bawił w domu, kołysał się do przodu i do tyłu na swym piętorku i stwierdzał kategorycznie:

- Nie masz na świecie poetów lepszych niż rosyjscy!

I choć nikt mu nie przeczył, wyciągał rękę z kieszeni spodni i uderzając palcem w futrynę, podnosił głos do krzyku:

- Ja wam oznajmiam, że nie ma! Kropka!

Tamara, sąsiadka z balkonu naprzeciwko, która nie cierpiała Iwana Iwanowicza, wołała głośno:

- Biiis!

Nie wiem, czy Chaczyk doceniał piękno wierszy Jesienina, czy urzekła go tylko ich melodia w mistrzowskim wykonaniu Zity, a może rozstrajała słodycz jej głosu, ale jego twarz powoli smutniała i wpadał w głębokie zamyślenie, niczym w letarg.

Chaczyk

Pewnego dnia, kiedy Chaczyk siedział na progu swojego mieszkania, smutny i wpatrzony w przestrzeń międzyplanetarną, pojawił się mój ojciec. Wracał po pracy zmęczony, ale że bardzo lubił Chaczyka, zaniepokoiła go tęsknota, wypisana na ciemnej, pociągłej twarzy pomocnika malarza. Jeszcze przed moim urodzeniem, kiedy Stalin i partia zabrali się do wychowywania obywateli, czyli w głodnych latach kolektywizacji, ojciec, żeby móc się uczyć, dorabiał na życie, pomagając Zaksowi w malowaniu mieszkań. Jako malarz, nie dorównywał oczywiście Chaczykowi, ale starał się, jak mógł, i Zaks chętnie go zatrudniał.

- Coś taki zafrasowany, Chaczyk d!żan? - zagadnął ojciec wesoło. „Dżan” po ormiańsku to ktoś, komu życzymy najlepiej.

- Ech! - ocknął się Chaczyk. - Powiedz mi, Zuku, co za sens ma moje życie? Do śmierci będę tylko skrobał sufity i poplamione ściany! A cała moja rozrywka, to coś zeżreć i napić się wina... Moja dusza pragnie poezji, a skąd ja ją wezmę?!

- Wiersza naszego powszedniego domaga się dusza twoja?! A więc jesteś zakochany!

- zawołał ojciec. - Pożyczyć ci jakąś dobrą książkę?

- Nie! Już próbowałem... Nad prozą zasypiam. Nie mam praktyki, jak ty... A wiersze potrafię czytać tylko te, które deklamuje Zita, bo wtedy słyszę jej głos... Znam je na pamięć.

Ojciec zamyślił się głęboko.

- Czas, żebyś się zakochał! - oznajmił w końcu.

- Chcesz, żebyśmy się ożenił z cycatą Sedą albo z tym kurduplem Sylwą i napłodził kupę głupich dzieci?

- Seda nie jest głupia - zaprzeczył ojciec. - To poczciwa, praktyczna dziewczyna.

Będziesz miał czysty dom i zapasy na zimę...

Ojciec ciężko westchnął, bo w naszym pokoju zawsze panował bałagan, a o żadnych zapasach mowy być nie mogło.

- Nie chcę mieć zapasów na zimę! - warknął Chaczyk. - Nie chcę czystego mieszkania!

Ojciec przyjrzał mu się uważnie.

- Chyba wiem, czego chcesz! - zawołał. - Ty się już zakochałeś! I nawet domyślam się, w kim!

Chaczyk bardzo się zmieszał. Nawet na tak śniadej twarzy widać było rumieńce.

- To beznadziejne... - wyszeptał.

- Nigdy nic nie wiadomo - zamyślił się ojciec. - Musisz spróbować.

Chaczyk spojrział na niego zdumiony.

- Idź na bazar, kup czerwoną różę i ofiaruj ukochanej!

- Kupię dwadzieścia i co z tego?!

- Nie rozpędzaj się! - skarcił go ojciec. - Skąd u ciebie te kupieckie zapędy?

Jeżeli przyniesiesz jej pięćdziesiąt róż, to tak jakbyś od razu obiecał trzypokojowe mieszkanie i futro. Mogłaby cię uznać za kłamcę i samochwałę.

- Ale dlaczego jedną?

Ojciec uśmiechnął się tajemniczo.

- Ma to być czerwona, bardzo piękna, nierozwinięta róża, całkiem naga, jak twoje uczucie!

- Co?!

Chaczyk nie zrozumiał.

- To znaczy, że gazetę, w którą ci ją zawiną na targu, musisz wyrzucić. I nic nie mów! Ani słowa! Wręczysz różę i szybko odejdziesz, nie oglądając się. Niech zobaczy twoje plecy!

Chaczyk uśmiechnął się sceptycznie. - I co? Pokocha mnie od tyłu?

- Chyba nie. Ale będzie wiedziała, że istniejesz. - I co dalej?

- Absolutnie nic! Żadnego więcej ruchu! Zobaczymy... Chaczyk nie spuszczał z ojca wzroku.

- Będzie cię pamiętała do końca życia, nawet jeżeli wyjdzie za innego.

Zauważyłam, że po tej rozmowie Zita przestała się pojawiać na naszym podwórku.

Pewnego razu spotkała ojca na ulicy i rzuciła się na niego, oburzona.

- Ten wasz sąsiad!... No, jak mu tam? Ten malarz pokojowy!

- Chaczyk? - zapytał ojciec, udając, że nie rozumie, o kogo chodzi.

- Jak on śmie?! Co on sobie wyobraża?!

- A co? Obraził cię?

- Obrazić mnie nie jest w jego mocy! - dumnie zadarłszy nosek, oznajmiła Zita. -

Nagle podchodzi do mnie i daje mi czerwoną różę! Ja go do tego niczym nie upoważniłam!

- A powiedział coś niestosownego? - zatroskał się ojciec.

- Tylko tego brakowało! - złościła się Zita. - Nie życzę sobie, żeby mnie zaczepiał!

- Sądzę, że już nigdy do ciebie nie podejdziesz - powiedział ojciec spokojnie, ale wyczułam w jego głosie urazę. - Złożył hołd twojej urodzie i twoim talentom! Do tego nie trzeba mieć zezwolenia z administracji! Gdybym chciał, też bym mógł ci podarować kwiatek, ale, szczerze mówiąc, twoja uroda nigdy nie robiła na mnie wrażenia.

Zita chciała coś powiedzieć, ale ojciec nie dał jej dojść do słowa.

- Znam Chaczyka niemal od dziecka i ręczę ci, że jest bardzo wartościowym chłopcem. Nie oddałbym go za kilku znajomych intelektualistów! Niestety, stan finansów nie pozwala mu obrzucać cię szmaragdami...

- Bardzo się cieszę! - zasyczała Zita.

- Jest biednym sierotą i nie stać go na taką królową! Dobrze o tym wie i nie zaofiaruje ci swojego serca! Nic ci z jego strony nie grozi!

Ojciec odwrócił się i szybko wszedł do bramy. Kiedy zniknął Zicie z oczu, uśmiechnął się. Był bardzo zadowolony z siebie.

Dni mijały, a Chaczyk stawał się coraz bardziej ponury. Ojca chyba męczyło sumienie, że obudził w nim nieuzasadnione nadzieje.

Tego popołudnia odbywaliśmy z ojcem poważną rozmowę. Właśnie miał przeciągnąć drut spod naszego łóżka przez okno i w tym celu wywiercił we framudze otworek.

Drut miał połączyć pokój z krętymi, żelaznymi schodami prowadzącymi na poddasze.

Za uziemienie służył drut, przyczepiony do rury wodociągowej, przebiegającej przez nasz pokój do mieszkania sąsiadów. Na parapecie, pod stołem i pod łóżkiem leżały cewki, zwoje, potencjometry, kondensatory, lampy, akumulatory i coś tam jeszcze. A wszystko było połączone różnymi drucikami, co bardzo utrudniało poruszanie się po naszej ciasnej norze. Ojciec nie pozwalał niczego ruszać. Mama nigdy za sprzątaniami nie tęskniła, więc nie protestowała przeciw temu nowemu eksperymentowi ojca. Zresztą kochała radio. Niestety, tej maszyny nikt prócz ojca włączyć nie potrafił, a on rzadko bywał w domu. Zawszad raził nas prąd, ale do tego szybko przywykliśmy.

Nie znosiłam tylko pisków i gwizdów o wysokich częstotliwościach, kiedy ojciec nastawiał swoje urządzenie. W nagrodę wkładał nam czasami na uszy ogromne, wyłożone futrem słuchawki i pozwalał słuchać wspaniałej muzyki, odbieranej bez zakłóceń, z idealną czystością.

- O ile sobie przypominam, milady, umówiliśmy się, że będziesz uprzejma nawet dla ludzi, których nie znosisz! Pamiętasz naszą umowę? - cedził ojciec, wierząc otwór we framudze.

Kiwnęłam potakująco głową.

- Nie słyszę twego głosu, milady?

Ojciec dawał mi do zrozumienia, że nie wolno rozmawiać z dorosłymi za pomocą gestów.

- Pamiętam - wydusiłam z siebie.

Jemu dobrze, jest stary i może robić, co chce! - pomyślałam. Jak zawsze przed poważną rozmową, ojciec zrzucił z krzesła wszystkie graty, postawił krzesło pośrodku pokoju i zaciskając gniewnie usta, powiedział:

- Milady, proszę!

Musiałam teraz za karę siedzieć sztywna i wyprostowana. Wiedziałam, że jest to miejsce dla złoczyńców, i czułam się bardzo podle.

- Nie tylko nie jesteś grzeczna, ale stajesz się wręcz agresywna! - ciągnął ojciec.

- Zawsze była agresywna - stwierdziła matka.

- Myślałem, że wydorosłała - mruknął ojciec. - Ile ty właściwie masz lat?

- Pięć i pół - powiedziałam cicho.

- No widzisz! W twoim wieku Mozart już komponował sonaty! A ty?! Ty gryziesz ludzi! Czy wiesz, czego żąda ode mnie twoja matka?!

Opuściłam głowę, bo domyślałam się, czego może żądać matka.

- Matka żąda, żebym spuścił ci lanie! Ale przyznam szczerze, że mi się bardzo nie chce... Musisz sama wymyślić karę, godną twojego niecnego czynu! Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z jego wagi? Daję ci dziesięć minut!

- Tak...

Słowa stawały mi w gardle.

- No to myśl! - ucieszył się ojciec i zabrał się do łączenia dwóch grubo izolowanych przewodów.

Zawisła nade mną ciężka cisza. Nagle ojciec rzucił druty, podszedł i położył mi rękę na ramieniu.

- Chcę, żebyś postarała się dobrze mnie zrozumieć - powiedział. - Postarasz się?

- Tak...

O mało nie zapłakałam.

- Nie proszę, żebyś była grzeczna przez jakieś tam widzimisie! Zapewniam cię, że gdybyś się zachowywała, jak należy, mogłabyś uniknąć wielu przykrości... Na przykład tej nieprzyjemnej dla nas obojga rozmowy. Co między wami zaszło?

- Ona mnie zawsze łaskocze pod brodą! - powiedziałam, wściekła na samo wspomnienie.

Ta wstrętna Natasza, cmokając: „Miłe dziecko, kochane dziecko”, wyciągnęła do mnie swoją grubą łapę. Nie wytrzymałam, chwyciłam ją zębami i ugryzłam do krwi.

- Nie mówi się o starszych „ona” - upomniała mnie matka. Tata przytaknął.

- Nienawidzę, kiedy ktoś dotyka mojej twarzy! - wybuchnęłam.

- Rozumiem cię - przyznał ojciec. - Też tego nie lubię. A skoro nie lubię, nikt mnie nie dotyka.

- Tobie dobrze! Ty jesteś duży!

- Jest wiele sposobów, by unikać ludzi, których nie lubimy - powiedział ojciec.

- Najprostszy, to schodzić im z drogi. Idź, zobacz, czy Natasza jest w domu.

Pobiegłam, ale jej drzwi były zamknięte. Ojciec włożył przedłużacz do kontaktu i przeciągnął sznur przez okno.

- Stój przed bramą i czuwaj. Powinna niedługo wrócić z pracy. Kiedy się pojawi, zaraz daj mi znać... Muszę się przygotować. A ty ją przeprosisz! I żadnych ale!

Zrobisz to dla mnie, jeżeli chcesz, żebyśmy nadal byli przyjaciółmi!

Kiedy zawiadomiłam ojca, że Natasza pojawiła się na horyzoncie, wyniósł krzesło na balkon, usiadł, a mnie kazał stanąć tak, by zasłonić jego lewą rękę, w której trzymał wtyczkę przedłużacza. Nie wolno mi było się ruszyć pod żadnym pozorem.

- I bądź bardzo grzeczna! - dodał.

Kiedy Natasza zbliżała się do nas, ojciec się podniósł i szeroko uśmiechnął.

- Dzień dobry, Natalio Płatonowna! Chciałbym panią przeprosić za niegodne zachowanie mojej córki! Ona też chyba chce panią przeprosić...

Ojciec spojrzał na mnie znacząco.

- Przepraszam - powiedziałam ponuro, bo Natasza już pchała się do nas, nieproszona.

- Ach! Och! - Rozpłynęła się na widok ojca (wszystkie te baby rozplýwały się na jego widok). - Pan jest takim galanteryjnym mężczyzną! A te dzieci... - nie dokończyła, bo ojciec podał jej rękę.

Natasza chwyciła ją i już nie mogła puścić. Dygotała jak w transie, a z jej ust wydobywał się charkot. Prąd potrzasał jej grubym cielskiem.

- Jeszcze raz panią przepraszam - uśmiechał się ojciec, ściskając nadal jej dłoń, jakby niczego nie zauważył.

Po chwili odrzucił przedłużacz, pochwycił drugą dłoń Nataszy i podniósł obie niczym do pocałunku. Natasza, przerażona, wyrwała ręce i odskoczyła.

- Co to jest?! Co pan ze mną robi?! Ja sobie nie życzę!!

- Nie rozumiem - powiedział ojciec godnie. - Chciałem tylko panią przeprosić!

Dlaczego się pani gniewa?

Ale Natasza już schowała się w swoim pokoju.

- No widzisz - uśmiechnął się ojciec. - Można ograniczać kontakty z niepożądanymi osobami, nie obrażając ich i zachowując się kurtuazyjnie.

Wpadłam w zachwyt. Zawsze wiedziałam, że nie ma na świecie mądrzejszego człowieka! Mój ojciec - to ktoś zupełnie wyjątkowy!

Mama z trudem powstrzymywała się od śmiechu, obserwując całą scenę z pokoju.

- Nie bardzo mnie przekonują twoje metody wychowawcze... - powiedziała cicho. -

Wątpię, czy w ten sposób nauczysz ją szacunku dla dorosłych...

- Nie wolno żądać rzeczy niemożliwych! - odciął się ojciec. - Nie mogę od niej wymagać, żeby szanowała byle idiotkę!

- Zuk!! - zgorszyła się mama.

Ale po chwili nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem.

- Chcę tylko, żeby była uprzejma! - powiedział ojciec - Masz być uprzejma!

Słyszysz?!

- Jasne! - potwierdziłam ochoczo. Ojciec znowu spoważniał.

- Słuchaj uważnie: Dobre wychowanie się opłaca! Powtórz! Westchnęłam i powtórzyłam bez entuzjazmu.

- Nie wzdychaj, tylko postaraj się zrozumieć! Uwierz staremu człowiekowi! W ciągu swojego nieskończonego długiego życia doszedłem do wniosku, że ludzkość nie po to układała dobre maniere, żeby maltretować dzieci, ale dla ich pełnego psychicznego komfortu, kiedy dorosną!

- Ile ty masz lat, tato?

- Dwadzieścia pięć! - odparł dumnie. Aż mnie zatkało.

- Ty naprawdę jesteś bardzo stary! Jak można mieć aż tyle lat?! Czy myślisz, że ja kiedyś dożyję takiej starości?!

- Mam nadzieję - uśmiechnął się pobłaźliwie. Zastanawiałam się, jaka będę, gdy dożyję tak późnego wieku.

Ojciec już przeciągnął przewód przez otwór we framudze okna i przymocował go do żelaznej tralki kręconych schodów, kiedy w bramie pojawił się Chaczyk. W swoich zachlapanych farbami łachach kroczył za Zakssem z wiadrami, pędzlami i szpachlami.

- Witaj! - powiedział ojciec.

Chaczyk przystanął. Ten chudy chłopak z czarną, błyszczącą jak chińska laka czupryną i orlim nosem mógł się podobać, ale teraz wyglądał bardzo mizernie.

Chciał odejść, ale ojciec zatrzymał go ruchem ręki.

- Mam dla ciebie propozycję, Chaczyk! Chodźmy do opery! Chaczyk aż gwizdnął ze zdumienia.

- Gdzieeee?!

- Dostałem stałą przepustkę do łoży radiowej i mogę wprowadzać dwóch asystentów - powiedział ojciec. - Przyjechał Kusewicki. To dobry śpiewak i chcę go posłuchać.

- Tylko mnie tam brakowało! - zawołał Chaczyk, ale nie odchodził, a oczy mu się zapaliły z podniecenia.

Ojciec znowu się uśmiechnął.

- Sprawdźmy!

Chaczyk zdjął łachy, wypucował buty, wyczyścił jedyne odświętne ubranie, przenicowane ze starego garnituru Zaksa, i z uroczystą miną wyruszył z ojcem. Z opery wrócił zupełnie odmieniony: przeżył wstrząs. Jego oczy płonęły i cały czas gwizdał melodie, które zapadły mu w uszy. Nagle się okazało, że ma absolutny słuch.

- Jakie to piękne! Jakie wstrząsająco piękne!

Od tej pory nie opuścił żadnego przedstawienia. Na każdą operę biegał po kilka razy. Mój ojciec też miał idealny słuch, ale w gwizdaniu nie dorównywał Chaczykowi, bo Chaczyk mógł sobie całymi dniami ćwiczyć, malując puste mieszkania, a ojcu w radiostacji ani gwizdać, ani śpiewać nie wypadało. Teraz często wprowadzał Chaczyka do radiowej łoży, a kiedy zdarzało się, że obaj byli w domu, Chaczyk zjawiał się pod naszym balkonem, by pogwizdać razem z ojcem.

Chaczykowi przypadały trudniejsze partie, jak choćby koloraturowe kawatyny. Dla nas wszystkich ich duet stawał się zapierającym dech popisem. Czasami nie mogli wygwizdać szczególnie skomplikowanego fragmentu i uporczywie powtarzali go po kilka razy, aż pokonali trudności.

Zdawało się, że Chaczyk zaczyna zapominać o Zicie. Ale to były pozory. Niby z niej zrezygnował, jak z nieosiągalnego ideału, lecz jego serce nie przestawało po cichu krwawić.

Pewnego popołudnia, kiedy sobie tak z ojcem gwizdali, Zita wkroczyła na nasze podwórko z nieodłącznym tomikiem wierszy. Chyba zatęskniła za swoją matką. Na widok gwizdzących stanęła niezdecydowana. Chciała uciec, ale nie mogła. Stała wsłuchana i wpatrzona. Obecność Zity dodała artystom skrzydeł. Po chwili ojciec przeszedł na Damę Kameliową, bo wariacje na temat arii Wioletty stały się mistrzowskim popisem Chaczyka. Ten spojrział na ojca z wdzięcznością. Jeszcze nigdy tak nie gwizdał, jak teraz. Trele zakochanego słowika nie dorównywały tym wibracjom. Zita zastygła, zafascynowana. Jej poetycka dusza żądała pokarmu. Nie potrafiła ukryć zachwytu. Przechyliła głowę i poruszała wargami, jak gdyby chciała im wtórować. Chaczyk wygwizdał jeszcze kawatynę Rozyny i zamilkł. Nie miał w repertuarze nic lepszego.

- Brawo!

Zita zaczęła klaskać z entuzjazmem, a za nią inni słuchacze. Natychmiast jednak opanowała się i na jej słodkiej buzi pojawił się drwiący uśmiezek.

- Powinniście gwizdać po podwórkach. Mielibyście ogromne powodzenie.

Ojciec zaśmiał się, zadowolony.

- Na pewno bym zarobił więcej niż w radiostacji! A gdybyś się do nas przyłączyła, podbiliśmy całe Tbilisi, nie mówiąc już o triumfalnym tournée po prowincji.

- Gdzie tam moim lekturom do waszego gwizdania! - zażartowała Zita, ale w jej głosie zabrzmiała lekka zazdrość.

- Wniosłabyś do naszego trio nie tylko poezję, ale i niezwykłą urodę. - Ojciec uklonił się. - Proszę, teraz twoja kolej!

- Nie! - Zita potrząsnęła głową. - Nie mogę! Mam pełne uszy waszego gwizdu!

I nagle z jej dziecinnych oczu zaczęły kapać ogromne łzy. Odwróciła się i wybiegła na ulicę.

- Teraz kup kilka róż w różnych kolorach - powiedział ojciec do Chaczyka. - Każ któremuś z chłopców zanieść je do niej. I też na niemo. Ani słowa! Ona się domyśli...

Urodziny

Cokolwiek się wydarzyło na naszym podwórku, stawało się tematem do plotek. Ale o miłości Chaczyka nie wiedział nikt prócz moich rodziców. Ciotka Chaczyka, Arsza, spędziła dwa tygodnie u rodziny w Armenii. Po jej powrocie zjawiała się w naszym pokoiku Natasza. Przed wizytą upewniła się, że ojca nie ma w domu; ostatnio omijała go z daleka. Miała niemiły zwyczaj wchodzenia bez pukania, jakby chciała nas nakryć na gorącym, haniebnym uczynku.

- Arsza znalazła Chaczykowi bogatą i piękną narzeczoną w Armenii - wyszeptła z tajemniczą miną.

Mama właśnie tłukła w młynku pszenicę. Potrafiła z niej robić bardzo smaczną kaszę. Przerwała robotę i spojrzała na Nataszę wyczekująco.

- Wczoraj wybuchła u nich straszna awantura - ciągnęła dalej Natasza, widząc, że nie doczeka się żadnej reakcji. - A wszystko dlatego, że Chaczyk nie chce się żenić! Czy to nie dziwne, że taki zdrowy koń jest jeszcze kawalerem?!

Natasza patrzyła na mamę znacząco.

- Skąd ty czerpiesz te wszystkie nowiny? - zapytała mama i znowu zabrała się do tłuczenia ziarna.

- Przechodziłam akurat w pobliżu ich okna i co nieco usłyszałam... A pani to nie denerwuje, Mariko, że pani mąż prowadzi ciągle Chaczyka do opery?

- Dlaczego? - zdziwiła się mama. - Co jest złego w operze?

- Nie w operze, a w ogóle... Gdzie pani mąż, a gdzie Chaczyk! Zwykły malarz pokojowy! Taka przyjaźń może się wydawać dziwna...

Mama tłukła pszenicę i spoglądała na Nataszę z nie skrywaną antypatią.

- Nie chcę sugerować nic złego, ale ludzie mogą pomyśleć... Natasza zamilkła zakłopotana.

- Co mogą pomyśleć ludzie? - zapytała mama lodowatym tonem.

- No... że oni jak nasz Pantusza i Waso...

- Co?! - Źrenice matki rozszerzyły się złowieszczo. - Byłabym ci wdzięczna, Nataszo, gdybyś mnie uwolniła od swojej osoby! Raz na zawsze!

- Ależ ja chcę tylko waszego dobra! Nie mówię tego ze złej woli... - zaskomliła Natasza.

- Zostaw nas w spokoju! - Matka podniosła głos. - Mojego męża, moją córkę i mnie!!!

- Proszę bardzo! - wybuchnęła Natasza. - Mam gdzieś waszą zwariowaną rodzinę!

Wszyscy jesteście stuknięci! Nienormalni! Odmieńcy!

I wybiegła, trzaskając drzwiami.

- Co za ulga! - odetchnęła mama.

Niestety, Natasza szybko wybaczała. Nie potrafiła żyć bez nas. Coś ciągnęło ją do naszej nory.

Zita znowu zniknęła z horyzontu, a ojca rzadko widywaliśmy, bo cały czas spędzał w radiostacji. W końcu ją jednak spotkał na ulicy, a gdy przyszedł do domu, kazał mi zaprosić Chaczyka na herbatę.

Tego dnia obchodziłam urodziny i od rana trzęsła mną złość. Rodzice podarowali mi grę zręcznościową: kartonowe „Latające kołpaki”, ale nawet nie otworzyłam pudełka.

- Nasz prezent sprawił ją w zły humor - zauważył ojciec. - Spróbujmy zgadnąć, dlaczego...

Postanowiłam się nie odzywać aż do końca dnia.

- Co ci się nie podoba? - zapytała mama. - Czego byś chciała?

- Odpowiadaj, kiedy cię rodzice pytają! W głosie ojca zabrzmiała pogrożka.

- Wiadomo! - mruknęłam.

- Co ma być wiadomo?! - nacierał ojciec.

- To chyba oczywiste! - krzyknęłam.

- Mówże wreszcie! Bo cię rozszarpie! - nie wytrzymała mama.

- Rowerek! - wrzasnęłam.

Byłam przecież pewna, że dostanę rowerek. Jak oni mogli nie rozumieć najprostszyc rzeczy? O czym marzy każde dziecko?!

- Tylko rowerka brakowało w naszym kurniku! - nerwowo zaśmiała się mama, ale zaraz posmutniała. - Gdzie byś go trzymała?

Rozejrzałam się i rzeczywiście nie mogłam znaleźć żadnego miejsca, bo nawet pod łóżkiem leżały radiowe części ojca. Nic mi to nie ulżyło. Miałam ochotę płakać.

Ojciec wyrwał z zeszytu kartkę i zaczął na niej coś mazać.

- Chodź tu! - zawołał i pokazał mi pięknie narysowany rowerek z dzwonkiem. -

Masz!

Odwróciłam się od niego ze złością. Jak mógł ze mnie tak kpić?

- Wcale cię nie lubię - powiedziałam.

- Nie masz racji - westchnął. - Na tym rowerku przynajmniej nie rozbijesz sobie głowy, zjeżdżając po schodach.

Było to przypomnienie mego wyczynu w domu pisarza Gamsachurdii. Siedziałam naburmuszona.

- Nie stać nas na rowerek - powiedział ojciec ze smutkiem. Wstał i zaczął chodzić dookoła stołu. Ale zaraz zjawiała się ciotka Maro. A za nią Chaczyk. Ciotka Maro przyniosła ciasto. W tej dziedzinie była mistrzynią.

- W mieście szaleje szkarlatyna! - zawołała od drzwi. - Czy pamiętacie, że trzeba myć ręce przed jedzeniem?!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, ponieważ paniczny strach przed epidemią stał się jej obsesją.

- Chciałbym raz usłyszeć, że w mieście nie panoszy się żadna zaraza - powiedział ojciec. - Myślisz, że to możliwe?

- Wątpię - uśmiechnęła się Maro. - Przy rozpaczliwym stanie naszych urządzeń sanitarnych i przy takim przeludnieniu...

- Moim zdaniem mycie rąk należy sprowadzić do minimum, a bakterie i zarazki uznać za dodatkowy składnik naszego marnego jadłospisu. Musimy je obłaskawić i żyć z nimi w przyjaźni - oznajmił ojciec.

- Co on wygaduje przy dziecku?! - zdenerwowała się ciocia Maro. - Nie słuchaj tego! Ojciec tylko żartuje!

- Wcale nie żartuję! - zaprotestował ojciec, chwycił jabłko i upuścił na podłogę.

Zanim Maro zdążyła cokolwiek powiedzieć, podniósł je i schrupał z apetytem.

- Co on wyprawia?! - Biedna ciocia zbladła. - Przestań się popisywać!

- Założę się z tobą, że nie zachoruję na szkarlatynę! - zapewnił ją ojciec i szybko zmienił temat. - Spotkałem dziś Zitę na ulicy i zapytałem, dlaczego do nas nie przychodzi, a ona mi na to, że każdy ma swoje przeznaczenie, a jej jest pisane nigdy nie wyjść za mąż! Nawet gdyby spotkała księcia z bajki, musiałaby z niego zrezygnować! A jeżeliby spadło na nią nieszczęście i w kimś się zakochała, musiałaby popełnić harakiri! Czy to nie dziwne?

Ojciec zerknął na Chaczyka. Ten zbladł, a zaraz potem się zaczerwienił.

- To mądra dziewczyna! - zawołała ciocia Maro. - Bogu dziękuję rano i wieczorem, że nie wyszłam za mąż! Trzeba postradać zmysły, żeby w naszych warunkach płodzić dzieci. - Nagle zerknęła na mnie i urwała. - Przepraszam was! Wiem, że nie mam racji, ale umarłabym ze strachu, gdybym miała rodzinę...

- Jest to niewątpliwie wariactwo - potwierdził ojciec. - Ale przecież nikt nie uważa nas za normalnych. Zapytałem ją: „Zito, dlaczego mi to opowiadasz?

Przecież ja ci żadnej małżeńskiej ani pozamałżeńskiej oferty nigdy nie składałem?” A ona mi na to, że chce zawiadomić wszystkich, których to dotyczy, żeby sobie nie robili żadnych nadziei... Dziwne?

Chaczyk o mało się nie udławił ciastem. Ja swojego kawałka nie ruszałam. Ciekła mi ślinka, ale chciałam ukarać rodziców.

- Ona naprawdę nie może wyjść za mąż - powiedziała mama.

- Dlaczego? - zdziwił się ojciec.

- Bo ma na utrzymaniu rodzinę! Musiała nawet zrezygnować z wyższych studiów, żeby wyżywić siostrę i brata. Komu by się chciało żenić z taką panią i dźwigać podobny balast?

- Przecież mają matkę - przypomniał ojciec.

- Co ta matka zarobi w tkalni jedwabiu? Wygląda jak upiór! Biedna, zniszczona kobieta! Wyznała mi, że odkąd owdowiała, jej życie stało się piekłem! Musiała zamienić piękne mieszkanie na mały pokoik, by spłacić długi, ponieważ choroba męża pochłonęła wszystko. Nie ma żadnego zawodu. Zaczęła pracować jako robotnica i gdyby Zita nie dorabiała, już dawno wyciągnęliby kopyta, zwłaszcza że Aszur choruje na gruźlicę.

Mama zerknęła na ciocię Maro i ugryzła się w język.

- Kto to jest Aszur? Co za dziwne imię? - zaniepokoiła się od razu ciotka.

- Aszur to brat Zity, nazwany tak na cześć asyryjskiego bóstwa - uśmiechnęła się mama.

- Ooo! - odpowiedziała jej uśmiechem ciotka, ale wyraz niepokoju nie zniknął z jej twarzy. - W jakim on jest wieku?

Mama spojrzała na mnie.

- W wieku naszej pociechy.

W oczach Maro dostrzegłam przerażenie.

- Nie pozwalaj jej bawić się z tym chłopcem! Niech on tu nie przychodzi! Tylko gruźlicy nam brakowało!

- Ależ, Maro, on tu jeszcze nigdy nie był! Prawie nie wychodzi z domu - uspokoiła ją mama.

Nagle przyszło mi do głowy, że jeszcze dzisiaj powinnam odwiedzić Aszura, zarazić się gruźlicą i umrzeć.

- Dlaczego nie jesz ciasta? - usłyszałam głos cioci Maro. - Czy ty nie jesteś chora?!

- Nie mam apetytu - powiedziałam sucho.

- Ona nie jest chora! Ona jest niemożliwa! - Mama chciała mi zabrać talerzyk, ale Maro powstrzymała ją ruchem ręki. - Po kim ona odziedziczyła taki wredny charakter?!

Ojciec i matka spojrzeli po sobie.

W tej chwili zjawiała się ciocia Nina ze swoim synem i wyrzucono nas na balkon, bo dorośli nie mieścili się w pokoiku. Kuzyn połknął swój kawałek ciasta i widząc, że nie myślę jeść swojego, pożarł go w sekundę, po czym powiedział:

- Trzymaj się ode mnie z daleka, bo chłopcy powiedzą, że jestem dziwkarzem.

I poszedł bawić się na podwórko.

Teraz pomyślą, że to ja zeżarłam ich ciasto. Zaczęłam się zastanawiać, co by tu im zrobić na złość. Postanowiłam oddać „Latające kołpaki” Aszurowi. Po co mi zabawki, skoro i

tak muszę się zarazić i umrzeć? Wzięłam więc tekturowe pudło, niepostrzeżenie wymknęłam się z domu i pobiegłam na sąsiednie podwórko.

Aszur bardzo się zdziwił i ucieszył. Kiedy zaczęliśmy grać na punkty, jego siostra Rebeka, uczennica szkoły średniej, odrabiała lekcje. Zatkąła sobie uszy palcami, żeby nie słyszeć naszych wrzasków. Gra nas pochłoneła. Właśnie poznawaliśmy rozkosze hazardu, gdy pojawiła się Zita.

- Co ty tu robisz?! - zawołała. - Uciekaj stąd i nie przychodź więcej!

Pomyślałam, że wstydzi się biedy.

- W naszym pokoju jest jeszcze gorzej - pocieszyłam ją. Zita spojrzała na mnie ze smutkiem.

Wróciłam do domu, a złość gdzieś wyparowała; przecież i tak musiałam umrzeć.

Zrobiło mi się siebie żal i o mało nie zapłakałam. Chaczyka już nie było w pokoju, ale właśnie o nim rozmawiano.

- Co to za dziwaczna przyjaźń z tym lumpem? - zapytała ciocia Nina. - Co ty możesz mieć wspólnego z takim prostakiem?!

- A potrafisz wygwizdać drugą Rapsodię węgierską Liszta? - zapytał ojciec.

- A on potrafi? - zainteresowała się ciotka.

- Potrafi. I gdyby Pan Bóg dał ci słuch, zaprosiłbym cię na nasz koncert.

Nina uśmiechnęła się ironicznie.

- Dziękuję, nie przepadam za amatorszczyzną.

- Kiedy nie miałem co zjeść, Chaczyk pomógł mi nie zdechnąć - powiedział ojciec.

- On i Zaks! A nie ty! To wspaniali ludzie! A gdyby Chaczykowi stworzono w swoim czasie odpowiednie warunki, zostałby wirtuozem! Podziwiałabyś go na koncertach i byłabyś zachwycona, że cię zaszczyca swoją przyjaźnią!

- No dobrze! Nie kłóćmy się dzisiaj - zgodziła się ciocia. - Pewno zapomniałeś, że ja też nie pławiłam się w dobrobycie. Ale niech ci będzie! Mam coś dla ciebie.

Chcesz trochę zarobić? Będę ci przysyłać znajomych, żebyś im naprawiał radia.

Dorobisz parę groszy.

- Ojciec zastanawiał się przez chwilę.

- A co ja powiem sąsiadom? Przecież od razu spostrzegą, że urządziłem nielegalny warsztat! Chcesz, żeby mnie zwinęli?

- Wszyscy mają na sumieniu coś nielegalnego i jakoś żyją! - odparła Nina. -

Powiesz, że tylko oddajesz przysługę przyjaciom i że nie czerpiesz z tego żadnych korzyści! Zresztą możesz sam przynosić od nich odbiorniki i odnosić je w nocy! Decyduj się, bo już mam pierwszego klienta!

Ojciec nadal się wahał.

- Mam pełno roboty... Dobrze! Powiedzmy, że nie będę spał dłużej niż trzy godziny na dobę... Zresztą i tak nie śpię... Ale przecież ja nie potrafię od nikogo wziąć pieniędzy! Umarłbym ze wstydu!

- Ja nie umrę - oznajmiła ciocia. - Będę je brała za ciebie i dawała twojej żonie! Możesz w ogóle o niczym nie wiedzieć i z czystym sumieniem przysięgać, że nie miałeś z tego ani grosza!

- Oj, jak dobrze! - ucieszyłam się i klasnęłam w dłonie. - Tata zarobi dużo pieniędzy i kupi mi rowerek!

- Niech ci będzie! - załamał się ojciec. - Zaczynamy zbierać na rowerek! Kupię ci skarbonkę i za każde radio odpalę połowę!

- Hurrrraaa! - wrzasnęłam.

Niewiele zarobił. Niektórych aparatów nie przyjmował do naprawy, bo brakowało do nich części. Postanowił twardo, że żadnego elementu, żadnej najmniejszej żaróweczki do celów prywatnych nie wyniesie ze swojej radiostacji. Naprawiał tylko te odbiorniki, do których potrafił dorobić część sam albo ją kupić. Był to uparty i bardzo niepraktyczny człowiek. Zyskał sobie ostatecznie opinię nawiedzonego dziwaka.

Nie zdążyłam zebrać nawet połowy pieniędzy na rowerek, bo wybuchła wojna i odbiorniki radiowe zastąpiono kołchoźnikami, które się niestety nie psuły.

Ojciec pozbierał wszystkie części swojej aparatury z parapetu, spod stołu i spod łóżka, pozwił przewody i zawiózł do radiostacji. W domu zrobiło się jakoś pusto. Ojciec spędzał teraz dni i noce za drutami i musiał się tłumaczyć z każdego wyjazdu do miasta; pilnie strzeżona radiostacja stała się obiektem jeszcze bardziej utajnionym.

W pierwszych dniach wojny władze nakazały malarzowi Zaksowi wynieść się z mieszkania w ciągu jednej doby. Jako etnicznego Niemca, zesłano go na dalekie tyły. Dzięki Stalinowi dowiedziałam się, że nasz Zaks jest kimś zupełnie innym niż my, że jest wrogiem. Jego żona Arsza, Ormianka, nie podlegała deportacji, mogła więc pilnować mieszkania. Oboje żywili nadzieję, że po wojnie Zaks szybko wróci do Gruzji. Nie wrócił. Nie zniósł „trudów podróży”.

Niemcom pozwalano zabrać tyle bagażu, ile zdołali unieść. Nie sposób w ciągu doby spakować niezbędnych rzeczy, a na pozostały dobytek znaleźć kupców, którzy by zapłacili

przyzwoitą cenę. Nieszczęśnicy, którzy od wieków zapomnieli, że są Niemcami, wyprzedawali swoje sprzęty za bezcen. Niektórych, zdawałoby się całkiem przyzwoitych ludzi, nagle ogarnęła gorączka kupowania. Dwóch wąsatych Kurdów (zawód tragarza został całkowicie zmonopolizowany przez Kurdów) przytaszczyło błyszczący fortepian i z wielkim trudem wepchnęło go do pokoju Nataszy.

- Po co ci fortepian? - parsknęła Ofelia (taki przydomek przylgnął do jednej z sąsiadek). - Czy ty umiesz grać?

- Też coś - warknęła Natasza. - Miałam przepuścić taką okazję? Wejdz, zobacz, co to za piękny mebel!

Znajomy Niemiec usiłował nawet mojego ojca namówić na bardzo korzystną transakcję. Nie chciał sprzedawać swoich rzeczy obcym. Ojciec wygrzebał z kieszeni wszystko, co miał.

- Weź na szczęście. Oddasz mi, kiedy wrócisz!

- Przecież nie wiem, czy wrócę - zawahał się tamten.

- Po to ci daję, żebyś musiał wrócić - uśmiechnął się ojciec.

- Więc chodź, wybierz sobie, co chcesz! - zawołał znajomy.

- Nie - uciął ojciec. - Nie wierzę w szczęście, budowane na cudzej niedoli! Nie chcę mieć nic wspólnego z tą zgrają! Hieny!

Chaczyka wkrótce powołano do wojska i wysłano na front. Arszę, żonę Zaksa, przyjęto do fabryki wyrobów tytoniowych. Specjalna lotna rewizja przyłapała ją na przemycaniu niewielkiej ilości tytoniu. Po prostu pech: Kradli przecież wszyscy. Aresztowano ją, ale miała szczęście, bo z powodu wojennego bałaganu nie odjeżdżały transporty na Syberię. Więzienia pękały w szwach. W komisariacie zabrano jej tytoń, mocno pobito i wyrzucono na ulicę. Z fabryki oczywiście ją wylano. Od tej pory długo i ciężko chorowała, a zaraz po wojnie umarła. Kiedyś mama zaniósł jej pół talerza naszej śmierdzącej grochówki. Połykając gorący płyn, płakała, a łzy kapały jej do talerza.

- Choruję ze wstydu!... Umrę... Nie doczekam się mojego kochanego Karła i chwała Bogu! Jakbym mu spojrzęła w oczy?! Taki krystalicznie uczciwy człowiek! Do czego oni nas doprowadzili!

Woda nie wódka - dużo nie wypijesz.

Pod koniec wojny wybrano ze szkół uczniów wyróżniających się w czytaniu i deklamacji i skierowano do szpitali wojskowych, żeby bawili rannych oficerów i czytali im listy, jeżeli na skutek ciężkich obrażeń stracili wzrok. Mieliśmy też bezrękim pomagać w porannej toalecie. W ten sposób wyrabiano w nas poczucie patriotycznego obowiązku.

Chętnie spełniałam ten patriotyczny obowiązek, bo spotykałam tam ludzi ze wszystkich zakątków ZSRR i słuchałam dramatycznych opowieści z frontu, o jakich ani w prasie, ani w literaturze nie wspomiano. Tylko jednego ze swoich podopiecznych odwiedzałam z wielkimi oporami, a raczej z dreszczem przerażenia.

Leżał w izolatce. Porucznikowi wojsk lotniczych z tak wielką liczbą odznaczeń, że starczyłoby ich na całą pierś i nie tylko, Dżiemalowi Kawtardzemu, podziurawiono klatkę piersiową, obie nogi amputowano powyżej kolan, a obie ręce - powyżej łokci. Stawałam przed drzwiami izolatki i powtarzałam w myślach: Nie wolno zamykać oczu! Nie wolno zamykać oczu na żadne nieszczęście - tak jak uczyła nas matka. Ten ranny nie pozwalał wpuszczać do siebie krewnych z rodzinnej wioski, nie otrzymywał listów i nie chciał, żebym mu czytała „Jak hartowała się stal”. Pozwalał tylko umyć sobie twarz, odświeżyć mokrym ręcznikiem i kazał się wynosić. Któregoś dnia zdecydował się na podyktowanie mi listu. Pewnie obmyślał go przez cały ten czas.

„Droga Walentyno!

Zwalniam cię ze wszystkich obowiązków wobec mnie. Już się nie nadaję na twojego męża. Załatw rozwód. Niewiele ze mnie zostało. Tylko z piersi chirurg wyciągnął szesnaście odłamków. Podobno to cud, że żyję. Według mnie to najokrutniejszy cud, jaki się kiedykolwiek zdarzył. Wolałbym, żeby takich jak ja nie ratowano.

Żegnaj Dżiemal Kawtardze Przepraszam, że nie podpisałem się własnoręcznie.

Nie mam rąk. Nóg zresztą też. Jeszcze raz żegnaj”.

Nie pamiętam adresu, który mi podyktował, tylko nazwisko: Walentyna Polikarpowna Sidorowa. Gdzieś pod Moskwą. Kiedy wyszłam od niego, żeby wysłać list, złożony w trójkąt, bo kopert nie było, zobaczyłam, że nie podał swojego adresu. Sama wpisałam adres szpitala wraz z numerem pokoju, w którym leżał.

Odwrociłam się, bo usłyszałam postukiwanie kul o podłogę: Dwóch beznogich pacjentów ścigało się, skacząc przez długi korytarz. Wygrywał zawsze Sasza Sokołowski z nogą uciętą powyżej kolana.

Sasza był zakałą szpitala. Nie uznawał żadnych zakazów i autorytetów. Mimo braku nogi dwoma susami przemierzał długą salę. Jakby fruwał. Jego sława przywędrowała za nim do Tbilisi, ranni opowiadali legendy o jego bohaterskich wyczynach na froncie. Ale nie awansował, bo nieraz karano go za niesubordynację.

- Jestem Cyganem! - chwalił się. - Z tych Sokołowskich, co śpiewali i tańczyli w „Jarze”.

I zaczynał bujać, jak to nieraz przed wojną przekraczał z Cyganami radziecką granicę tam i z powrotem. Gdy mu nie wierzono, wyciągał dokumenty.

- Masz! Czytaj! Aleksander Sokołowski! Cygan!

- Sasza, przecież ty w parę minut potrafisz omotać każdą urzędniczkę - uśmiechnął się leżący obok Stiepanow. - One by ci nawet wydały zaświadczenie, że jesteś nosorożcem w ciąży! Co się wygłupiasz! Skreśl tego Cygana, bo jak cię Niemcy złapią, rozstrzelają na miejscu!

- Tym bardziej będę Cyganem! - upierał się Sasza, chwycił gitarę i zaczynał śpiewać:

„Sokołowski chór przy ‘Jarze’ Kiedyś bardzo słynny był...” Śpiewał tylko cygańskie romanse i wtedy zbiegał się cały personel i każdy, kto potrafił choć pełzać. Sasza potrząsał ramionami, naśladując tańczącą Cyganekę, i śmiał się głośno, odsłaniając trzydzieści sześć zdrowych zębów.

Sytuacja przestawała być zabawna, kiedy nachodziło go nieprzewyciężone pragnienie wypicia stu gramów. Wył, otwierał okna i zaczepiał przechodniów, żeby mu przynieśli dwie półlitrowki. Nie był świnią, nie piłby sam. Chciał wciągać butelki na sznurze i groził, że wyskoczy z trzeciego piętra (szpital miał tylko dwa) na bruk. W końcu jakoś wódkę zdobywał, bo podkochiwał się w nim cały żeński personel szpitala. Sama bym się zakochała w tym zadziornym chłopcu z bujną, czarną czupryną, w którym wszystko grało. Nawet podwinięta, pusta nogawka piżamy dodawała mu nonszalanckiej elegancji. Ale był dla mnie za stary: Miał może nawet dwadzieścia lat!

Saszę więc znałam dobrze. Ale ten drugi, o kulach?! Jego twarz była taka znajoma i bliska. On też wpatrywał się we mnie. Był przerażony.

- Achczyk dżan! Dziewczyno! Co ty tu robisz?!

- A ty?! - krzyknęłam i rzuciłam się do niego. - Chaczyk, Chaczyk! - wołałam, całując go w policzki. - Od kiedy tu jesteś?! Dlaczego Arsza nic nam nie powiedziała?!

- Błagam cię, achczyk, nie mów jej, że tu jestem! - szepnął, mieszając słowa gruzińskie i ormiańskie. - Nikomu nie mów! Nie chcę, żeby patrzyli na kalekę!

Niedługo przyjdzie mój list z Frankfurtu! Leżałem tam parę dni... Nie powiesz?

Patrzył na mnie błagalnie.

Sasza powoli zbliżał się do nas i słuchał.

- Zdaje się, że cię przyłapali.

- Nic nie powiem. - Podniosłam rękę jak do przysięgi. - Ale czy napisałeś, że ci urwało stopę?

- Tak - jęknął.

- No to niedługo wszyscy się dowiedzą. Jak chciałeś utrzymać to w tajemnicy?

- Wyjadę, gdy mnie wypuszczą! Nie miałem zamiaru wracać do Tbilisi! Komu potrzebny facet z odłupaną nogą?!

- Głupia histeria - rozwścieczyłam się. - Spójrz na tego Dziemała! Nie ma ani rąk, ani nóg!

- Odcięli mi nogę powyżej kolana, a jeszcze wybieram się na front! - wmieszał się Sasza.

- Rzeczywiście, w porównaniu z innymi mogę się czuć szczęśliwy - krzywo uśmiechnął się Chaczyk.

- Rzadko teraz spotkasz całego mężczyznę - zapewniłam go. - Już wszyscy przyzwyczaili się do kadłubków.

- Opowiedz mi coś o naszej ulicy - poprosił.

- Zita nie wyszła za mąż - powiedziałam. - Zresztą za kogo ma iść, skoro wszystkich młodych mężczyzn zabrali na wojnę?

Chaczyk się odwrócił.

- Wyjadę stąd, jak tylko będę mógł!

- Zwariowałeś chyba?! Tu cię wszyscy kochają! Arsza tylko czeka, żeby ci oddać mieszkanie i umrzeć!

- Nie wiem, co mam robić - powiedział cicho.

- Zabij się! - krzyknęłam. - Tylko idiota może przypuszczać, że z powodu głupiej stopy ktoś nim wzgardzi, jeżeli choć trochę kocha!

- Muszę zdobyć protezę - wybąkał.

Ranni, którzy stracili nogi i ręce, marzyli o protezach. Brakowało ich, jak zresztą wszystkiego, i Chaczyk mógł długo czekać.

Wracałam do domu zamyślona. Nie wiedziałam, jak pomóc Chaczykowi. Nagle zobaczyłam tramwaj, jadący w stronę radiostacji. To był znak z nieba! Wskoczyłam w biegu i pojechałam do ojca. W końcu był przyjacielem Chaczyka! Zastałam go pogrążonego w lekturze podręcznika, poświęconego hodowli krów. Z zapalem pochłaniał różne broszury popularnonaukowe, ale rolnictwem się dotąd nie interesował. Z błyskiem w oku zaczął mi wyjaśniać, jakie korzyści mogłaby czerpać nasza rodzina z faktu posiadania krowy. Materiał na obory obiecano pracownikom radiostacji za darmo! Już wyznaczył role dla mnie i brata. Brat miał krowę myć i wnosić nawóz do ogródka.

- Wyobrażasz sobie, jaka ogromna kukurydza roślaby na naszym nawozie? - mówił ojciec i oczy mu błyszczały. - Kukurydza gigant!

Ja miałabym wstawać o świcie i dość krowę.

- Ostatecznie nic wielkiego - zgodziłam się. - Byle dójka to potrafi.

- No właśnie! - ucieszył się ojciec. - Czy to nie jest znakomity pomysł?

- Ile kosztuje krowa? - zapytałam.

Nagle ojciec posmutniał. Okazało się, niestety, że jest dużo droższa od rowerka.

Dojenie krowy musiało pozostać jeszcze jednym naszym nie spełnionym marzeniem.

Opowiedziałam więc ojcu o spotkaniu z Chaczykiem. Bardzo się ucieszył, że Chaczyk żyje.

- Stopa to tylko stopa! Gdyby Achilles ją sobie odciął, nie spotkałyby go przykrości z piętą! Pomyślę!

W parę dni później Arsza dostała list od Chaczyka wysłany z Frankfurtu. Ojciec odwiedził przyjaciela w szpitalu. Zaraz potem wstąpił do domu i powiedział:

- Kiedy spotkasz Zitę, powiedz jej, że Chaczykowi urwało nogę.

Wzruszyłam ramionami.

- Cała ulica już o tym mówi, bo Arsza głośno płacze.

- Nie o to chodzi - odparł ojciec. - Niech ona nie udaje, że o niczym nie wie!

Ciekaw jestem, jak się zachowa. Mariko - zwrócił się do matki - czy mamy jeszcze jakieś znajomości w służbie zdrowia?

Mama spojrzała na ojca z drwiącym uśmiechem.

- My?!

Ojciec chwycił spuchniętą rękę mamy i ucałował.

- Chodzi o to, by szybko załatwić Chaczykowi protezę... i to przyzwoitą, a nie jakieś drewniane kopyto. Podobno trzeba czekać dwa lata...

- Spróbuję - obiecała matka. - Straciłam wiele dawnych kontaktów.

Po upadku ze schodów w Komitecie Ochrony Zdrowia, co wywołało wstrząs mózgu, mama nie powróciła tam do pracy i nie wiedziała, kto z jej dawnych kolegów jeszcze pozostał. W ciągu wielu następnych dni rzadko ją widywałam. Biegała po znajomych i krewnych, żeby ustalić, na kogo ma nacisnąć. Ja zaś wypatrywałam Zity. Wreszcie ją spotkałam. Udawałam głupią.

- Pamiętasz Chaczyka, naszego sąsiada?

Zaczerwieniła się. Może nie jest jej tak bardzo obojętny - pomyślałam.

- Urwało mu stopę i nie chce wracać do Tbilisi. Chyba się wstydzi swojego kalectwa...

- Słyszałam - przyznała Zita. - Biedny Chaczyk!

Nagle wybuchnęła płaczem. Nie lubiłam mazgajów. Irytowała mnie egzaltacja.

Uciekłam, jak mogłam najszybciej.

Tego samego popołudnia Zita zapukała do naszych drzwi. Od pewnego czasu zaczęła wchodzić na balkon, a nawet do pokoju.

- Mariko! - zawołała. - Czy pani ma zamiar napisać list do Chaczyka?

- Dlaczego? - zdziwiła się mama. - On przecież ze mną nie koresponduje.

- No tak, tak... w ogóle nie... - przytaknęła Zita. - Ale teraz, gdy jako bohaterski żołnierz... bez nogi...

Potrzebny jej był bohater! Mama przyjrzała się Zicie uważnie.

- Chcesz przesłać mu pozdrowienia? Ucieszyła się.

- Tak! I ofiarować mu swoją przyjaźń!...

- Przyjaźń to wielka rzecz... - zauważyła mama. - Mógłby to zrozumieć opacznie...

Nie należy stwarzać biedakowi złudnej nadziei...

- Mariko! Niech mnie pani zrozumie! - W dużych, błyszczących oczach Zity znowu pojawiły się łzy. - Ja naprawdę nie mogę wyjść za mąż! To byłoby nieuczciwe!

Nie wolno mi rodzić dzieci!...

Niech on znajdzie sobie jakąś zdrową dziewczynę! Coraz mniej jest mężczyzn. Na pewno niejedna go zechce!

- Może on nie marzy o dzieciach? Może marzy tylko o tobie? - Twarz Zity się rozjaśniła. - A jeżeli nawet zechce dziecka, tyle jest sierot dokoła.

- Nie wolno mi adoptować dziecka - odparła Zita ze smutkiem. - Niedługo umrę...

Pani jest dyskretna, Mariko... Błagam, niech to zostanie między nami! Nawet moja matka o tym nie wie! Ona już się zamartwia z powodu Aszura... Usunęliby mnie pod byle pretekstem z pracy! Rebeka nie ukończyłaby szkoły... Chyba umarłybyśmy z głodu!

- Twoje piękne rumieńce! - zawołała matka. - Jak ja mogłam się nie domyślać...

- Niech się pani nie boi! Ja już nie prątkuję! Dlatego nie muszę odwracać twarzy i mogę wchodzić do cudzych mieszkań... Założyli mi odmě! To tak, jakbym miała jedno płuco, a i ono jest zagrożone... bo w naszej sytuacji nie ma żadnych szans...

- Twój organizm mógł się uodpornić - pocieszyła ją mama. - Z jednym płucem można dożyć stu lat! Znam się na tym. Marzyłam kiedyś, że zostanę lekarzem... Masz rację, dzieci ci adoptować nie wolno. Dlaczego sama nie napiszesz do Chaczyka?

- Ja?! - zawołała Zita. - Za nic! Jeszcze by pomyślał, że mu się narzucam!

- Napisz więc, że ofiarujesz mu swą dozągonną przyjaźń - uśmiechnęła się mama - bo... za mąż ci iść nie wolno... Wytłumacz mu, dlaczego. Taki serdeczny list mógłby go bardzo podnieść na duchu.

Nagle przyszło mi do głowy, że jeżeli napisze na adres szpitala we Frankfurcie, jej list nigdy nie dotrze do Chaczyka. Musiałam coś szybko wymyślić.

- Właśnie! - zawołałam. - Jutro wyjeżdża z naszego szpitala konwojent do Frankfurtu po rannych! Mógłby zabrać twój list! Wtedy dotrze bardzo szybko!

Tego samego dnia Zita zdobyła kartkę czystego, białego papieru i skleila z niej prawdziwą kopertę! Spieszyło mi się, by zobaczyć wyraz twarzy Chaczyka, kiedy mu dostarczę list-niespodziankę, ale przez cały czas myślałam o innym liście. Czy beznogi i bezręki Dziemał Kawtaradze spodziewał się odpowiedzi od swej żony spod Moskwy? Bo przecież nie podyktował mi adresu szpitala... Nie miałam odwagi go zapytać, czy zapomniał, czy pominął adres zwrotny świadomie.

- Sądziś, że ona mogłaby mu nie odpowiedzieć? - zapytałam mamę.

- Myślę, że już do niego jedzie. No, może jeszcze załatwia formalności i zbiera pieniądze na podróż. - Matka nie miała wątpliwości. - Musiałaby być ostatnią kanalią, żeby porzucić człowieka w tym stanie.

A więc niech to będzie dla niego wspaniała niespodzianka, w pomyślałam.

Nie wiem, co Zita napisała do Chaczyka. Chyba jakieś asyryjskie zaklęcie, bo od chwili gdy przeczytał list, stał się innym człowiekiem. Promieniał radością.

Wyglądał tak, jak gdyby w jego wnętrzu zapalono żarówkę. Jak za dawnych czasów wygwizdywał swoje arie, aż cały szpital zamierał, wsłuchany.

Ku zaskoczeniu pacjentów zjawił się u Chaczyka fachowiec od protez, żeby wziąć miarę.

- Co za chytry Ormiaszka! - Nie mógł nadziwić się Sasza. - Jak ty potrafiłeś załatwić wszystko, nie wyłażąc ze szpitala?! Nawet cię prawie nikt nie odwiedza!

Chaczyk tylko opuszczał głowę i mrugał.

- Jestem najchytřejszy ze wszystkich Ormiaszek!

Matka musiała wtajemniczyć w sprawę protezy Arszę, która zabrała się żwawo do roboty: Słała listy do krewnych i znajomych w Armenii z prośbą o datki. I choć nikomu się nie przelewało, to jednak zebrano dość gotówki, żeby posmarować specjalistom, co bardzo przyspieszyło sprawę protezy.

Znosiłam Chaczykowi plotki i nowiny z naszej ulicy i cały czas czekałam na Walentynę Polikarpownę. Dni mijały, ona nie przyjeżdżała, a Dziemał błagał mnie o wódkę. Pacjenci nieustannie żądali, żeby im przemycać alkohol, ale w szpitalu obowiązywał całkowity zakaz jego spożywania. Dozorca szpitalny na wrywki rewidował personel, odwiedzających i pacjentów powracających z przepustki. Mnie też molestowano o wódkę, ale

odmawiałam kategorycznie. Jeszcze nie wiedziałam, że istnieje związek między cierpieniem i alkoholem.

Kiedyś na błagania Saszy zaproponowałam, że przyniosę mu kompot z kuchni albo wodę mineralną z miasta. Popatrzył na mnie bardzo smutnymi oczyma.

- Woda nie wódka - westchnął. - Dużo nie wypijesz...

Po ostatnim zatargu z kadłubkiem, gdy mnie szczególnie żałośnie błagał o jakikolwiek alkohol, nazajutrz rano już nie zastałam go w izolatce. Salowa nie chciała mi powiedzieć, gdzie go przenieśli. Dopiero moi podopieczni wyznali, że się powiesił.

- Głowimy się właśnie, jak mu się udało zębami i tymi kikutami związać prześcieradło i zarzucić na poręcz łóżka. Musiał mieć nieodwołalny wstręt do życia - opowiadał jeden z nich. - Sasza wszedł do niego wieczorem na pogawędkę, a on wisiał na poręczy, martwy.

Pobiegłam do Saszy. Leżał twarzą do ściany i nie chciał z nikim rozmawiać.

Pochyliłam się nad nim.

- Jak mogę ci pomóc? - zapytałam.

Zerknął na mnie i siadł na łóżku. Rozpiął agrafkę, spinającą kieszeń piżamy, i wyciągnął pieniądze.

- Masz! Kupisz dwie półlitrowki - powiedział stanowczo. - Jedną przemycisz, a drugą niech ktoś przyniesie pod okno!

- Co wy wszyscy z tą wódką?! - wściekłam się. - Jakby nic lepszego na świecie nie istniało!

- Lepszy jest spirytus - odezwał się Stiepanow. - Ale skąd go wytrzasnąć?

- Och, żeby już na front - zawył Sasza. - Nie znoszę tego życia! Jak założę protezę, w trzy dni nauczę się biegać! Ja im pokażę! - Pogroził komuś pięścią. -

Niech tylko spróbują mnie nie wysłać na pierwszą linię!

Pomyślałam, że Niemcy wymordowali całą jego cygańską rodzinę i swędzą go łapy, żeby bić faszystów.

- Rozumiem cię - powiedziałam. - Gdybym była pełnoletnia, już dawno wojowałabym na pierwszej linii!

Ranni zgodnie wybuchnęli śmiechem.

- Co ty możesz zrozumieć, skoro nie pijesz wódki?! - zawołał Sasza.

- Saszy spieszno na front po przydział spirytusu! - wyjaśnił mi Stiepanow. -

Fasują cały kubek przed każdym natarciem! - westchnął rozmarzony.

- Tak! Na froncie to jest życie! - zawołał Sasza. - Zawsze jestem na pierwszej linii! Co wypilem, to moje!

Oczy mu zabłyśły.

- Spiritus to wielka rzecz, dziewczyno! - zaśmiał się Stiepanow. - On nas na pewno poprowadzi do zwycięstwa!

- Spiritus po łacinie znaczy „duch”! - odezwał się nagle milkliwy Zagórski. - Ja bym jeszcze dodał Spiritus bellicus, czyli „duch bojowy”!

- Zagórski był chirurgiem wojskowym - wyjaśnił mi z respektem Stiepanow. -

Dlatego zna łacinę. Ale ta łacina nie uchroniła go od pocisków artylerii. Teraz będzie operował, siedząc na szafie.

Stiepanow robił aluzję do kalectwa Zagórskiego: Obie nogi zgubił gdzieś na Słowacji.

Tym razem wzięłam pieniądze od Saszy i pobiegłam po wódkę. W końcu przydzielono mnie tu, żebym im pomagała! Butelkę zawiesiłam na wysokości kolan i ukryłam pod płaszczem, który donaszałam po starszym kuzynie (często chodziłam w łachach, z których wyrósł). Huśtała się na sznurku, przerzuconym przez ramię. Drugą półlitrowkę przyniósł pod okno chłopak z naszej ulicy. Pierwszy, ale nie ostatni raz przemycałam alkohol. Nigdy mnie nie rewidowano. Ciągle jeszcze przypominałam dziecko. A może chronił mnie zawsze mi odtąd towarzyszący duch Dzięmała Kawtaradzego?

Kiedy Sasza i jego kompani rozlali do kubków leczniczy płyn, zapytałam:

- Co ona mu takiego napisała?

- Wszystkie baby to kurwy! - warknął Sasza.

- Nie wszystkie - zaprzeczyłam. - Moja mama na pewno nie! A twoja?

- Nie wiem - powiedział ponuro. - Nie pamiętam jej. Masz, czytaj!

Wyciągnął z nocnej szafki rozpieczętowany trójkąt listu.

„Dzień dobry, Dzięmałku!

Przeraziłeś mnie. Wiesz przecież, jaka jestem delikatna. Teraz płaczę i płaczę.

Nie mam odwagi cię zobaczyć. Nigdy bym nie mogła spojrzeć na takiego kalekę, nawet gdyby to był ktoś nieznamy. Nie chcę, żebyś sobie robił nadzieję.

Zresztą już kogoś mam, jest gorszy od ciebie, ale co ja mam robić? Przebac mi Walunia”

- Napiszcie do niej! - wyrwało mi się. - Wszyscy razem! Żeby wiedziała, kim jest!

Sasza pogroził pięścią. - Już ja jej napiszę!

Orfeusz

Zita nie mogła się nadziwić, dlaczego Chaczyka przerzucają ze szpitala do szpitala. Listy przychodziły z różnych miast, a ona nie mogła na nie odpowiadać.

- Z tą raną musi dziać się coś bardzo niedobrego, skoro nigdzie go nie chcą leczyć - skarżyła się mojej mamie. - Dlaczego on wszędzie jest przejazdem?

Matka pocieszała ją, jak umiała. Wiedzieliśmy, że Chaczyk prosi pacjentów wypisanych ze szpitala, żeby wysyłali jego listy ze swoich rodzinnych miast.

Wreszcie nadeszła proteza i któregoś dnia Chaczyk pojawił się na naszym podwórku.

Sąsiedzi otoczyli go ze wszystkich stron, pokrzykując, śmiejąc się, gotowi go dokładnie obmacać.

Zaraz przybiegła Zita i oznajmiła dumnie:

- Teraz wasze podwórko też ma swojego bohatera!

- Ile zebrałeś orderów? - zapytał Iwan Iwanowicz, wychylając się z okna.

- Medal za wyzwolenie Stalingradu... - wymamrotał nieco skrępowany Chaczyk.

- Mało!... A ilu zabiłeś Niemców?

Chaczyk jakby skurczył się w oczach. Zerknął na Zitę i zrobił się purpurowy.

- Nie wiem... chyba żadnego... Źle mi szło strzelanie... Twarzyczka Zity posmutniała.

Sąsiedzi opuścili głowy.

- Niedowidzisz, czy jak? - nalegał Iwan Iwanowicz. Chaczyk milczał.

- Może jesteś ślepy?!

- Nie jestem ślepy! - zeźlił się nagle Chaczyk.

- Takich jak ty powinno się rozstrzeliwać jako sabotażystów! - stwierdził Iwan Iwanowicz. - Jak deztererów!

Chaczyka aż poderwało. Wyprostował się, oczy mu zapłonęły.

- Byłem potrzebny w pułku! Wcale nie żądali, żebym strzelał!

- A coś ty takiego robił?! - wrzasnął Iwan Iwanowicz.

- Gwizdałem i śpiewałem różne arie, kiedy gniliśmy w okopach! Opowiadałem im treść wszystkich oper! Polubili mnie! Chronili. - Nagle głos mu się załamał. -

Nie mogłem strzelać do Niemców!... Może gdybym zobaczył z bliska krwawego hitlerowca... ale nie widziałem. Z daleka każdy był podobny do Zaksa...

- On był dla nich jak Orfeusz! - zawołała triumfalnie Zita. - Jak Orfeusz w piekle! - dodała, podnosząc dramatycznie ręce.

A ponieważ mało kto z sąsiadów wiedział, kim był Orfeusz, na wszelki wypadek pokiwali z wielkim szacunkiem głowami i rozeszli się.

Teraz Chaczyk całymi dniami wchodził i schodził z drabiny. A w każdą sobotę i niedzielę widziano go razem z Zitą. Sprawiali wrażenie zakochanej pary, a Zita zawsze wiedziała najlepiej, co on myśli i czego chce. Na przykład:

- Chaczyk sądzi, że Majakowski jest za mało poetycki! Chaczyk woli Pasternaka!

Moje pierwsze buty

Wojna się skończyła i cieszyliśmy się jak normalne dzieci, bo na wszystkie prośby i zachcianki odpowiadało nam zawsze:

- Poczekajcie! Niech no tylko skończy się wojna! Wyobrazaliśmy sobie, że teraz powinny się spełnić wszystkie marzenia i że posypią się na nas parówki i kiełbasy, buty, mydła i zeszyty! Ale czas mijał i choć znieśli już kartki na chleb, a potem na cukier, nadal nie miałam przyzwoitych butów. Para znajomych lingwistów uruchomiła w mieszkaniu nielegalny warsztat. Produkowali drewniaki na koturnie. Jemu na froncie rozłupało czaszkę i z prawej strony czoła pozostała głęboka wyrwa. Nauczył się strugać drewniane podeszwy, a żona przybijała do nich różnej szerokości knoty.

Spód składał się z dwóch części, połączonych zawiasami. Buty szły jak woda, bo wyglądały bardzo modnie.

Marzyłam o tych drewniakach jak o Ziemi Obiecanej. Widać Opatrzność postanowiła mi pomóc, bo dała zarobić trochę rubli. Znajomy chłopak udostępnił mi na pewien czas swoje źródło dochodów. Jego rodzice, ludzie zamożni, wykładowcy Akademii Medycznej, zasiadali w komisji przyjęć na studia. Każdy wiedział, że do akademii nie można się dostać bez kolosalnej łapówki, prawie tak dużej, jak łapówka za zwolnienie ze służby wojskowej. Choć zamożny z domu, kolega dorabiał sobie na boku, w tajemnicy przed rodzicami, którzy go nie rozpieszczali. Wstawał wcześniej i jeszcze przed lekcjami (chodził na popołudniową zmianę) obiegał kilka zaprzyjaźnionych sklepów z branży żelaznej i farbiarskiej, żeby sprawdzić, czy nie dopadła ich któraś z licznych kontroli. Kiedy w sklepie był remanent, brał ukradkiem od kierownika kartkę ze spisem brakujących towarów, które w ogóle nie dotarły do sklepu, bo sprzedawano je zupełnie gdzie indziej i po znacznie wyższej cenie. Wciskano mu też kartkę nadwyżek, gdyż na podstawie jednej faktury handlowano legalnym towarem państwowym i lewym, od „podziemnych” wytwórców. Do tej roboty zatrudniano najchętniej dzieci, bo nie wzbudzały podejrzeń. Z kartkami od kierownika mój kolega biegł do najbliższych sklepów tej samej branży i mobilizował personel, organizując szybkie przerzuty towarów.

Czasami, w zależności od pochodzenia rewidentów, musiał dostarczać do kontrolowanego sklepu wino albo wódkę. Bo podczas remanentu nakrywało się stolik na zapleczu i serwowało rewizorom suto śniadanko. Na stole pojawiała się beżowa koperta. Kontrolerzy znajdowali ją i sprawdzali zawartość. Jeżeli sumę uznawali za odpowiednią, życzliwie pytali kierownika:

- No to od czego by tu zacząć?

Kierownik podsuwał im towar, co do którego nikt nie mógł wnosić zastrzeżeń, a w tym czasie od podwórka podrzucano towary z innych sklepów. I wszystko się zgadzało. Nikt do nikogo nie miał żalu, bo wiedzieliśmy, że rewidenci muszą karmić swoich zwierzchników. A tamci swoich.

Od kierowników zaprzyjaźnionych sklepów profesorski synek otrzymywał za codzienny obchód niewielkie miesięczne wynagrodzenie, a za każdą dobrze przeprowadzoną akcją usuwania i dostarczania towaru - premię. Aż wreszcie zamożni, utytułowani rodzice dowiedzieli się o jego lewych zarobkach, surowo go ukarali i kazali skończyć z tym niemoralnym i nielegalnym procederem. Własne łapownictwo nie przeszkadzało im w prawieniu synkowi morałów. Chłopak postanowił na jakiś czas usunąć się w cień, dopóki nie uśpi czujności staruszków, a swoją posadę odstąpił mnie, żebym mogła szybko zarobić na wymarzone drewniaki. Dobry to był chłopak. Od czasu do czasu nie wytrzymywał swojej odstawki i w dniach, w których rodzicom przypadły dodatkowe zajęcia ze studentami, biegał na poranny obchód.

Stałam się więc właścicielką wyśnionych drewniaków i po raz pierwszy w życiu mogłam dumnie kroczyć ulicą. Niestety, radość nie trwała długo. Knoty nie wytrzymywały napięcia, odrywały się od drewna i siadając na chodniku, musiałam je co chwila przybijać. Ponieważ okazało się to zajęciem nieskutecznym, zaczęłam przywiązywać nogę sznurkiem do podeszwy. To znowu znacznie zmniejszyło urodę mych kroków.

Przybivszy knoty kamieniem, wymyśliłam nowy sposób chodzenia: Poruszałam się tyłem, nie odrywając stóp od chodnika i głośno szurając drewniakami. Wzbudzało to pewne zdziwienie przechodniów. Na ich zaczepki odpowiadałam wyzywająco:

- Chodzić twarzą do przodu potrafi każdy idiota!

Niestety, wkrótce i ta metoda zawiodła: Drewniaki za nic nie chciały się trzymać stóp. Stałam na rogu ulicy, załamana. Myśl o samobójstwie nie była mi obca.

Dlaczego nam się nigdy nic nie udaje?! Co za niewydarzona rodzina! Czy kiedyś będę tak bogata, że kupię sobie dwie pary przyzwoitych butów? Tak! Dwie! A może nawet trzy! Czy to możliwe? Czy możliwe, że zapomnę o swoich i cudzych nieszczęściach? Postanowiłam, że ile razy mi się w życiu powiedzie, wywołam z pamięci pechowe drewniaki i tę chwilę na rogu ulic Klary Zetkin i Kalinina! I niech na zawsze pozostanę bosa wśród naszych brudnych, porośniętych grzybem ścian, jeżeli mnie zawiedzie pamięć!

Kiedy w myślach składałam tę przysięgę, poczułam czyjąś dłoń na swoim ramieniu.

Podniosłam oczy i zobaczyłam Chaczyka.

Uśmiechnął się do mnie.

- O czym tak dumasz, puczura achczyk! - Nazwał mnie po ormiańsku małą dziewczynką. - Pluj na to, achczyk dżan! - dodał, spojrzawszy na moje drewniaki, i wziął mnie za rękę. - Idź na bosaka! Przy mojej drewnianej nodze i tak będziesz lepsza!

Wsunęłam drewniaki pod pachę i ruszyłam z nim jak każdy idiota, czyli twarzą do przodu. Chaczyk się zamyślił.

- Wiesz, co? - odezwał się po chwili. - Niedługo będziesz miała wakacje, tak?

- Tak...

- Chcesz zarobić w mojej brygadzie?

„Brygadą” Chaczyk nazywał siebie i pomocnika Wagrama.

- Co ja potrafię? - zdziwiłam się i popatrzyłam na chude jak miotełki dłonie.

- Nauczysz się! - powiedział bez przekonania, ale zaraz zmienił ton. - Tak!

Potrzebuję ucznia! Każdy przyzwoity mistrz malarski musi mieć ucznia, żeby traktowano go z należyтым szacunkiem. Przyjmę cię, jeżeli twój ojciec nie ma nic przeciwko temu!

- Tego się szybko nie dowiesz - westchnęłam.

Chaczyk spojrział na mnie ze zrozumieniem. Musiał zauważyć, że ojciec przestał bywać w domu.

- Dobrze, achczyk, porozmawiam z twoją matką...

Idąc z Chaczykiem do mojej pierwszej pracy, nie mogłam ukryć podniecenia. W trzypokojowym mieszkaniu gospodarze już ustawili meble na środku pokoju i czekali na nas z pełnymi pokory minami. Wagram przyniósł drabinę i wiadra.

Chaczyk omiół wzrokiem ściany, potem długo wpatrywał się w sufit.

- Oj, niedobrze, achczyć. - westchnął, zwracając się niby to do mnie. -

Niedobrze!...

Zaniepokojeni gospodarze podbiegli do niego.

- Co „niedobrze”?

Chaczyk popatrzył na nich z politowaniem i znowu wzniosł oczy do sufitu.

Wyciągnął palec, wskazując niewielkie pęknięcia.

- Wszystko do gipsu! - Machnął ręką. - Krakelury, krewesony, falury i stratyfikaty - wyliczał smutnym głosem, wpatrując się w plamy na ścianach i dotykając osypującego się tynku w narożnikach.

Znowu zacmokał z dezaprobatą. Właściciele patrzyli na niego coraz bardziej zatrwożeni.

- Czy jest na to rada? - zapytała nieśmiało pani. Chaczyk nie spieszył się z odpowiedzią.

- Bo ja wiem... właściwie można by powiedzieć, że jest. - Chaczyk znowu zrobił pauzę i spojrzał na gospodarza. - Widzi pan, tu trzeba brasserować, takłować, robić grattaż i passeman... Pan oczywiście rozumie, o co chodzi? - zapytał poważnie.

Właściciel przytaknął bez przekonania. Był bliski załamania.

- Ile to będzie kosztowało? - spytał drżącym głosem. Chaczyk długo pocierał skroń i kolejny raz obejrzał pokoje.

- To zależy...

W oczach właścicielki dojrzałam błaganie o litość. Zrobiło mi się ich żal.

- Od czego zależy? - zapytała cicho kobieta.

- Jeżeli wszystko zrobimy porządnie, a nie na łapu-capu... i wykonamy sumiennie to, co państwu wyliczyłem... wtedy...

Wreszcie Chaczyk wymieniał sumę. Niemal usłyszałam, jak gospodarz odetchnął z ulgą.

Zazwyczaj Chaczyk nie żądał od ludzi wygórowanej ceny - chyba że poczuł do kogoś wyjątkową antypatię i nie miał zamiaru dojść do ugody - ale na początku zawsze długo straszył, żeby klienci zmiękli.

Odczuwał osobistą satysfakcję, kiedy z wyniosłych, wysoko postawionych klientów uchodziło powietrze. Zapytałam go kiedyś, skąd pochodzi jego dziwne słownictwo.

- Nauczyłem się od twojego ojca! - zaśmiał się. - Czasami Zaks wysyłał nas na pierwszy ogień, a my udawaliśmy majstrów. Nie masz pojęcia, jak świetnie się bawiliśmy, robiąc niektórych zarozumiałców w konia! Twój tata umiał tak skołować człowieka, że tamten nie wiedział, co się z nim dzieje. Godzili się na wszystko.

Ale to było dawno...

W sezonie Chaczyk miał pełne ręce roboty. Wykańczając jedno mieszkanie, mnie z drabiną i z wiadrami zostawiał w drugim. Miałam uspokajać rozjuszonych właścicieli, biegających dookoła okrytych prześcieradłami mebli. Opowiadałam im bajki, a kiedy brakowało mi argumentów, mówiłam po prostu:

- To są uczciwi rzemieślnicy i jak uczciwym rzemieślnikom przystoi, przepijają teraz waszą zaliczkę! Niech państwo się nie denerwują! Wróć, gdy zabraknie im gotówki.

Gospodarze milkli. Nie wiem dlaczego, ale ten argument działał na nich kojąco:

Przestawali się mnie czepiać. Słyszałam czasami ich trójpoziomowe westchnienia, ale już się nie awanturowali.

Sympatycznego klienta, który się nie podlizywał ani nie zadzierał nosa, Chaczyk nagradzał dobrą robotą.

- Myć i reperować będziemy jak dla siebie! - rozkazywał nam, asyistentom.

I zabierał się do gruntownego zeskrobywania brudów. A krakelury na suficie, czyli rysy i pęknięcia, zaszpachłowywał starannie i zaklejał bandażem. Gdy nie polubił klienta, mówił:

- No, szkraby, szybko do roboty! Pracować mi tu po stachanowsku!

Pozostała mi w pamięci wysoka, wysportowana starsza pani z orlim nosem i niewidzącym spojrzeniem dużych, ptasich oczu. Patrzyła gdzieś przez człowieka na ścianę za jego plecami. Chaczyk chyba uznał, że spogląda na niego z góry, bo zażądał znacznie wyższej sumy. Staruszka się nie targowała. Powiedziała tylko:

- Słyszałam, że jest pan prawdziwym mistrzem i uczciwym rzemieślnikiem. Zna pan lepiej ode mnie swoją cenę.

Jak zwykle Chaczyk zostawił mnie u niej, a sam z drugim asyistentem poszedł kończyć poprzednią robotę. Otworzyłam „Dwanaście krzeseł” i usiadłam na drabinie. Starsza pani krzątała się w kuchni. Po pewnym czasie weszła do pokoju i nie patrząc w moim kierunku, zapytała:

- Jesteś tu jeszcze?

- Jestem!

- Co robisz?

- Czytam.

Zdumiała się i podeszła do mnie.

- Co czytasz?

- „Dwanaście krzeseł”...

- Ooo... to wspaniała książka! Bardzo ją lubię! Nie poczytałabyś mi trochę na głos?

- Od początku?

- Ależ nie! Znam tę powieść. Można ją przeglądać wciąż na nowo! Niestety, nie mogę już czytać. Nawet w okularach. Właściwie widzę tylko rozmazane kontury przedmiotów.

Chętnie spełniłam jej prośbę. Po godzinie wspólnego śmiechu prawie zaprzyjaźniłam się ze starszą panią.

- Chyba nie jadłaś obiadu? - zapytała.

- Nie jadam w pracy. Jestem przyzwyczajona.

- Też nie jadam obiadów - przyznała. - Nie opłaca się gotować tylko dla siebie.

Ale herbaty mogłybyśmy się napić...

Zaprosiła mnie do kuchni, pokrajała chleb i posmarowała cienko margaryną. Miała mało tej margaryny i podzieliła ją uczciwie. Wyjęła z kredensu słoje konfitur, obwiązany czystym płótnem. W bursztynowozłocistym syropie pływały cząstki mandarynek.

- To najpiękniejsze konfitury, jakie widziałam! - zawołałam zachwycona.

- Ukochane konfitury mojego syna - zwierzyła się kobieta. Popijałyśmy herbatę na pńkusku.

- Pani syn wie, co dobre! - zaśmiałam się.

- Tak - uśmiechnęła się staruszka. - Bardzo zdolny chłopak! Nie dlatego, że to mój syn! - Westchnęła. - Chcę go przywitać w czystym mieszkaniu, gdy powróci z wojny...

- Jeszcze nie wrócił?! - wyrwało mi się.

Ugryzłam się w język. Wojna skończyła się przed dwoma laty i nie wrócili tylko ci, co zginęli.

- Przysłali mi zawiadomienie, że zaginął i nie mogą go odnaleźć - powiedziała i ściszyła głos. - Myślę, że dostał się do niewoli... Ludzie opowiadają, że po wyzwoleniu z niemieckiej niewoli wszystkich wysyłają na Syberię. Ale nie mogą go przecież za tę niewolę skazać na dłużej niż na trzy lata. Jak myślisz?

- Trudno powiedzieć...

- Pewno ich trzymają bez prawa do korespondencji, bo przecież oficjalnie nie ma paragrafu, według którego można by za coś takiego karać... W milicji powiedzieli mi, że nikogo z wyzwolonych nie aresztują... Ale ludzie przecież wiedzą... Ja wiem, że on żyje...

- Na pewno żyje! - zawołałam.

- Dlaczego tak sądzisz? - zapytała z taką nadzieją w głosie, że zrobiło mi się nieswojo.

- Mam intuicję! - zapewniłam ją z przekonaniem.

Nie wiem, czy czułam coś takiego, ale bardzo chciałam, żeby ten chłopak wrócił.

Wieczorem spotkałam Chaczyka i powtórzyłam mu rozmowę z nową klientką. Chaczyk się zasmucił.

- Udało mi się dziś kupić farby i tapety na lewo za ćwierć ceny - powiedział i wyciągnął banknoty. - Masz! Oddaj jej i coś wymyśl...

Wiedziałam, że kłamie, bo na lewo kupowało się tylko drożej. Na drugi dzień Chaczyk poprowadził nas z Wagramem do mieszkania staruszki.

- Pracować jak dla siebie! - rozkazał. - A ty - zwrócił się do mnie - wpadniesz do drania, u którego robimy, i zasuniesz mu prosto z mostu swoją gadkę, że właśnie przepijamy jego pieniądze. Tylko nie siedź tam, bo cię zanudzi! Już trzy razy kazał nam zmieniać kolory! Nic mu się nie podoba!

- Wymyślmy dla niego jakąś straszną karę! - zaproponowałam.

- Och, achczyk dżan. Szkoda, że nie ma twojego ojca! - zawołał Chaczyk. - On by go załatwił tak, że pamiętałby nas przez całe życie!

- Jak na przykład? - zainteresowałam się.

- Twój ojciec nie znosił głupców, zwłaszcza takich, którzy zawdzięczają karierę wyłącznie legitymacji partyjnej. Kiedy napotykał takiego bałwana, twarz mu się rozpromieniała najcieplejszym z jego uśmiechów i zaczynał opowiadać o wspaniałych eksperymentach naszych naukowców. Na przykład, że już ruszają z produkcją radia, przekazującego nie tylko dźwięk, ale i obraz! Że niby siedząc w domu, zobaczymy i gadającą spikerkę, i nawet całą operę! Wyobrażasz sobie?! Tłumaczył, jak to fale wędrują w eterze, przekazując wszystko, czego dusza zapagnie, a do swej gadki wtrącał tyle naukowych, technicznych szczegółów i cudzoziemskich słów, że mu każdy wierzył! Nawet ja, chociaż wiedziałem, że fantazjuje, dawałem się nabrać. Całą operę zobaczyć w swoim pokoiku! O mało sam w to nie uwierzyłem! - zaśmiał się.

- A jak ich karał? - niecierpliwiłam się, bo dobrze znałam fantazje mojego ojca.

- Wciskał idiotcie różne bajery, a gdy kończyliśmy robotę, miał już palanta w ręku, tak skołowanego, że dawał sobie wmówić nie tylko kolor! Przekonywał drania, że w Moskwie każdy szanujący się dygnitarz, jeżeli chce szybciej awansować i zyskać przychyłność naczalstwa - tak właśnie mówił: „Zyskać przychyłność naczalstwa” - więc każdy taki towarzysz funduje sobie cytaty na ścianie! I że ten, kto nie idzie z postępem, stacza się w bagno! I że człowiek na odpowiedzialnym stanowisku nie może być gorszy! Wykonał nawet kilka szablonów z napisami.

- I dawali się nabierać?!

- Za dodatkową opłatą! - Chaczyk podniósł palec do góry. - Za dodatkową opłatą!

Malowaliśmy hasła na pół ściany i do widzenia! Żegnaj! Żegnaj, kumplu!

- Jakie na przykład hasła?

- Same najlepsze: „Uczyć się! Uczyć się! I uczyć się! Lenin”. No i pomyśl, czy taki palant, kiedy się już wyzwolił spod czaru twojego ojca i oprzytomniał, mógł wezwać malarza i kazać mu zeszkrobywać słowa Lenina?! Prędzej by się zesrał ze strachu! Więc musiał biec po farby i pędzle do sklepu i własnoręcznie zamazywać napisy. Albo inny wariant. Budzi się rano wierny syn partii i widzi ogromne, płomienne litery: „Widmo komunizmu krąży po Europie!” Siada człowiek do obiadu, a przed oczami czerwieni mu się wezwanie: „Bądź czujny! Ściany mają uszy!” Twój ojciec uważał, że zapewnia tym towarzyszom murowany rozstrój nerwowy.

- Daj mi tylko trochę kartonu, a jutro będziesz miał kilka takich szablonów - zaproponowałam, zachwycona.

- To się na nic nie zda - westchnął Chaczyk. - Najpierw trzeba gościa zabajerować, a czy ty to potrafisz? Twój ojciec miał wyjątkowy talent, achczykl Robił z ludźmi, co chciał! Dzięki niemu się nie powiesiłem, bo poczułem się człowiekiem. On mnie nauczył kochać operę i wszystko, co jest piękne!

Kiedy tak gaworzył, olśniła mnie prosta myśl: Jemu, Chaczykowi, malarzowi pokojowemu, asystentka jest tak potrzebna, jak słoniowi koronkowy czepek!

Wymyślił pretekst, żeby mi dać zarobić, bo wiedział, że nie przyjmę datków!

Odwdzięczał się ojcu! Twarz mi zapłonęła ze wstydu, nawet na rękach pojawiły się czerwone plamy.

- Co ci jest, achczy? - zawołał.

- Gorąco tu - wymamrotałam i wybiegłam.

„Nie wykończony” klient czekał, dopóki nie wypucowaliśmy mieszkania staruszki.

Na pożegnanie umyliśmy jej podłogę i ustawiliśmy meble.

Chaczyk mawiał często:

- Jeżeli chcesz kogoś ufetować, nie zapomnij posolić potraw! Niech nas dobrze wspominają!

Bunt

W soboty i niedziele Chaczyk prowadził Zitę do opery albo do kina. Czasem szłam z nimi. Kupował dobre miejsca i gdy tylko gasło światło i orkiestra grała uwerturę, brał jej rękę w swoją i bojąc się poruszyć, siedział sztywno do końca.

Za to przez całą drogę Zita streszczała mu książki przeczytane w ciągu tygodnia.

Opowiadała sumiennie, ze wszystkimi szczegółami i z pasją, powtarzając dialogi i przeżywając sentymentalne sceny. Czasami z trudem hamowałam śmiech, ale chwilami udawało jej się mnie rozczulić.

W następnym mieszkaniu, gdy wypadło mi znowu pilnować drabiny, postanowiłam rozpocząć swoją karierę malarską. Koniec z pobieraniem pensji na brzydkie oczy!

Nalałam wody do wiadra, namoczyłam ścianę pędzlem i zaczęłam skrobać, jak to robili Chaczyk i Wagram. Z początku ciężki pędzel wypadał mi z rąk i musiałam często złązić z drabiny, by go podnieść, szybko jednak się przekonałam, że od czasu do czasu odpoczywając, potrafię wykonać postawione przed sobą zadanie.

Wieczorami nie mogłam zasnąć, bolały mnie mięśnie, ale przez trzy dni, zanim zjawił się Chaczyk z asystentem, wymyłam i oskrobałam dwa pokoje. Gospodarze obserwowali

mnie i coś szeptali, kiwając z dezaprobatą głowami. Postanowiłam nie zwracać na nich uwagi. Chaczyk docenił mój trud: Pod koniec miesiąca podniósł mi pensję. Patrzyłam dumnie na swoje czerwone, spuchnięte ręce. Teraz nikt nie będzie mógł mi zarzucić, że nie jestem prawdziwą klasą robotniczą! W ciągu dwóch miesięcy moje dłonie rozszerzyły się do niebywałych rozmiarów. Wyczekiwałam spotkania z ojcem, żeby się przed nim pochwalić. Już nie powie, że jestem królowną na ziarnku groszku! - myślałam, bo ojciec kpił z egzaltowanej bohaterki bajki Andersena.

- Królowna-niedołęga! Królowna-nierób! Ziarnko grochu jej przeszkadzało zasnąć!

Władza radziecka szybko by ją wyleczyła z bezsenności! Nauczyłaby się spać na nieheblowanych deskach, gdyby popracowała cały dzień w kołchozie...

Ale reakcja ojca zaskoczyła mnie. W jego oczach przemknął wyraz lekkiego przerażenia, a potem głębokiego smutku. Przyjrzałam się dłoniom ponownie i stwierdziłam, że są szpetne: szerokie jak łopaty, chropowate, wiszące na cienkich przegubach.

Ojciec odwrócił się i kazał mi zbierać rzeczy moje i brata. Właśnie pod naszą nieobecność mamę zabrało pogotowie. Miała zapalenie otrzewnej i wysoką gorączkę.

Dyżurowała przy niej ciocia Maro. Sąsiadka zawiadomiła ojca, że zostaliśmy bez opieki.

Mamę zoperowano, a ojciec przeniósł mnie i brata do szkoły położonej bliżej radiostacji i obiecał nam, że po wypisaniu matki ze szpitala przywiezie ją do swojego nowego mieszkania, gdzie przynajmniej jest ciepło i nie kapie z sufitu.

Na to nowe mieszkanie składały się dwa pokoiki w świeżo postawionym parterowym domku, czy raczej baraku przy radiostacji. Wszyscy pracownicy mogli otrzymać tam pokój lub dwa, zależnie od rangi. Przydzielono też wszystkim działki, wykrojone z ziemi przylegającej do budynku radiostacji, i cały teren ogrodzono drutem kolczastym. Zalecono hodować kwiatki, jarzyny, a nawet inwentarz, bo władze już rozumiały, że nawet tacy zapaleńcy i miłośnicy radia, jak mój ojciec, na samym entuzjajmie szybko wyciągną nogi. Głównie zaś chodziło o to, by jak najrzadziej oddalali się z miejsca pracy.

Matka długo dochodziła do siebie w szpitalu, a my z bratem zaprzyjaźniliśmy się z miejscowymi chłopcami. Ci chłopcy powiedzieli nam, że kiedy z soboty na niedzielę wyjeżdżamy nocować do cioci Maro, ojca odwiedza jakaś kobieta i zostaje do rana. Nie mogłam w to uwierzyć.

Przez kilka dni śledziłam ojca jak zawodowy detektyw. Wymyśliłam chłopcom zabawę w zwiadowców i udało nam się ustalić, że jest to znana mi od lat stara panna, równieśnica ojca, urzędniczka z Ministerstwa Łączności.

Przed wojną bywała u nas w domu, a potem nagle zniknęła. Mama częstowała „tę biedną Galę” herbatą z konfiturami, a ojciec po jej wyjściu wzdychał:

- Zaiste wyjątkowo niewydarzoną zesłał mi Bóg wielbicielek!

Mogłam otwarcie ją śledzić, bo przez ostatni rok zmieniałam się nie do poznania, wyrosłam i jeszcze bardziej zbrzydłam.

Gala, mała, drobna kobieta o piwnych, z lekka zezowatych oczach, wyglądała jak karlica, która w każdej chwili gotowa jest wybuchnąć płaczem. Wypłowiwała szatynka o szarych rzadkich włosach zlewała się z tłumem i trudno byłoby ją rozpoznać, gdyby nie jej dziwaczny chód. Przebierała krótkimi nogami, jakby się cały czas bała, że zaraz ją ktoś dogoni i wymierzy policzek. Czułam się do głębi upokorzona. Jak mój wspaniały ojciec mógł zadawać się z taką pokraką?

Chłopcy podglądali ich pod moją nieobecność i zdawali mi sprawozdanie: Gala wpatrywała się w ojca jak wierny pies i pieszczotliwym głosem faszerowała go pochlebstwami. Zapałam do niej straszną nienawiścią... i do niego! Ukryta, patrzyłam na tę wypłowiawłą gnidę i gotowa byłam ją rozszarpać na krwawe kawałki.

Któregoś wieczoru, kiedy położyliśmy się spać, ojciec oświadczył, że musi sprawdzić, czy jego personel nie zasnął na dyżurze, i wyszedł. Oczekałam z godzinę i zakreśliłam korbką telefonu, żeby połączyć się z dyżurnym technikiem..

Dowiedziałam się, że ojciec wyszedł ze trzy kwadranse temu. Dzwoniłam na stację jeszcze parę razy, aż do białego świtu.

Wrócił nad ranem, skradając się na palcach, żeby nas nie obudzić. Spłoszył się, widząc mnie ubraną i siedzącą na oknie.

- Dlaczego nie śpisz? - zapytał.

- Gdzie byłeś? - odpowiedziałam pytaniem.

- Na stacji.

- Kłamiesz! - krzyknęłam bliska hysterii.

- Jak śmiesz tak mówić do ojca?! - zagrzmiał.

Rzucił się do mnie, ale byłam szybsza i odskoczyłam za stół. Podbiegł w moją stronę. Przesunęłam się dalej i znowu nas dzielił stół. Dał spokój. Ośmieszylby się, gdyby zaczął uganiać się za mną dokoła stołu jak w głupim filmie.

- Że ty się nie porzygasz, kiedy patrzysz na tę swoją Galę! -

Wyrzucałam z siebie wściekłość. - Wszyscy mówią, że ona tyłkiem zamiata podłogę!

Śmieją się z ciebie!

Starłam się go jak najmocniej zranić. Jak mógł mi zrobić coś takiego?!

- Co ty masz wspólnego z tą ropuchą?! Z tym wstrętnym, wrednym babsztylem?! Jak możesz zdradzać naszą piękną, dumną mamę?! Powiem jej wszystko! Nie będzie chciała na ciebie spojrzeć!

Widziałam, jak ojciec blednie i ściąga usta.

- Nie szkoda ci matki?! - krzyknął. - Nie mieszaj jej do tego! Zabraniam ci!

Znów rzucił się w moim kierunku, ale ja już nie uciekałam. Podświadomie chciałam, żeby mnie uderzył. Niech to się skończy jak najgorzej! Chciałam skoczyć z mostu głową w dół, ale w pobliżu nie było rzeki.

- Jeżeli mnie uderzysz - syczałam, a było to wyzwanie i prowokacja, czułam, że usta wykrzywia mi nerwowy uśmiech - pogryzę cię!! Podrapię do krwi!

Ojciec wiedział, że spełnię tę obietnicę. Odwrócił się, usiadł na łóżku i zakrył twarz dłońmi. Obok spał mój młodszy brat. Nawet nasza bieranina go nie obudziła.

Pozbierałam swoje rzeczy: parę podręczników, kałamarz, czerwony pionierski krawat - i włożyłam złachmaniony płaszcz, odziedziczony po kuzynie.

- Dokąd idziesz? - cicho zapytał ojciec.

- Nie chcę cię znać! - odpowiedziałam przez zaciśnięte zęby. - Nic ci do tego!

- Zostań! Dobrze ci radzę! Zostań!

Odwróciłam się i wybiegłam. Bałam się, że zmięknę, a tego bym sobie nigdy nie wybaczyła.

Wiedziałam, że będzie mnie szukał u cioci Maro, poszłam więc do naszej nory. Pod nieobecność matki rozpanoszyły się tu szczury i rosła pajęczyna. Nie mogłam się położyć na wilgotnym barłogu, bo bałam się, że szczury mnie zagryzą. Siedziałam przy stole, trzymając w ręku kij od szczotki. Musiałam się jednak zdrzemnąć, bo wygłodniały szczur ugryzł mnie w łydkę. Stoczyłam z nim bój, zacięty i wstrętny, bo długo nie zdychał od uderzeń kija. Włożyłam w tę walkę ogromny ładunek nienawiści.

Rano powlokłam się pod dom Gali. Czekałam, aż wyjdzie do pracy. Szłam za nią w pewnej odległości, dopóki się nie oddaliła od swojego podwórka. Gdy zaniepokojona odwróciła się, żeby spojrzeć, kto za nią idzie, rzuciłam się na nią, wczepiłam w rzadkie włosy i uderzyłam jej głową o mur. Zawyla. Wrywałam jej włosy, kopałam po łydkach i kostkach, podarłam jej pończochy, plułam na nią i dogadywałam świszczącym szeptem:

- Odczep się od mojego ojca! Zamorduję cię! Zabiję! I żaden sąd ci nie pomoże!

To jest mój ojciec! Ty przybłądo! Obrzydliwa, szara, brudna przybłądo!

Usiłowałam jej urwać nos, garść włosów została mi w ręku. W końcu uwolniła się i zaczęła uciekać tak komicznymi susami, że się roześmiałam i nie miałam już siły jej gonić.

Zresztą jakiś starszy mężczyzna ciągnął mnie za ramię. Otoczył nas tłumek zaniepokojonych kobiet.

- Chuliganka! Bandytka! - krzyczał mężczyzna. - Niech ktoś biegnie po milicjanta!

- Nie puszczajcie jej! - radziła kobieta z okna. - Takich trzeba od razu wieszać!

To nie dzieci, a zbóje nam rosna!

Nie próbowałam uciekać.

- Aresztujcie mnie! Aresztujcie! Niech mnie rozstrzelają! - wrzasnęłam. - Ona zabrała mojego ojca! Zabrała nam ojca!

Zawsze żądne sensacji kobiety zamilkły.

- A gdzie jest twoja mama? - zapytała jedna.

- Jesteś sierotą? - dopytywała druga, szarpiąc mnie za rękaw.

- Moja mama leży w szpitalu! A ta wstrętna baba chce zabrać nam tatę! Zamorduję ją!

- krzyczałam dalej, ale już czułam, że opinia tłumu przechyla się na moją stronę.

- Puśćcie ją! - rozkazała rosła kobieta, przepychając się przez tłum. - Znam tę rodzinę!

To nie jest żadna chuliganka!

- Patrzcie! - zabiadoliła druga. - Przyjeżdżają tu takie puszczalskie nie wiadomo skąd i czepiają się naszych mężów! Zamorduj ją! Ja ci pomogę!

Jej słowa przyjęto śmiechem. Pani w oknie na pierwszym piętrze wyraziła wątpliwość:

- Jak takie byle co może komuś odbić męża? Twoja matka to pokraka?

- Moja mama jest piękna! - odparłam z pełnym przekonaniem. Sama nie mogłam rozwikłać tej zagadki.

- Mężczyźni są słabi - wyjaśniła jakaś starsza pani. - Łatwo dają się nabierać!

Pewnie wzięła go na litość!

Już mnie nie trzymali. Starszy pan machnął ręką i odszedł. Kobiety zaczęły dyskutować o mężczyznach.

- Idź do domu, dziecko! I zawsze broń swojej matki! - poradziła mi nobliwa pani w czarnej sukni. - Gdyby wszystkie dzieci tak postępowały, nie byłoby rozwodów...

Skorzystałam z jej rady i wymknęłam się z tłumu. Dyskusje o małżeństwach mnie nie obchodziły. Nie broniłam interesów matki: To była moja wojna z ojcem!

Z obawy, że ojciec może mnie szukać w domu, przez parę dni nocowałam u szkolnej koleżanki, której rodzice wyjechali po zakupy do Moskwy. Chciałam za wszelką cenę uniknąć spotkania. Niech się denerwuje! - myślałam. Niech się wścieka!

Odechce mu się romansów z tą wydrą! Późnym wieczorem zapukałam do Chaczyka.

- Czy nie widziałeś przypadkiem ojca? - zapytałam od progu.

- Barew dżez. Dzień dobry! - upomniał mnie Chaczyk po ormiańsku.

Odkąd zaczął zadawać się z Zitą, bardzo dbał o formę. A ja od chwili zerwania z ojcem postanowiłam, że już nie będę grzeczna.

- A kiedy on przyjechał?

- Wcale nie przyjechał - mruknęłam ponuro. - Tym lepiej! Czy nie mogłabym ci trochę pomóc? Mogę opuścić parę dni szkoły z powodu choroby matki...

- Cawa tanem, najdroższa, dlaczego nie wracasz do ojca? Czy on wie, że tu jesteś?

- Nic go to nie obchodzi! - zawołałam. - Jestem dorosła! Chaczyk pokiwał głową, pełen wątpliwości.

- Co cię naszło, achczykV. Bóg ci dał wspaniałego ojca, a ty tak o nim mówisz!

Ojca należy szanować jak... jak...

Najwyraźniej nie wiedział, do czego ten szacunek przyrównać.

- Ty go nie znasz - odparłam.

- To ty go nie znasz! - oburzył się Chaczyk. - Nie wiesz, co on potrafi!

- Co mianowicie?! - zapytałam z pogardą.

- Potrafi tłumaczyć sprawy, o których nie miałem pojęcia! Wielki tajemniczy świat! Umarłbym z tęsknoty, gdyby nie on!

- Po prostu kłamie jak najęty! - oburzyłam się. - Kiedy byłam mała, też dawałam się nabierać na jego bajeczki! „Tatusiu, skąd się wzięły kalosze?” „Z południowej Afryki, oczywiście! Rosną na drzewach gumowych!” Chwytał dwa kalosze, takie z jaskrawo-czerwoną podszewką, i przykładał do siebie.

- Wiem! Mam takie kalosze! - zawołał Chaczyk.

- „O, takie właśnie owoce! Zrywają je z drzew i rozcinają na pół”. Tu rozkładał kalosze i wskazywał czerwoną podszewkę. „A stąd, ze środka, wyskrobują czerwony soczysty miąższ, podobny w smaku do arbuza, ale słodszy i bardziej pachnący! I zjadają go! A skórki suszą na słońcu, lakierują i przysyłają nam jako gotowe kalosze. Bo rozumiesz, Afrykę zamieszkują Murzyni, a po co Murzynom kalosze, skoro na ich skórze brudu i tak nie widać”. Takimi bajeczkami mnie karmił!

- Jakbym go słyszał! - zaśmiał się Chaczyk.

- A ja żalowałam, że nie jestem małym Murzynem, bo z braku mydła i gorącej wody trudno nam było wyszorować nogi do czysta...

Chaczyk uśmiechał się, zachwycony.

- Teraz dopiero pokocham moje kalosze! Przyjemnie mi będzie nosić na nogach soczyste owoce z południowej Afryki!

- Tobie to dobrze - mruknęłam. - Ja, głupia, popisywałam się swoją erudycją przed dziećmi z naszej ulicy, a one potem się ze mnie śmiały: „Kiedy ci wreszcie przyślą świeże, soczyste kalosze z Afryki? Czy już zeżarłaś stare? Dlaczego nas nie poczęstowałaś?!”

Chaczyk przyglądał mi się uważnie.

- Nie chodzi ci o bajki - szepnął. - Opowiedz, achczyk, co zaszło? Zaprzeczyłam ruchem głowy. Chciało mi się płakać. Zmartwił się.

- Musiałaś spotkać jakąś wredną osobę.

- Zabiję ją! - powiedziałam przez zęby. - Nędzna kreatura! Żałosna szara mysz!

Chodzące zero! Pokraka na krótkich nóżkach!

- Twój ojciec związał się z jakąś kobietą! - domyślił się Chaczyk.

- Nie z kobietą, a z nędzną, wypłowiałą kretynką! - krzyknęłam.

- Nie mów tak, achczyk - zgorszył się. - To prawda, że takiej jak twoja mama nie znajdziesz na całym świecie... Ale nie wierzę, żeby twój ojciec zadał się z pokraką!

- Właśnie że się zadał! Wypłosz! Wyskrobek! Już ja znajdę sposób, żeby zabić to ścierwo!

- Nie rób tego, nie opłaci się - odradzał Chaczyk. - Zabijesz paskudztwo, a będziesz odpowiadać jak za człowieka. Chcesz, żeby cię wsadzili do więzienia na zawsze?!

- Chcę! - potwierdziłam.

Rzeczywiście chciałam, żeby mnie aresztowano, rozstrzelano, powieszono i ogłoszono wrogiem ludu! Chciałam zhańbić ojca! Chciałam, żeby pokutował i bił głową o ścianę!

Chaczyk zamknął oczy, zamyślony. Wreszcie się odezwał:

- Niewiele mamy teraz roboty... Sama wiesz, jak to jest w zimie... Ale jak tylko coś znajdę, zatrudnię cię. - Otworzył szufladę komody i wyciągnął kilka banknotów. - Masz parę rubli. Potrącę ci z pierwszych zarobków.

Pieniądze bardzo nam się przydały, bo matkę mieli wypisać ze szpitala. Ojciec odwiedził ją i zaproponował, żeby zamieszkała u niego, w radiostacji. Ale matka odmówiła. Nie chciała mieszkać za drutem kolczastym! Przywieźliśmy ją z ciocią Maro do starej nory, wysprzątanej w miarę naszych możliwości. Maro przygotowała zupę jogurtową i gulasz. Rozpromieniona, krzątała się przy mamie, okrywała kołdrą, podsuwała talerze i zaglądała w oczy. Widząc mamę żywą i prawie zdrową, nie mogła ukryć swego szczęścia. Cały czas czułam, że mama tylko czeka, żeby ciotka już poszła.

- Coś ty narobiła?! - powiedziała zdenerwowana, gdy tylko drzwi za Maro się zamknęły.

Skąd ona wie? - przemknęło mi przez głowę.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jaką krzywdę wyrządziłaś ojcu?!

- Nie jest moim ojcem! - warknęłam. - Wykreśliłam go!

- Milcz! - Mama zrobiła się prawie czerwona, co jej się nigdy nie zdarzało. -

Nie gadaj bzdur! Wiesz, gdzie pracuje ta kobieta?! W dziale kadr! Wyobrażasz sobie, jak ona może mu zaszkodzić?!

- Ty o niej wiesz?! - zdumiałam się.

- A tobie się wydaje, że jesteś najmądrzejsza?!

- Wiedziałaś i nic nie zrobiłaś?! - podniosłam głos.

- Nie mieszaj się do życia dorosłych! - krzyknęła mama. - W ogóle raz na zawsze przestań się wtrącać w nie swoje sprawy! Jeżeli ja nie reaguję na tę babę, to jakim prawem ty urządzasz awantury?!

- To obrzydliwe! Wstrętne! Patrzyłaś przez palce na to wszystko?!

- Uspokój się - powiedziała mama i nagle się opanowała. - Nie wszystko w życiu jest jednoznaczne i proste... Ona ojca szantażuje. Wie o nim coś... Trzyma go w garści...

- Powiedz, o co chodzi!

- Nie! - stanowczo odparła matka. - Może ci powiem, kiedy dorośniesz... Może...

- Co to znaczy „może”?! Mam prawo wiedzieć, co nabroił mój ojciec! Jestem dorosła!

- Tak ci się tylko zdaje - zamknęła dyskusję mama.

Wiedziałam, że jest uparta prawie tak samo jak ja i że więcej nic z niej nie wyciągnę. Pomyślałam też, że ojciec już nie powinien mnie obchodzić.

Na jakiś czas straciłam z oczu Chaczyka i Zitę. Byłam bardzo zajęta wieloma sprawami naraz. Włączyłam się znowu w codzienny obchód sklepów żelaznych i pod pozorem odrabiania lekcji odwiedzałam profesorskiego synka, by ustalić z nim podział zajęć. Rozszerzaliśmy wtedy nasz proceder na sieć sklepów spożywczych.

Było to zajęcie bardzo lukratywne, bo płacono nam artykułami spożywczymi, i znosiłam do naszej nory paczki makaronu, cukier i masło. Profesorski synek, nażarłszy się w domu, sprzedawał te produkty własnym rodzicom. Kupowali wszystko, zachwyceni jego troskliwością, bo im mówił, że dokonuje zakupów w ramach domowego podziału pracy. A może domyślali się prawdy, tylko tym razem przymknęli oczy? Nie wiem.

Kiedyś wróciłam do domu po „odrobieniu lekcji”, a ciocia Maro już siedziała obok mamy. Nie przywitałam się. Słowa „dziękuję”, „przepraszam” i wszystkie równie

bezsensowne bzdury nie przechodziły mi przez gardło. Postanowiłam raz na zawsze wyrzucić je z mojego słownika. Ciotka i mama nie zwracały na mnie uwagi.

Zachowywały się tak, jak gdyby mnie w ogóle nie było. Nawet nie zniżyły głosu, choć rozmawiały o mnie.

- Powiem ci szczerze, że nie bardzo wiem, jak mam postępować - mówiła matka. -
Jak mam reagować na jej wybryki?

Maro zastanawiała się dłużej chwilę.

- Myślę, że nie powinnaś w ogóle reagować...

- Ale ona staje się coraz bardziej agresywna!

- Miejmy nadzieję, że to jej przejdzie. Należy chyba przeczekać, aż przebrnie przez ośli wiek. Banalne objawy trudnego dojrzewania...

- Jej ojciec przypuszcza, że ona jest pod moim wpływem - pożałowała się matka.

- O, cholera! - wybuchnęłam. - Co on sobie wyobraża?! Że ja nie mam własnego rozumu?!

- Nie mówi się o ojcu „on”! Wypraszam sobie! - zirytowała się matka.

- Nie mam żadnego ojca! Skoro o nim nic nie wiem, nie jest moim ojcem! - krzyknęłam z pasją.

- Sama widzisz! - Matka zwróciła się do ciotki. - Ma nam za złe, że coś ukrywamy...

W oczach Maro dostrzegłam niepokój.

- Chce, żeby z nią rozmawiać poważnie, a zachowuje się jak nieznośny bachor!

- Jak chuliganka! - poprawiła ją matka. - Jeszcze nie wiesz wszystkiego!

- Czego?! - zawołała Maro. - Litości!

- Rzuciła książką w głowę nauczycielki niemieckiego!

Skąd ona o tym wie? - zaniepokoiłam się. Kto mógł na mnie donieść?

- Ta biedna nauczycielka przyszła do mnie... - ciągnęła matka.

- Stara wiedźma! - przerwałam jej, oburzona. - Zaczyna swoje lekcje od wyzwisk:

„idiotki, kretynki, niedorozwinięte debilki, leniwe analfabetki, głupie zakute łby!” - wyrecytowałam jednym tchem.

Ciotka i mama nie wytrzymały i wybuchnęły śmiechem.

- Coś w tym jest - powiedziała mama, patrząc na ciotkę. - Pomyśl, do czego można doprowadzić inteligentnego człowieka, osaczonego przez prostactwo! - Spojrzała na mnie z wyrzutem. - Zamiast napadać na Boga ducha winną osobę, skorzystałabyś z okazji i nauczyłabyś się niemieckiego! Nie wiesz, jaka ci się trafiła nauczycielka! Jest absolwentką Szkoły dla Szlachetnie Urodzonych Panien imienia świętej Niny! Zna niemiecki i francuski

nie gorzej niż gruziński! I gdyby nie rewolucja, to hołota z twojej klasy mogłaby najwyżej zamiatać u niej podwórko!

Przyszła do mnie, bo przyjaźniła się kiedyś z twoją babcią, i jest jej bardzo przykro, że wnuczka jej przyjaciółki wyrasta na chamkę i analfabetkę!

- Niepotrzebny nam niemiecki - odpowiedziałam hardo. - Wygraliśmy wojnę i teraz Niemcy będą się uczyć rosyjskiego!

- Kto wygrał wojnę?! - krzyknęła mama. - Ty?!

- Nie denerwuj się, Mariko - zaniepokoiła się ciotka Maro. - To wpływ szkoły!

Ona się dostała w nieodpowiednie towarzystwo! Ale ja w nią wierzę! Dojrzeje i zrozumie. Przecież to nasze dziecko! Nasza krew! Przejdzie jej...

- Może wolisz się uczyć francuskiego? - zapytała mama. - Przeniosę cię do innej klasy.

- Nie chcę się uczyć francuskiego! Ani żadnych innych języków! Nie planuję pracy w wywiadzie! I tak by mnie nie przyjęli!

- No to się nie ucz - jęknęła mama. - Zostań na drugi rok! Niech cię wyleją ze szkoły!

Wzruszyłam ramionami.

- Dlaczego mam zostać na drugi rok?

- Bo ci wlepią dwóję z niemieckiego!

- Niech tylko spróbują! - wycodziłam przez zęby.

- Posłuchaj! - Mama wstała. - Jeżeli postanowiłaś torować sobie drogę podłością, to zbiorę ostatnie siły, żeby cię roznieść na strzepy! Przestań nękać biedną, starą kobietę, której jedynym grzechem jest arystokratyczne pochodzenie! Musi znosić wasze towarzystwo, bo aresztowali całą jej rodzinę! Pozostał jej tylko jeden niewydarzony syn i trzęsie się o jego życie! Biedaczka boi się komukolwiek narazić! Dlatego nie chce stracić posady w twojej kretyńskiej szkole! Jeżeli ją wyrzucą, umrą z głodu! Gdyby twoja babcia żyła, spłonęłaby ze wstydu, patrząc na ciebie! Albo cię wychowam na człowieka, albo zamorduję własnymi rękami!

- Dobre wychowanie - to obłuda, konformizm i zakłamanie! - wyrecytowałam.

- Nie mam zamiaru wysłuchiwać impertynencji - powiedziała sucho ciotka Maro. -

Jeżeli nie przyjdiesz mnie przeprosić, moja noga więcej tu nie postanie! Uważam, że zostałam przyzwyczajona do wychowania, a jeżeli masz mnie za osobę zakłamaną i obłudną, to zrezygnuj z mojego towarzystwa!

Ucałowała mamę i wyszła. Zapadła cisza. Zabrałam się do lektury „Klubu Pickwicka”, ale każde zdanie czytałam po kilka razy i ciągle umykał mi jego sens.

Mama też udawała, że czyta. Nagle usłyszałam szybkie kroczki na balkonie. Do pokoju wpadł mój brat Nika i rzucił się obejmować mamę.

- Uduśisz mnie - zaśmiała się mama, oddając pocałunki i przyciskając go do siebie. - Chcesz zupy? Trochę jeszcze zostało.

Brat zawsze chciał jeść. Wstałam, odetchnąwszy z ulgą, i chciałam zapalić kerosinkę, prymitywną kuchenkę naftową, ale nie znalazłam ani jednej zapalki i pobiegłam do sąsiadki po ogień. Musiałam zawsze wracać jednym susem, żeby zdążyć, zanim mocno skręcona gazeta się wypali. Mama wstała, wyczyściła knoty i postawiła garnek z zupą na kerosince. Regulując płomień, powiedziała:

- Cioci Maro możesz nie przepraszać. Kiedy chorowałaś i trzeba cię było dobrze odżywiać, sprzedała wszystko, co miała. Po co ci ciotka, która nic nie ma?

Zastanawiałam się, co w tej sytuacji robić, ale nic rozsądnego nie przychodziło mi do głowy. Nie miałam dokąd pójść, nie mogłam drażnić osłabionej matki, nie mogłam wytrzymać w domu. Ojciec przywiózł brata na spotkanie z mamą, wróci po niego za godzinę i zaczeka w służbowym willysie, zamiast wejść do domu, bo wszyscy postanowili mnie unikać jak zarazy. Chętnie bym się powiesiła, ale brakowało zacisznego kąta, gdzie nikt by mnie nie zauważył. Brat opowiadał matce o nowej szkole i nowych kolegach. A ja siedziałam z nosem w książce, ale jej nie czytałam.

- Chodź tu - nagle odezwała się mama. - Usiądź z nami, bo przecież Nika zaraz pojedzie. Usiądź! - Wskazała mi miejsce i położyła rękę na moim ramieniu. - Nie chce ci się żyć, prawda?

Opuściłam oczy.

- Chciałabyś, żeby cię wyrzucili ze szkoły, wsadzili do więzienia i wysłali na Syberię? Gdybym nie znała matki, nie zauważyłabym lekkiej drwiny w jej głosie.

- I wszystko to na złość tacie? Zdechnąć, żeby on cię pożałował?

Chciałam krzyknąć, że mam go gdzieś, ale coś stanęło mi w gardle.

- A o mnie nie pomyślałaś? Co ja bez ciebie pocznę? - mówiła matka już bez cienia ironii. - Przecież nie mam nikogo prócz ciebie.

Jeszcze nie mogłam mówić, ale palcem wskazałam brata.

- Nikusza to jeszcze dziecko. On nic nie rozumie. Nie mogę z nim poważnie rozmawiać...

- Ja wszystko rozumiem! - odezwał się Nika ostrzegawczym tonem.

Zaśmiałyśmy się, a on patrzył na nas, obrażony. Przytuliłam się do matki i zrobiło mi się jakoś lżej na duszy.

- Kiedy mi wszystko opowiesz? - zapytałam cicho. Matka w zamyśleniu odgarniała mi włosy z czoła.

- Nie wiem... Może kiedy będę pewna, że uwolniłaś się od wszystkich złych wpływów...

Po obchodzie sklepów wstąpiłam do cioci Maro.

- Dzień dobry - mruknęłam.

Niech im będzie, pomyślałam. Jeżeli nie mogą sobie darować tych jałowych form...

Maro uśmiechnęła się radośnie, jakby czekała na moją wizytę. Postawiła przede mną talerz szpinaku w sosie orzechowym. Wiedziała, że go bardzo lubię. Nie siadałam, bo jednak wypadało najpierw coś powiedzieć. Staralam się na nią nie patrzeć.

- Wiesz, po co przyszłam? - zapytałam naburmuszona. Uśmiech nie schodził jej z twarzy.

- Domyślałam się. Ucieszyłam się.

- To mogę już nic nie mówić? Maro zdławiła chichot.

- Nie potrafisz z siebie nic wykrztusić? Zadanie ponad twoje siły? No cóż, żeby umieć się zachować, trzeba mieć klasę!...

- A jeżeli ja nie chcę sobie przyswajać przestarzałych konwencji?

- Jakoś wytrzymamy - westchnęła ciotka. - Będziemy musiały cię kochać, choć jesteś niewychowana.

- A nie możecie mnie kochać za to, że jestem właśnie taka? Maro potrząsnęła szopą siwych loków i poprawiła cienką metalową przepaskę, ściągającą włosy do tyłu.

- Wiesz, co by powiedział twój ojciec? „Nie wymagaj od nas za wiele. Nie każ nam kochać twojej głupoty!”

- No dobrze, niech wam będzie - skrzywiłam się. - Jeżeli nie możecie żyć bez staromodnych komunałów, to przepraszam! Przepraszam, że się wściekłam, bardzo przepraszam! O!

Rozłożyłam ręce i ukloniłam się, patrząc na nią ironicznie. Ale Maro nie przejęła się moimi kpinami.

- Sprawiałaś mi wielką przyjemność. - Teraz już cała rozplynęła się w uśmiechu. -

Jeżeli przełamiesz swój paskudny charakter i zaczniesz panować nad sobą, może wyrośniesz na przyzwoitą osobę.

- Ty mnie nie rozumiesz! Nie chcę być przyzwoitą osobą! Chcę być nieprzyzwoitą, bardzo nieprzyzwoitą osobą! - oświadczyłam i usiadłam na rozchwianym krześle.

- Ja też w twoim wieku lubiłam gorszyć dorosłych - przyznała się z uśmiechem Maro.

Pochyliła się i pocałowała mnie w czubek głowy. Zawsze całowała nas w czubek głowy albo w czoło. Nikomu nie pozwalała całować nas w policzki czy usta.

Uważała, że to niehigieniczne. Pewnie dlatego nie wyszła za mąż. Wszyscy młodzi ludzie, którzy jej się oświadczyli, usiłowali ją pocałować w usta. „Cóż to za nieprzyzwoitość!” - wołała, wznosząc oczy do nieba. „Ohyda!”

Babo

Maro mieszkała ze swoją macochą Barbarą, którą wszyscy nazywali Babo. Prawie nie pamiętała matki; umarła, gdy Maro miała cztery lata. Jej ojciec, profesor łaciny i greki na uniwersytecie, ożenił się ponownie z wiejską dziewczyną. Bóg nie dał im dzieci i macocha otoczyła Maro troskliwą opieką. Z tego, co obserwowałam mieszkując często u ciotki, panie były bardzo do siebie przywiązane. Obecności Babo należało zawdzięczać, że Maro nie sprzedała wszystkich mebli, żeby ratować nas od głodu. Uważała, że przynajmniej połowa należy do macochy, chociaż ta niczego dla siebie nie żądała. Z ciężkim zwojem bardzo gęstych, szpakowatych włosów nad karkiem, pomarszczoną twarzą o regularnych rysach i zapadniętymi oczyma, Babo jaśniała uduchowieniem. Małomówna i cicha, była jakby nieobecna.

Utrzymywała dom w idealnym porządku. Po śmierci męża codziennie chodziła do pobliskiej, chylącej się ku ruinie cerkwi modlić się za jego duszę i prosić Boga, by ich szybko połączył. Potem biegła do swojej młodszej siostry, lekarki, żeby jej pomagać w opiece nad samotnymi, chorymi ludźmi. Siostra Babo nie wyszła za mąż, poświęciła się medycynie, która okazała się jej powołaniem.

Pewnego dnia Maro przybiegła do nas o nietypowej porze i o mało nie przyłapała matki na paleniu papierosa. Żeby jej nie martwić, matka udawała, że zwalczyła nałóg. Maro, choć starsza, nie mogła znieść myśli, że przeżyje matkę. Zresztą niewiele ją przeżyła. Gdy już nie miała kim się opiekować, zgasła w pustym prawie pokoju, bo dawno wszystko sprzedała, żeby nas dokarmiać. W ostatnich latach życia ze wstydu nie wpuszczała do siebie nikogo. Nie miała nawet prześcieradła. Zwinęła się w kłębek na gołym materacu i serce jej pękło. Została po niej tylko złota harfa.

Gdy matka zobaczyła Maro na podwórku, zamachała rękami, by rozwiać dym, starannie zgasła papierosa, rozgniatając go o spód parapetu, i schowała pod spodek. Ciotka nie dałaby się pewno zwieść, wyczułaby dym, ale dziś przybiegła wyraźnie wystraszona. Okazało się, że jej macocha Babo obudziła się rano rozpromieniona.

- Śnił mi się twój ojciec - oznajmiła. - Przyszedł do mnie i powiedział, że znowu będziemy razem. Teraz mogę umierać.

- Tak ni stąd, ni zowąd?! - zdziwiła się Maro.

- Dlaczego ni stąd, ni zowąd? - obruszyła się Babo. - Przecież od lat codziennie się o to modłę!

- Czy ci coś dolega? Masz gorączkę? - dopytywała ciotka.

- Jestem zupełnie zdrowa - stwierdziła macocha. - Nigdy nie czułam się lepiej! -

Jej oczy błyszczały z radości. - Postanowiliśmy, że umrę dziś w nocy. Chcę, żebyś cieszyła się razem ze mną i pomogła mi się przygotować.

Ciotka nie zrozumiała. - Kto postanowił?!

- Twój ojciec i ja. Nie chcieliśmy cię zaskakiwać.

- Przestań mi opowiadać bzdury! Nie chcę tego słuchać! - krzyknęła Maro.

I przybiegła prosić moją mamę o radę.

- Zwolnij się na jeden dzień z filharmonii i posiedź przy macosze, żeby nie popełniła jakiegoś głupstwa! - poradziła mama.

Ale Babo ani myślała popełniać żadnych głupstw. Cały dzień prała, prasowała i sprzątała mieszkanie. Poprosiła ciotkę, by zadzwoniła do szpitala, gdzie pracowała jej siostra, i kazała jej wstąpić do nich w drodze do domu. Wieczorem bardzo starannie się wykapała, nawet zawołała ciotkę, żeby wyszorowała jej plecy.

Potem włożyła suknię, w której chciała być pochowana, pocałowała ciotkę, pożegnała się z nią, położyła się na świeżo zasłanej pościeli i splotła dłonie na piersi. Maro popatrzyła na jej wyprostowaną, uroczystą postać, leżącą na wznak we właściwej dla zmarłych pozycji i puknęła się w czoło: Nie mogła powstrzymać ironicznego uśmiešku. Babo zamknęła oczy. Na jej twarzy malował się pogodny spokój. Ponieważ oddychała miarowo, Maro uspokojona wyszła z pokoju. Uważała, że sen dobrze macosze zrobi.

Rano zastała ją w tej samej pozycji, uśmiechniętą i z zamkniętymi oczyma. Nie żyła.

Jej śmierć, choć cicha i pogodna, wstrząsnęła ciotką. Nie mogła sobie znaleźć miejsca. Biegała po mieszkaniu, nie wiedząc co robić, i poprosiła mamę, żeby pozwoliła mi u niej przez jakiś czas pomieszkać. Może właśnie mojej nieznośnej arogancji teraz potrzebowała? Mieszkałam tam przez parę miesięcy, ale gdy tylko mogłam, wróciłam do matki. Ze swoim chorym sercem też nie powinna być sama.

Urowadzenie

Brat nadal mieszkał u ojca i tylko noce z soboty na niedzielę spędzał z nami.

Tak długo judziłam i podburzałam mamę, aż ją przekonałam, że Nika powinien do nas wrócić. W tym celu postanowiłam braciszka wykraść. W tajemnicy przed ojcem udało mi się przenieść papiery Niki do szkoły w pobliżu naszego domu. Grono nauczycielskie nie marzyło

o jeszcze jednym leniu, zawsze gotowym do rozróbek, ale się uparłam i doskonaląc styl literacki, zalałam szkołę lawiną podań, dołączając zaświadczenia i załączniki, skąd się dało. W końcu skapitulowali.

Zawiesiłam działania do końca wakacji: Nie mogłam skazywać braciszka na spędzanie upalnego lata pod naszym śmierdzącym śmietnikiem. Tuż przed początkiem roku szkolnego pojechałam po niego któregoś przedpołudnia. Wiedziałam, że ojciec będzie zajęty ze studentami, odbywającymi praktykę w radiostacji. Wzięłam ze sobą rolkę taśmy filmowej. W tym czasie dzieci uprawiały namiętnie hazardową grę w kinokadry, czyli klisze.

Od przystanku kocimi łbami dochodziło się do cegielni pod urwiskiem. Tuż przy wejściu do głębokiego wąwozu była mała piekarnia, a za wąwozem, na horyzoncie wznosiły się słupy wysokiego napięcia, okalające radiostację. Tą drogą zawsze biegały znajome dzieci z gorącym pieczywem. Teraz spotkałam małego Arczyła, syna jednego z podwładnych ojca. Uśmiechnęłam się do niego i wyciągnęłam rolkę taśmy.

- Chcesz?

Arczyłowi zapaliły się oczy. Wskazałam mu dwa ogromne, chyba ponaddwumetrowej wysokości bębny po kablach, porzucone tuż przy ścieżce prowadzącej do radiostacji.

- Poczekam tutaj! - powiedziałam.

Dzieci często chowały się w tych bębnach. Wgramoliłam się na oś.

- Jeżeli uda ci się przyprowadzić Nike, ale tak, żeby nie wiedział, po co tu idzie, dostaniesz taśmę! Tylko pamiętaj, nic o mnie nie mów! To ma być niespodzianka. Zgoda?

Arczył pobiegł, aż się kurzyło. Niedługo zobaczyłam ich obu, zasapanych, biegnących w moim kierunku. Wskoczyłam z bębna i chwyciłam brata w objęcia.

- Chodź! - rozkazałam. - Muszę wejść do mieszkania tak, żeby mnie nikt nie widział!
Czy jest ojciec?

- Pojechał do meteo na naradę - zmartwił się Nika.

Myślał, że zależy mi na spotkaniu z ojcem. Nie wyprowadzałam go z błędu. Uznałam, że Opatrzność jest po mojej stronie.

Wręczyłam taśmę Arczyłowi i ruszyliśmy wzdłuż ogrodzenia z drutu kolczastego, oddalając się od wartowni. Często się tu bawiliśmy w zwiadowców, wyszukiwaliśmy coraz to nowe kryjówki, więc brat się nie zdziwił. Gdy doszliśmy do łąziejki, gdzie dolny drut nieco się obluzował, wpełzliśmy na teren radiostacji, prosto w zagon kukurydzy. Pod osłoną kukurydzy dotarliśmy na tyły domu. Nika wszedł od frontu i otworzył mi okno. Wskoczyłam do pokoju i szybko zaczęłam zbierać jego rzeczy do torby.

- Co robisz? - zdumiał się.

- Jedziemy do domu! Do mamy! - Pocałowałam go w czoło według recepty cioci Maro.

- Teraz znowu będziesz mieszkał z nami. Nie cieszysz się?

Nika miał bardzo strapioną minę.

- Nie... - przyznał szczerze.

- Nie chcesz mieszkać z mamą i ze mną?!

- Chcę... ale...

- Ale co?!

- Tata obiecał mi kupić pisklęta z inkubatora. - Po co ci pisklęta?!

- Będziemy je z tatą hodować...

- O Boże! - zdenerwowałam się. - On znowu kłamie! Nabiera cię! Nie kupi ci żadnych piskląt!

- Tata nigdy nie kłamie! - obraził się Nika.

- A krowę ci obiecał?! Brat milczał.

- Nie dostaniesz żadnych piskląt, jak nie dostałeś krowy! Równie dobrze może ci obiecać żyrafę!

Brat usiadł na łóżku i chwycił się kurczowo ramy pod materacem. W jego oczach pojawiły się łzy. Zniżyłam głos i starałam się mówić spokojnie:

- Czy ty jesteś większą babą? Co chcesz zrobić z tymi pisklętami?!

- Będziemy je karmić, a one wyrosną na duże kury! - ożywił się Nika. - I będą nam znosić mnóstwo jajek! A niektóre będziemy smażyli i gotowali... Starczy mięsa dla wszystkich!

- No tak! - westchnęłam bezradnie. - Nowy pomysł ojca! Dobrze! Niech je najpierw kupi. Zobaczymy, czy urosną! A kiedy będą jajka i mięso, wrócimy tutaj! Daję ci słowo!

Podniosłam dwa palce. Nika nie ruszał się z łóżka.

- Jesteś bardzo niedobry! - krzyknęłam. - Wolisz głupie kurczaki od własnej matki! Gdybyś mógł, pewno byś nas dawno usmażył i zjadł! Mamę i mnie! Ludożerca!

Z piersi brata wydobył się spazmatyczny szloch. Głośno płakał. Usiadłam obok i zaczęłam go pocieszać. Powoli się uspokajał.

- Dlaczego ty nie chcesz mieszkać tutaj? - Jeszcze usta mu drżały. - Niech mama przyjedzie do ojca! Tu jest dużo miejsca.

Zastanawiałam się, co mam mu powiedzieć.

- Widziałeś Galę? - zapytałam. - Te małą Galę?! To bardzo podła kobieta! Wiedźma!

Rozumiesz?!

Nika nie rozumiał.

- Jaka wiedźma? - zdziwił się. - Ona piele kukurydzę i podlewa ogórki...

Myślałam, że uduszę się ze złości! Rządzi się na naszej działce! Tylko tego brakowało!

- Wstawaj i chodź! - rozkazałam ostro. - Mama jest chora i nie może tu przyjechać! Potrzebujecie dobrego lekarza! A ty musisz pilnować chorej matki, a nie zadawać się z podłymi babami! Idziemy!

- Tata będzie zły, że wyszedłem - jęknął Nika. - Muszę się z nim pożegnać...

Odszukałam jakąś kartkę i umoczyłam pióro w atramencie.

- Siadaj! Pisz! „Poszedłem do mamy! Do widzenia. Nika”.

Nabazgrał koślawe litery i zaraz się uspokoił.

Wracaliśmy okrężną drogą. Wąskim i stromym wąwozem. Na jego dnie biegła Unia kolejowa. Skakaliśmy z podkładu na podkład. Tutaj nie groziło nam spotkanie z ojcem, gdyby wracał z tej swojej narady. Lubiłam naszą żelazną drogę w wąwozie.

Zawsze panowała tu cisza, bo chodzenie po torach było zakazane. Kiedy nadjeżdżał pociąg, wspinaliśmy się na strome zbocze i czepiając się krzaków, czekaliśmy, aż przejedzie. Potem staczaliśmy się w dół, podnosząc chmury kurzu.

Jeszcze tego samego dnia o zmroku przyjechał do nas ojciec. Postawiliśmy go przed faktem dokonanym. Nie umiał i nie chciał z nami walczyć. Uzyskał bez trudu obietnicę matki, że Nika będzie nocował u niego z soboty na niedzielę. Na to już nic nie mogłam poradzić. To był ostatni dotkliwy cios, jaki mogłam ojcu zadać.

Po mojej minie łatwo mógł zgadnąć, komu zawdzięcza to porwanie.

Teraz nie pozostało już nic poza lodowatą obojętnością. Odpowiadałam monosylabami, gdy z rzadka przychodził do mamy. Zabrakło mi wyobraźni, by wymyślić mu jakąś nową torturę.

Rozstanie

Kiedy mieszkałam u cioci Maro, a potem zajęłam się swoją wojną z ojcem, przegapiłam moment, gdy z podwórka zniknął Chaczyk. W wirze zajęć nie zdołałam sobie uświadomić, dlaczego go już nie widuję. Działalność sklepowa wydawała mi się o wiele zabawniejsza i mniej wyczerpująca niż skrobanie cudzych sufitów. A do tego koleżanki szkolne wyśmiewały moje czerwone łapy.

Pewnego dnia dobiegł mnie głos matki od strony podwórkowego kranu. Zdziwiłam się, że mówi po ormiańsku. Wyjrzałam i zobaczyłam młodą dziewczynę, płuczącą bieliznę.

- Nie wiedziałam, że znasz ormiański - powiedziałam do matki z podziwem.

- Bo go nie znałam - odparła. - Musiałam się nauczyć, ponieważ Karmena jest beznadziejnie leniwa i tak niemilosierdzie kaleczy i gruziński, i rosyjski, że mi uszy więdną.

- Mogę sobie wyobrazić, jak ty kaleczysz ten biedny ormiański - powiedziałam i zwróciłam się do sąsiadki, która właśnie wyszła na balkon: - Knarik, słyszałaś moją matkę? Mówi po ormiańsku!

Uśmiechnęła się.

- Słyszałam!

- Da się tego słuchać?

- Kiedy twoja mama mówi, to zawsze brzmi jak muzyka - zaśmiała się Knarik, wytrzepała prześcieradło i wróciła do mieszkania.

- Ormian też trzeba stąd wysiedlić! - wtrącił się Iwan Iwanowicz. - Nie są lepsi od Żydów!

Po raz któryś z rzędu próbował oderwać się od drzewa, rosnącego na środku podwórka, ale nie mógł złapać równowagi i znowu wziął pień w ramiona.

- Warto by wysiedlić z Gruzji wszystkich pijaków i awanturników - odparła mama.

- Żydów! - upierał się Iwan Iwanowicz i spojrzał na mnie. - Dlaczego twoja matka rozmawia po żydowsku? Co?!

- Po ormiańsku - skorygowałam.

- Jeden czort! - Machnął ręką. - Taka by się nauczyła nawet hebrajskiego! - powiedział i splunął.

- Dlaczego nie? - uśmiechnęła się mama. - Przeczytałam w oryginale Stary Testament i parę innych mądrych ksiąg.

Wtedy zobaczyłam, że Karmena skończyła płukać bieliznę i weszła do mieszkania Chaczyka. Ożenił się jednak! - pomyślałam z goryczą.

- Czy Chaczyk ożenił się z tą tępą Karmeną? - zapytałam mamę, gdy wróciła do pokoju.

- Chaczyk ożenił się z Zitą - odpowiedziała, nie patrząc w moją stronę. -

Wyjechali.

- Jak to, wyjechali?! Bez pożegnania?!

- Nie mieli czasu.

Mama włączyła radio. Popłynęła piosenka śpiewana kocimi głosikami chóru żeńskiego: „Sta...a...lin, Sta...a...lin...???...?? DunL.???...??... DunL.”

Mama wsłuchiwała się w melodię, chociaż zwykle na dźwięk słowa „Stalin” wyłączała skrzynkę.

- A gdzie wyjechali? - zapytałam.
- Skąd ja mogę wiedzieć?!
- Nie pytałaś matki Zity?
- Wyjechali cała rodziną!
- Dziwne... - mruknęłam. - Bardzo dziwne! Nawet nie przysłali żadnego listu.
- Sama się dziwię - powiedziała mama.

Myślałam, że wyjechali na świeżo „odzyskane” ziemie zachodnie. Wielu ludziom proponowano mieszkanie i pracę w Królewcu, w krajach nadbałtyckich i w zachodniej Białorusi. Moja nauczycielka rosyjskiego, która dotąd gnieździła się kątem u obcych, płacąc im pół pensji, wyjechała do Rygi, gdzie zupełnie za darmo dostała wspaniałe mieszkanie. Mamy z Gruzji nikt nie wyciągnąłby nawet obcęgami, więc woda z rury sąsiadów dalej miała nam kapać na głowę.

Dopiero kilka lat później, kiedy broniłam Stalina, twierdząc, że słusznie wysiedlił na Syberię całe narody: Tatarów, Czeczeńców i Inguszków, bo przecież witali Niemców chlebem i solą, mama zadała mi pytanie:

- A Asyryjczycy i Ajsorzy? Co zawinili mu ci’ ludzie? Przecież siedzieli cicho w Tbilisi i nikogo niczym nie witali! Może po prostu zaczął od litery „A”, a gdyby doszedł do „G”, to wysiedlono by z Gruzji resztę Gruzinów, żeby ucieszyć Iwana Iwanowicza.

- Mamo, jacy Asyryjczycy?! Czy ci, których pokonali Babilończycy? Przecież oni nie istnieją od wieków!

- Zita utrzymuje, że są ostatnimi odpryskami starożytnego rodu z nie istniejącej już Asyrii. Podobno ich dalecy przodkowie uciekli do Gruzji w piątym wieku przed Chrystusem.

- Ach! - Machnęłam ręką. - Zita zawsze była nieuleczalną romantyczką! To czysta fantazja!

- Może - odparła mama sucho. - Niemniej jednak wysiedlono ich razem z Ajsorami.

- Znasz rodzinę Józka z podwórka ciotki Niny? - przypomniałam matce. - Czy oni nie są Ajsorami?

- Owszem, są - potwierdziła.

- Widziałam ich przedwczoraj! I nigdzie się nie wybierają! - oznajmiłam triumfalnie. - Gdyby wysiedlono Ajsorów, tak jak kiedyś Niemców, wszyscy by o tym mówili i na pewno bym coś usłyszała. A może Zita jest zwykłą Tatarką?

- Czy to wystarczający powód, żeby kogoś wysiedlić?! - zdenerwowała się mama. - Mieszkali tu od początku i nie mieli okazji przyjmować faszystów chlebem i solą! Spojrzałam na matkę bezradnie.

- Za co ich mogli aresztować?

- Za nic - westchnęła mama. - Tak jak większość naszych znajomych i krewnych...

Prawdopodobnie jakimś czekiście potrzebny był ich pokoik. A ten biedny Chaczyk pojechał razem z nimi. „Dobry malarz pokojowy potrzebny jest wszędzie. Pomogę wam jakoś przeżyć” - powiedział Zicie i ożenił się z nią w ostatniej chwili.

Zita i Aszur... Ze swoją gruźlicą na pewno długo nie pociągnęli. A ich zabiedzona, wygłodzona matka, która podsuwała swoje porcje Aszurowi?! Mogła przeżyć Rebeka... ale ona do nas nie napisze...

A Chaczyk?... Nigdy go już nie zobaczyłam.

Dobrze, że jest nas mało

Podobno wszelkie wspomnienia są złudne. Dziwi mnie, że obrazy wypływające z mojej pamięci z biegiem lat nabierają ostrości i kolorów. Ale im wyraźniejsze są dla mnie, tym mniej wydają się prawdopodobne ludziom, którym je opowiadam. Są fragmentaryczne i nie układają się w harmonijną całość. Czasami sama sobie przestaję wierzyć... Przeżyliśmy coś, o czym lepiej zapomnieć, a jednak... chyba muszę zrzucić ten balast i niech będzie, co ma być.

Jeden z takich obrazów nawiedza mnie rzadko, w chwilach szczególnych i w dużych odstępach czasu. Ogarnia mnie wtedy jakiś zwierzęcy niepokój. Usiłowałam uchwycić coś, co mogło mnie przerazić we wczesnym dzieciństwie, i nic nie potrafiłam znaleźć...

Sam obrazek sielankowy, jasny w świetle gorącego poranka, wśród szpalerów kwitnących akacji i malowniczych domków przy wąskiej ulicy, stromo opadającej w dół. Co tu może przejmować grozą?

Oto drobna, starsza kobieta w czarnej, wypłowiałej sukni z taniej satyny pojawia się u szczytu naszej ulicy i z opuszczonymi powiekami schodzi w dół, w stronę śródmieścia. Jest w niej tyle dramatyzmu, tyle skruchy i pokory, że nie sposób oderwać od niej oczu. Widzę również dwóch krótko ostrzyżonych olbrzymów, kroczących za nią w pewnej odległości. Nie wiem, o kogo się boję: o tajemniczą staruszkę czy o siebie? Postacie tych wielkoludów o zarośniętych, niskich czołach elektryzują całą naszą ulicę. Czuję napięcie w powietrzu, jak przed burzą. Ich oczy, niby to nieruchome, wydają się patrzeć we wszystkich kierunkach naraz. Jednocześnie wiem, czuję całą swoją gęsią skórka, że źródłem napięcia, jego naładowanym jądrem, jest starucha. To z niej czerpią energię ci dwaj, napełniając wszystkich dokoła mistycznym lękiem. Cała scenka trwa krótko, zaraz pochwyci mnie matka, wciągnie do mieszkania, zamknie drzwi i okna.

Czy to zdarzyło się raz, czy kilka razy? Dlaczego stara kobieta, w czarnej płóciennych chustce na siwych kosmykach, spod której wystaje biały pasek w czarne kropki, mocno opasujący czoło, raz podpira się kijem, a innym razem dźwiga wiklinowy koszyk? Niekiedy spod sięgającej kostek spódnicy widać spuchnięte bosa stopy, pokryte ropiejącymi ranami, niekiedy zaś stopy są małe, białe i gładkie. Czasami strażnicy staruszki mają na sobie luźne płaszcze, a czasami - czarne kurtki.

Ale za każdym razem, niezmiennie, widzę tych troje kroczących w dół, w stronę głównej ulicy, czuję atmosferę niepokoju i grozy i dostrzegam szybko znikających w bramach ludzi. Bezdźwięcznie zamykają się okna i głowy chowają się za firankami. Ożywiona dotąd, południowa ulica, pełna bawiących się dzieci i plotkujących kumoszek, jak to zwykle w niedzielę (mam skądś pewność, że ten epizod powtarzał się w niedzielę), zamienia się nagle w dekorację wymarłego miasta, przez które sunie bezszelestnie bosonoga ni to wiedźma, ni to święta, i dwóch strażników.

Usiłowałam przypomnieć to wydarzenie matce. Wysłuchiwała mnie bardzo uważnie, co się rzadko zdarzało. Po chwili namysłu rzuciła tylko: „Śniło ci się”. Nalegałam, bo przecież byłam pewna swojej pamięci, ale matka uciniała rozmowę.

- Zmyślasz! Jesteś jak twój ojciec! On też całe życie fantazjował! Pewnego razu wybuchnęłam:

- Dla ojca prawda była zbyt nudna!

Dyskusje z matką nigdy niczego nie wyjaśniały. Twardniała jak głaz.

Z biegiem lat ten obraz zniknął, wyparty przez inne, ważniejsze wydarzenia, żeby nagle wypłynąć dużo, dużo później...

Kiedyś, za czasów miłościwie nam panującego Leonida Breżniewa, zdarzyło mi się uczestniczyć w gruzińskiej uczcie. Wino lało się strumieniami, a że przy stole siedzieli sami bliscy sobie ludzie, mówiło się bez obawy o wszystkim. Toasty gruzińskie bywają kwieciste, długie i zawile, ale tego wieczoru trafił się dowcipny tamada, czyli najstarszy przy stole, który ustala kolejność toastów. W miłym towarzystwie czas płynął wartko, aż nagle o mało nie doszło do bójki. Gdy wszyscy już sobie podchmielili, ktoś wygłosił niespodziewany toast... Najpierw zapytał, czy wiemy, co to jest jeden Francuz? Nie wiedzieliśmy.

- Jeden Francuz - powiedział - to kochanek!

Nie wiedzieliśmy również, czym są dwaj Francuzi, więc wytłumaczył, że dwóch Francuzów - to pojedynek.

- Trzech Francuzów, to rewolucja burżuazyjna - mówił, już nie stawiając pytań. -

Jeden Rosjanin, to pijak, dwóch Rosjan, to draka, trzech Rosjan, to podstawowa organizacja partyjna. A co to jest jeden Żyd? Skleplik. Dwóch Żydów - to międzynarodowy turniej szachowy, a trzech Żydów - to orkiestra symfoniczna.

Wszyscy zgodnie się śmiali, dopóki wznoszący toast nie wszedł na swoje podwórko.

- Jeden Gruzin, to wódz! - zaczął, mając oczywiście na myśli Stalina. - Dwóch Gruzinów, to rząd! - Chodziło o Stalina i Berię. - A trzech Gruzinów?...

Tu zrobił pauzę, podniósł oczy do góry, przeżegnał się zamasyście i powiedział, dusząc się ze śmiechu:

- Chwała Bogu, trzech nigdy nie było! A więc wypijmy za to, że jest nas tak mało!

Jeden z biesiadników, człowiek pogodny i świątły, nagle wybuchnął:

- Nasze największe klęski wynikają z tego, że jest nas mało! Nie wolno kpić z nieszczęść narodu! Wypraszam sobie takie żarty! Potężni sąsiedzi mogą nas gnębić i niszczyć naszą kulturę, bo są nas tylko cztery miliony!

Na nic się zdały tłumaczenia, że żartować można ze wszystkiego. Że największą duchową niewolę w totalitaryzmie rodzi autocenzura. Że dotąd, mimo wszystkich prześladowań, pozostaliśmy psychicznie zdrowi, bo między sobą nie mieliśmy tematów, z których nie moglibyśmy się śmiać.

- Właśnie! Między sobą! - wrzasnął tamten. Tego wieczoru miałam ochotę zachować się z godnością, jak przystoi dumnej Gruzince, i nie mieszać się do pijackich dysput mężczyzn.

Pomyślałam, że w samej tylko Moskwie jest prawie trzy razy więcej mieszkańców niż w całej Gruzji, ale czy Rosjanie mogą sobie pozwolić na luksus wyśmiewania wszystkiego, co ich otacza? Studiowałam w stolicy ZSRR od paru lat i mało znałam kręgów, w których mogłabym całkiem szczerze rozmawiać i szczerze się śmiać. W każdym razie znacznie mniej niż w Gruzji.

Przyszło mi do głowy, że my, Gruzini, jesteśmy jak mysz, która porodziła górę, czyli dwóch największych zbrodniarzy dwudziestego wieku. Jeżeli liczyć ciężar zbrodni liczbą trupów, to z pewnością pobiliśmy wszystkie rekordy. A teraz spotyka nas czarna niesprawiedliwość, bo w światowych publikacjach i w sztuce prym wiodą Hitler, Himmler i Goebbels. Wykreowano ich na symbole zbrodni i kłamstwa, choć wcale im się to nie należy! Prekursorami w tej dziedzinie są Stalin i Beria. Może mi ktoś powiedzieć, że pierwszy był Lenin, ale Lenin nie był Gruzinem, więc niech się nim zajmą jego rodacy. Ja się ograniczę do Gruzji i nie mam zamiaru ogarniać spojrzeniem całego Związku Radzieckiego. A jeżeli zachodzą pewne podobieństwa, to nie moja wina.

U nas fałszowano wszystko: historię, teraźniejszość, sprawozdawczość, prasę i statystykę. A nawet zmuszano do fałszowania naszych prywatnych wypowiedzi. Nie na darmo właśnie w Tbilisi powstał toast, który w dwadzieścia lat później usłyszałam jako kawał w Polsce. Zaczyna się on cytatem z Majakowskiego: „Mówimy - Lenin, a w domyśle - partia, Mówimy - partia, a w domyśle - Lenin”. A potem tamada zadaje niewinne pytanie: „Dlaczego my zawsze mówimy nie to, co myślimy?”

Nasz naród, jak każdy mały naród, ma wielkie ambicje. Powinno się nam oddać to, co nasze. Domagam się sprawiedliwości, ponieważ życie bliskich mi ludzi i moje własne zostało zdeterminowane przez tych dwóch rodaków: Stalina i Berię. Ich cień pada na mnie i na moich rodziców, już od mojego urodzenia, a nawet wcześniej.

Zacznę od tego, że to Stalin i Beria wypchnęli mnie z Gruzji. Wyszłam za mąż za Polaka i od przeszło trzydziestu lat mieszkam w Polsce. A dlaczego właśnie w Polsce? Bo na komódce ciotki Niny stała fotografia bardzo przystojnego blondyna. Blondyni w Gruzji są rzadkością. Gdy zaczęłam dojrzywać i spoglądać na chłopców, dostrzegłam to zdjęcie i zapytałam ciotkę, kogo przedstawia.

- To Alik, mój brat. Dumny Polak! - odpowiedziała.

W ten sposób dowiedziałam się, że przyrodnia siostra mojej mamy miała dwóch braci, o których dotąd nigdy nie słyszałam. Ciotkę Ninę łączył z moją mamą wspólny ojciec, natomiast jej matka wyszła powtórnie za mąż za Polaka o nazwisku Żukowski i urodziła mu dwóch synów. Alik, jeden z nich, patrzył na mnie z fotografii i bardzo mnie intrygował.

- Gdzie on jest, ten Alik? - zapytałam, przeczuwając odpowiedź.

- Wzięli go oczywiście - odpowiedziała ciotka i dodała: - Wszystkich wzięli oprócz mnie...

Jeszcze jeden przestępca w rodzinie? Kонтrewolucjonista? Morderca? - pomyślałam z goryczą. Co oni takiego knuli?! Dlaczego musiałam się urodzić wśród tych podejrzanych ludzi?

Ale z fotografii patrzyły na mnie duże, jasne oczy o zaczepnym wyrazie i pierwszy raz w życiu zaczęto mnie dręczyć zwątpienie: Przecież ten człowiek nie mógł być przestępcą!

Ciotka czytała w moich myślach.

- Alik był początkującym architektem, a jako pracę dyplomową zaprojektował gmach teatru, cały ze szkła, o lekkim, metalowym szkieletcie. Teatr się spodobał i zamówiono u niego projekt wiszącego mostu. Też miał być nowoczesny i jak na owe czasy nowatorski, o lekkiej sylwetce. Kiedy most zbudowano, przyszli po Alika.

Oskarżono go o kosmopolityzm i uleganie wpływom zachodnim. To prawda, że w czasie studiów miał dostęp do specjalistycznych publikacji zagranicznych i znał najnowsze kierunki w architekturze - mówiła ciotka. - Wtedy jeszcze nie wiedział, że popełnia ciężkie przestępstwo.

Wróciłam do domu, zakochana w chłopcu z fotografii. Gdyby Alike nie aresztowano, hodowałby prawdopodobnie na gruzińskich winach pęczniejący brzusek, a jego fotografia nie zdobiłaby komódki ciotki Niny. I wszystko by się potoczyło inaczej. Ale teraz oznajmiłam matce:

- Kiedy dorosnę, wyjdę za mąż za dumnego Polaka!

- Ucz się, ucz, ty małpo - uśmiechnęła się mama. - Który dumny Polak zechce coś takiego?

W ten sposób matka przesądziła sprawę: Musiałam wyjść za Polaka. Zakodowana przez ciotkę Ninę, zakochałam się w pierwszym dumnym Polaku, jakiego spotkałam.

Co prawda, uwielbiani przez nią bracia tylko w połowie byli Polakami, ale czciła pamięć ojczyzna Żukowskiego. Może nawet bardziej niż pamięć własnej matki.

Błyszczały jej oczy, gdy opowiadała, jaki był mądry, dobry i sprawiedliwy. Gdy czasami zapraszała nas na obiad, stawaliśmy się ofiarami jej wielkiej, abstrakcyjnej miłości do Polski. Nie uznawała żadnej innej kuchni. Niestety, znakomity kucharz pana Żukowskiego, też Polak, dawno nie żył, a o mojej ciotce można powiedzieć wiele dobrego, ale gotować nie umiała.

- Ci zadziwiający Polacy - mamrotała z ledwie dostrzegalnym uśmiechem moja mama.

- Czy to możliwe, żeby jadali coś tak niejadalnego?

Ciocia uśmiechała się żałośnie.

- No cóż, nie jestem kucharzem Stanisławem... ale chcę sobie przypomnieć stare, dobre czasy... Tak bym chciała znowu usłyszeć Żukowskiego, jak odmawia modlitwę przed obiadem i dopiero potem ruchem głowy pozwala nam usiąść... Ech, gdzie ty teraz zobaczysz człowieka, który by do obiadu wkładał czystą, białą koszulę?!

- Codziennie?! - zapytałam z niedowierzaniem.

- Oczywiście! - zawołała ciotka. - I lokaj w nieskazitelnie białych rękawiczkach zawsze stał za jego plecami.

Wydało mi się to śmieszne. Mało kto z naszego podwórka miał dwie koszule na zmianę.

- Ile on miał tych koszul?! - zawołałam.

- Biedne wy, biedne dzieci - westchnęła mama. - Kto by tam liczył koszule! Każdy przyzwoity człowiek zmieniał koszulę przed obiadem... nie mówiąc już o tym, że obiad jadło się codziennie o tej samej porze!

Zrobiło mi się wstyd: Przed rewolucją uprawiali obzarstwo i jeszcze się tym chełpią!

- Czy wam ten obiad nie stawał kością w gardle, kiedy biedni, wyzyskiwani ludzie chodzili głodni?

- Głodni? - zdziwiła się mama. - W Gruzji nikt by nie głodował, gdyby nas nie ograbiano, a poza tym nikt u nas nikogo nie wyzyskiwał! Ty nawet nie potrafisz sobie wyśnić takiego życia, jakie mieli nasi ciecie i lokaje! - Mama nagle przerwała i uśmiechnęła się do ciotki.

- Obiad staje mi w gardle teraz, bo szkoda zmarnowanej żywności.

- Mariko, litości! - zawołała Nina błagalnie.

Mimo wątpliwych zalet jej polskiej kuchni w duszę mą zapadło ziarenko miłości do Polski i gdzieś potajemnie kiełkowało. Wystarczyło spotkać Polaka, co nastąpiło w kilka lat później.

Zawsze wpadałam w złość, gdy lamentowano przy mnie o którymś z krewnych, że był taki utalentowany, taki uczciwy, taki dowcipny i go wzięli. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że można aresztować niewinnych ludzi. Nabrałam pewności, że tają przede mną prawdę. Dorośli rozmawiali ciągle szeptem, pewni, że śpię, albo wyrzucali mnie na podwórko. Im bardziej byli tajemniczy, tym goręcej pragnęłam poznać prawdę. Zadawałam masę pytań, co wyostrzało ich czujność.

- Gdzie jest ojciec Etty? Etta była moją kuzynką. - Wzięli...

Albo:

- Kim jest ten pan na fotografii obok mamy?

- Wujek.

- Jego też wzięli?

- Nie zadawaj tylu pytań!

- Za co go wzięli?

- Za nic.

- Za nic nie mogą aresztować! - odpowiedziałam kiedyś matce tak stanowczo, że na chwilę oderwała się od książki i spojrzała na mnie. - Pewnie byli szkodnikami społecznymi i dywersantami! Ciągle o takich mówią w radiu! Nasza drużynowa opowiadała na zebraniu, że zbrodniarze udawali lojalnych obywateli, a po kryjomu wysadzali tory kolejowe i truli dzieci!

- Twoja drużynowa to idiotka! - zachnęła się mama.

No oczywiście, pomyślałam. Mama nigdy nie zdobędzie się na obiektywizm! Co innego ciotka Nina: ta wszystkich rozstawiała po kątach. Może dlatego wsłuchiwałam się w każde jej słowo. Ona pierwsza zachwiała moją wiarę w ustrój radziecki. Niestety, nie myślała wdawać się ze mną w zasadnicze dyskusje.

- Pamiętaj, że jestem zwolenniczką króla Heroda i nie cierpię dzieci! - uciwała rozmowę. - Porozmawiamy, kiedy dorośniesz.

Odkąd pamiętam, stan ducha moich rodziców oscylował między lekkim poddenerwowaniem a histerią. Czasem przechodził w euforię. Wtedy zapraszali przyjaciół i tańczyli do białego rana, zapominając o moim istnieniu.

W nocy przeważnie czuwali, czekając, że przyjdą po ojca, a przekonani, że śpię, rozmawiali o sprawach zupełnie nie przeznaczonych dla uszu dziecka. Staralam się oddychać miarowo i udawać, że głęboko śpię.

Wtedy już wyrzucono nas do jednego pokoiku, a raczej nory bez żadnych wygód.

Mogłam więc do woli podsłuchiwać rozmowy rodziców z przyjaciółmi i krewnymi.

Dość wcześnie zrozumiałam, że spółdzili mnie zupełnie niepotrzebnie, może nawet wbrew swojej woli: zawadzałam im na każdym kroku. Przypuszczam, że wszystkiemu zawinił brak środków antykoncepcyjnych i urządzeń sanitarnych, oraz całkowity zakaz skrobanek w tamtych latach. No i oczywiście trochę lekkomyślności.

Ponieważ mózg człowieka zdolny jest do usuwania z pamięci wszystkiego, o czym nie chce się pamiętać, często zapominali o moim istnieniu, jak się zapomina o popełnionym błędzie. Zbyt młodzi, rzućni w wir kataklizmów dziejowych, nie mogli sobie pozwolić na dziecko. Stałam się ich chodzącym wyrzutem sumienia.

Odwdzięczałam się nieznośnym zachowaniem: Gryzłam gości, gdy próbowali mnie głaskać, w przedszkolu drapałam i biłam dzieci, a co najgorsze - nieustannie zadawałam rodzicom pytania, na które nie mogli odpowiedzieć. Czasami się mnie bali. Małe dziecko stawało się dużym zagrożeniem. Zbyt mała, żeby rozumieć, o czym mówią, mogłam wypaplać coś, za co groziło zesłanie. A później, kiedy poszłam do szkoły, mogłam przecież ulec wpływom obowiązkowej lektury, propagującej donosy na rodziców.

Poszłam do szkoły w dosłownym tego słowa znaczeniu: Nikt mnie tam nie zapisywał.

W pierwszych dniach września (niedługo miałam ukończyć sześć lat) spostrzegłam, że nasze podwórko opustoszało. Wszyscy towarzysze zabaw zrobili się strasznie ważni, bo chodzili do szkoły i odrabiali lekcje. Nie mogłam być gorsza! Wpadłam na dobry pomysł: Zabrałam się z córeczką sąsiadki, którą zapisano do I C.

Usiadłam w ławce obok niej i przez pewien czas świetnie się bawiłam. W każdej klasie upchano po czterdzieścioro dzieci i nauczycielka nie doliczyła się, że ma o jedną uczennicę za dużo. Gdybym tylko umiała się grzecznie zachowywać!

Niestety, nigdy tego nie umiałam. W końcu mnie zdemaskowano, więc przeniosłam się do IB.

WIA historia również się powtórzyła. Zaczęli mnie poznawać wszyscy nauczyciele i wybuchł skandal. Zaraz posłali po moich rodziców.

Mama od razu się zorientowała, że na ochotnika biegam do szkoły, ale nie widziała w tym nic złego. Przeciwnie, przez parę godzin dziennie miała święty spokój. Kiedy postanowiono mnie definitywnie wyrzucić, bo do pierwszej klasy przyjmowano dopiero ośmiolatków, uruchomiła swoje liczne znajomości i mimo protestu nauczycieli przyjęto mnie do I D, klasy-śmietnika, w której byli najgorsi uczniowie.

Majtki Lamary

Podsluchiwane rozmowy nadal mnie fascynowały. A było czego słuchać! Najbardziej wstrząsnęło mną niezrozumiałe opowiadanie o panu Czki i o damskich majteczkach.

Nie potrafię powiedzieć, w którym to się działo roku, ale wiem, że ojciec i matka rozmawiali wtedy przez całą noc. Kładli się dopiero nad ranem. Pamiętam, że zawsze stała w pokoju mała, sfatygowana walizeczka ojca z ręcznikiem, szczoteczka do zębów i zmianą bielizny. Ta naiwność rodziców! Gdzie on miał się tam myć? W jakiej toalecie?!

W dzień coraz to ktoś przybiegał i zawiadamiał, kogo wzięli w nocy, albo opowiadał nowy kawał, za który też mogli wziąć.

I zawsze były jakieś świeże wiadomości o panu Czki. Ale nikt nie chciał mi powiedzieć, kto to taki. Gdy zapytałam mamę, zbladła.

- Milcz! - krzyknęła. - Nigdy tego nie powtarzaj! Chcesz naszej zguby? Chcesz zostać sierotą?!

Nie chciałam.

- Daj mi słowo, przysięgnij na moje życie... Nie!... Na życie ojca! - Matka była przekonana, że ojca kocham bardziej. - Przysięgnij, że nie piśniesz ani słowa!

Co miałam robić? Przysięgłam.

- Wszystko ci wytłumaczę później! Kiedy nadejdzie czas! - obiecała mama, potrząsając mną tak, że mi o mało nie urwała głowy. - Zrozumiałas? - Nagle rozplakała się, przyciągnęła mnie do siebie i obsypała pocałunkami. - Biedne ty moje dziecko! Nie lubisz mnie, prawda?!

Stopniałam. Przytuliłam się do niej.

- Kocham cię! Jesteś taka piękna! - zawołałam.

- Więc nikomu nic nie mów, dobrze? Zapomnij o tym, co słyszałaś!...

Dobra rada: zapomnij! Jak mogłam zapomnieć, że pan Czki, zobaczywszy film z naszą gwiazdą, zjawiskową piękną gruzińską i naszą powinowatą - nazwijmy ją Lamara - gorąco ją sobie upodobał. Zawiadomiona dyskretnie, że o określonej porze przyjedzie po nią samochód, wpadła w panikę. Najbardziej w tym opowiadaniu przejmował mnie jej strach. Bała się do obłędu, a ja razem z nią. Nogi lodowaciały mi w łóżku, takim lękiem napawał ten tajemniczy i niepojęty pan Czki.

Lamara z rodziną mieszkała u szwagierki i tej szwagierce zwierzyła się ze wszystkiego.

- Co mam robić? Odmówić? Zabić się?!

Szwagierka, przerażona nie mniej od niej, prosiła ją prawie na kolanach, żeby nie sprzeciwiała się panu Czki, bo inaczej on zniszczy całą rodzinę!

- Zniszczy i ciebie, i dzieci, i wszystkich krewnych! - wołała.

Cóż za przerażający potwór, myślałam. Zupełnie jak w bajce o strasznym Barmaleju: „Barmalej, Barmalej, Zjada dzieci, że aż hej!”

Odtąd Lamara posłusznie wsiadała do czarnego samochodu, ilekroć pan Czki tego zażądał. Nurtowały mnie pytania: Jak to się dzieje, że jedzie do pana Czki i wraca cała i zdrowa? Dlaczego on jej nie pożarł? Dlaczego szwagierka przysięgała, że zachowa całą sprawę w tajemnicy przed mężem Lamary, skoro ta bohatersko złożyła siebie potworowi w ofierze dla ratowania rodziny?

Pewnego wieczoru, gdy wróciła roztrzęsiona i starała się przyjść do siebie, popijając herbatę, usłużnie podaną przez szwagierkę, znowu podjechała pod dom czarna limuzyna. Lamara zbiegła z przerażenia. Ale pan Czki jej nie wzywał. Do mieszkania wszedł kierowca i w milczeniu położył na stole małą paczuszkę, przewiazaną kolorową tasiemką. Otworzyła ją drżącymi rękami i znalazła... swoje majtki! Zapomniała ich u pana Czki, uciekając w popłochu.

Łamałam sobie głowę, co do tego wszystkiego miały majtki?! Wiedziałam, że rozmowa z matką nic nie da, ale nie mogłam wytrzymać. Rozgorączkowana ze strachu i z ciekawości, rzuciłam się na ojca, gdy tylko zawitał do domu, i podzieliłam się z nim swoimi wątpliwościami. Ojciec spojrzał na matkę. Po twarzy matki przeleciał cień drwiącego uśmiechu. Teraz ona patrzyła na ojca pytająco. Bo przecież ojciec znał odpowiedzi na wszystkie pytania...

- No cóż... - Rozłożył ręce. - Chcesz, żeby pieczono ludzi w bieliźnie? Jak kartofle w mundurkach?...

- On wcale jej nie upiekł! - zawołałam. - Wróciła do domu!

- Tak... - zgodził się ojciec. - Na tym polegają tortury... Żeby człowiek nigdy nie wiedział, kiedy go upieką, i żeby zawsze się bał!

Widziałam, że jest bardzo zdenerwowany, bo zaczął biegać dokoła stołu, jak lew w klatce. Takie chodzenie często poprzedzało nerwowy atak ojca.

- Ale nic się nie martw - dodał. - Może któregoś dnia ją pożre!

- Co ty wygadujesz!?! - jęknęła matka.

Patrzyła na ojca z rosnącym niepokojem. Ojciec bezradnie rozłożył ręce. Jego odpowiedź mnie nie zadowoliła.

- Dlaczego mu wolno zjadać ludzi?! - krzyczałam. - Dlaczego go nie złapie milicja?! Ja się nie zgadzam! Czy on może wezwać naszą mamę, a ona pójdzie, żeby ją zjadł?!

Nagle ojciec zatrzymał się, jakby natrafił na niewidzialną ścianę.

- Uspokój się! - powiedział ostro. - Umówmy się, że to bajka! A w bajkach wolno wszystko! Te głupie baby opowiadają sobie, Bóg wie co! A takie bajki nie nadają się dla dziecięcych uszu!

Zły, odwrócił się do mamy.

- Twoje dziecko wszędzie wsadza swój nos! - oburzyła się mama. - Najchętniej bym ją sama upiekła i miałabym spokój na resztę życia! Po co ja ją urodziłam?!

Wybiegłam na ulicę, zrozpaczona i wściekła. Niech ja wpadnę w ręce łowców dzieci, którzy je przerabiają na mydło! Niech mnie pożre pan Czki!

Na rogu ulicy dopadł mnie ojciec.

- Gdzie ty biegiesz, głupia? Chcesz się zgubić?

- Chcę! - wrzasnęłam. - Nie potrzebuję takich rodziców! Jestem brzydka! Jestem niemożliwa! Nie kochacie mnie! Weźcie sobie inne dziecko!

Ojciec wziął mnie na ręce.

- Owszem - zgodził się - jesteś niemożliwa, ale mimo to cię kochamy! Proponuję ci układ: zrobimy próbę! Postaraj się z nami wytrzymać jeszcze pół roku, a potem zdecydujemy, czy mamy żyć razem... Bardzo cię proszę!...

I pogłaskał mnie po głowie. Nie umiałam mu niczego odmówić.

Jak dowiedziałam się później, gdy już byłam dorosła, szwagierka nigdy nikomu nie powiedziała o wizytach Lamary u pana Czki. I nikt by niczego nie wiedział, gdyby nie sama Lamara. Może nie wytrzymała napięcia, a może nad strachem przed hańbą wzięło górę jej

poczucie humoru? Dość, że zwierzyła się ze wszystkiego dwóm najbliższym przyjaciółkom. Pośmiały się razem z nią. W parę dni później zaśmiewało się całe miasto. Nie jestem pewna, czy było się z czego śmiać. Mnie raczej zbierało się na płacz.

Niedawno, przeglądając materiały o niesławnym końcu Berii, natrafiłam na wypowiedź pewnego enkawudzisty pełniącego obowiązki literata. Właśnie jako literata wysłano go w delegację do Tbilisi z poleceniem wybadania nastrojów.

Bliski współpracownik Berii kazał mu też zbadać prywatne życie Lamary: Z kim żyje i w ogóle, jak się prowadzi. Ale Lamara pozostawała wierna pamięci przedwcześnie zmarłego męża. Czy Ławrientij Beria mógł pomyśleć, że wierna jest jemu? Prawie dwadzieścia lat później, po śmierci Stalina, Beria, zmagając się na Kremlu z konkurentami do tronu, wciąż otrzymywał o niej raporty z Gruzji. Czyżby naprawdę ją kochał? Jak uwierzyć w miłość erotomana i zbrojnego, trwającą przeszło dwadzieścia lat? A może to też objaw zbrodni? Aktorka miała już żonatych synów.

Żałoba Gamsachurdii

To dziwne, że człowiekowi władającemu całym aparatem terroru, wzbudzającemu przerażenie zdanych na jego łaskę, a raczej niełaskę, niewolników, nie udawało się ukryć ani szczegółów swojego życia osobistego, ani wyczynów służbowych. Choć jeszcze nie wiedzieliśmy o istnieniu telewizji, a do telefonów mieli prawo tylko wybrańcy, wszystkie miejscowe, gruzińskie wiadomości rozchodziły się znacznie szybciej niż teraz. Zwłaszcza jeżeli dotyczyły ludzi znajdujących się na świeczniku. Do takich niewątpliwie należał Konstanty Gamsachurdia, ojciec obalonego prezydenta Gruzji - Zwiada Gamsachurdii. W latach trzydziestych czekał, kiedy już wykończą wszystkich mniejszych, którym różne skomplikowane względy nie pozwoliły na ucieczkę za granicę, i członków wszystkich innych partii, ostro zabrali się do gruzińskiej inteligencji.

Z przykrością muszę stwierdzić, że inicjatorem tego oryginalnego pomysłu nie był Ławrientij Beria, lecz niejaki Lewan Gogoberidze, ówczesny narkom, czyli minister, nie pamiętam już czego. W swym raporcie do władz donosił, że w Gruzji rozpleniło się procentowo o wiele więcej inteligencji niż w jakiegokolwiek innej republice ZSRR i że należy ją - to znaczy inteligencję - fizycznie zlikwidować jako element kontrrewolucyjny. Ciekawe, czy Pol Pot zdaje sobie sprawę, że jest tylko epigonem jakiegoś Gogoberidzego w Gruzji?

Pomysł Gogoberidzego ogromnie się władzy spodobał. NKWD z entuzjazmem zabrało się do oczyszczania republiki z ludzi stanowiących kwiat narodu. Wydawałoby się, że w powszechnym wyniszczaniu inteligencji w ZSRR Gruzini powinni mieć większe szanse na przetrwanie, skoro ich rodak Beria jest tu głównym katem. Wręcz przeciwnie: Zarówno

Stalin, jak i Beria znali w Gruzji prawie wszystkich i oprócz ogólnoradzieckiego programu mordowania mieli swoje własne, gruzińskie plany. A że kraj był mały, a starej inteligencji miał więcej niż cała radziecka Azja, robota ruszyła żwawo.

Bogu ducha winnych poetów - z czerwonymi goździkami w klapach, jak na awangardowych poetów przystało - wyciągano z łóżek, ładowano do bydłych wagonów i wywożono do rąbania lasów w klimacie, który im nie służył.

Konstanty Gamsachurdia, największy współczesny pisarz Gruzji, z godnością czekał na swoją kolej, nieco urażony, że nie zabrano go jako jednego z pierwszych.

Nagle dowiedział się, że rozpuszczają o nim dziwne pogłoski: Nie pisze już powieści, tylko donosy, i współpracuje z wiadomymi organami.

Nie wytrzymał! Włożył gruziński strój ludowy, czarną czochę, i wyszedł na ulicę.

Przeszedł pół miasta.

- Co to za maskarada, Kote? - pytali go znajomi. A on tłumaczył:

- To żałoba, którą jako Gruzin noszę z powodu utraty przez ojczyznę niepodległości!

Ludzie uciekali w popłochu, bojąc się tego słuchać. Za słuchanie też można było daleko wyjechać i nie wrócić! Chyba żeby od razu złożyć donos, gdzie trzeba. Parę osób na pewno tak postąpiło, bo zaraz rozeszła się pogłoska, że Kote został prowokatorem...

Po odbyciu kilku takich spacerów Gamsachurdia nabrał pewności, że teraz już niechybnie po niego przyjdą. Życzył dzieciom dobrej nocy, a nawet je ucałował, czego nigdy dotąd nie robił. Z natury szorstki, nawet oschły, urodzony i wychowany na bohatera, bał się posądzeń o sentymentalizm. Usiadł z żoną do nocnego czuwania. Miał stuprocentową pewność, że zasłużył sobie na tortury i bohaterski koniec. Ale oni nie przychodzili. Teraz już nie rozstawał się z czarną czochą.

Pewnego wieczoru, pod osłoną zmroku, wpadła do mojej mamy Miranda, żona Konstantego Gamsachurdii. Mama struchlała. Pomyślała, że go wzięli, bo Miranda prawie nigdy u nikogo nie bywała. Mąż bardzo nie lubił, kiedy wychodziła z domu.

Niewykluczone, że był zazdrosny, bo jej oryginalna uroda przyciągała spojrzenia wszystkich: śniada, prawdziwie brzoskwiniowa cera, delikatne rumieńce, klasyczny grecki nos i migdałowe, czarne oczy, tak ogromne, że wydawały się sięgać uszu.

Jej pociągła twarz była jakby naszkicowana geometrycznymi liniami, a usta bardzo wyraźnie zarysowane. Mogłabym patrzeć na nią bez końca.

Ojciec nie podzielał mych zachwytów.

- Freski są dobre w cerkwi - powiedział. - Osobiście wolę coś mniej doskonałego.

Rzeczywiście, szczupła, prawie płaska, prosta jak naciągnięta struna, wydawała się ożywioną postacią ze starogruzńskiego fresku. Nic dziwnego, że Gamsachurdia, używający w swojej prozie klasycznego, wręcz archaicznego języka - a pisał tylko po gruzińsku i tylko powieści o waleczności i martyrologii rodaków - musiał się ożenić właśnie z Mirandą. Była chodzącą ilustracją jego twórczości. I miał rację:

Fresk nie powinien się pętać po ulicy!

- Zupełnie przestałaś u nas bywać - powiedziała Miranda do mamy. - Może się obraziłaś?

Na ustach mamy pojawiał się często uśmiech bardziej tajemniczy niż u Giocondy, a wszechwiedzące spojrzenie jej zielonych oczu znaczyło więcej, niż chciała wrazić.

- No tak, wiem - zająknęła się Miranda. - On odstrasza wszystkich znajomych i krewnych... Ale musisz przyznać, że sama go prowokujesz. Przecież wiesz, że on nie znosi umalowanych kobiet!

- Nie muszę się podporządkowywać jego gustom - odparła mama. - Wystarczy, że się podobam swojemu mężowi.

- Oczywiście! Ale przez wzgląd na jego twórczość... - zaczęła i urwała. -

Powiedz mi szczerze, czy ty wierzysz, że on ma coś wspólnego z nimi? Daję ci słowo, że to złośliwe plotki!

Ledwie dostrzegalnym ruchem oczu mama zwróciła jej uwagę na moją obecność i Miranda zamilkła.

- Ostatnia myśl, jaka mogłaby mi przyjść do głowy... Miranda odetchnęła z ulgą.

- Proszę cię, wpadnij, żeby to udowodnić! - zażądała. Mama zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie wątpię, że pod tym względem jest czysty! Po prostu nie mam ochoty wysłuchiwać impertynencji! Od pewnego czasu poczułam się dorosła i nie lubię być wychowywana.

Miranda rozłożyła ręce.

- Przepraszam cię za niego... To jest monstrum, nie ma rady! Ale nie powinnaś brać sobie do serca jego docinków. Przecież wiesz, co ja muszę znosić! Nie chcę przeszkadzać mu w pracy, ale ty...

- Wolę czytać jego książki, niż z nim obcować - odcięła się mama.

- Wpadnij - powiedziała pojednawczo Miranda. - Ostatnio zrobiło się tak pusto...

Nie mogę tego znieść... Zaczynam się bać... Wszystkich dokoła wzięli...

Mama znowu dyskretnie wskazała na mnie i Miranda zamilkła.

- Mamo, chodźmy do cioci Mirandy! - zawołałam błagalnie. - Tam jest rowerek!

Nagle obie zaśmiały się głośno i nerwowo, jakby wyrzucając z siebie napięcie.

- Dobrze, przyjdę - obiecała mama. - Ale umaluję sobie usta najjaskrawszą szminką, jaką znajdę!

- Przygotuję go na najgorsze! - zaśmiała się Miranda. - Nie dam mu powiedzieć złego słowa!

I wybiegła. Może się spieszyła do krewnych czy znajomych, by ich przekonywać, że jej mąż jest czysty? Wywalala otwarte drzwi: Nikt nie wątpił, że Gamsachurdia nie jest donosicielem.

Tylko w dwóch znajomych domach mogłam urzeczywistnić marzenie mego dzieciństwa: dopaść rowerka. Jednym z nich był dom Gamsachurdii. Długo męczyłam matkę, by mnie tam zaprowadziła.

Nie pamiętam, o czym rozmawiano, ale cały czas czułam, że Kote z trudem powstrzymuje wściekłość. Mama dotrzymała obietnicy i kupiła sobie najjaskrawszą szminkę, choć nie pasowała do jej cery. Moją uwagę pochłaniał rowerek na trzech kółkach, stojący w kącie za tapczanem. Dzieci Mirandy pewno miały go dosyć.

Zwiada nie było w domu, co nie bardzo mnie zmartwiło. Byłoby znacznie gorzej, gdyby zabrakło rowerka. Nie wiedziałam przecież, że Zwiad zostanie dysydem, wieloletnim męczennikiem radzieckich więzień, prezydentem Gruzji, ubóstwianym przez jednych a wyklętym przez drugich, żeby w końcu zginąć tak marnie, zagadkowo i bez sensu. Gdybym choć coś przeczuwała, wpatrywałabym się w tego bardzo szczupłego chłopca o delikatnych, dziewczęcych rysach i tajemniczym wyrazie smutnej twarzy, żeby go lepiej zapamiętać. Ale cóż, rower przesłaniał mi cały świat.

Siostra Zwiada, Tamriko też milcząca i smutna, nie okazywała chęci do zabawy.

Niestety, ich ciasne mieszkanie nie nadawało się do jazdy na rowerku. Pokój łączył się z oszkloną werandą, prowadzącą na wąskie schody i na podwórko.

Wszystkie drzwi i okna stały otworem, by ułatwić oddychanie w upale.

I wtedy naszła mnie nieodparta pokusa: dosiąść rowerka i zjechać po schodach werandy. Właśnie zjechać po schodach! Zawsze o tym marzyłam.

Zahipnotyzowana rowerkiem, przestałam słuchać rozmowy dorosłych, ale wiem, że matka musiała użyć jakiegoś rusycyzmu, bo Gamsachurdia wybuchnął. Zaczęła się kłótnia. Przez całe życie Konstanty Gamsachurdia walczył o czystość gruzińskiego języka.

I chwala mu za to. Ale czystym gruzińskim nie mógł napisać współczesnego tekstu, musiałby używać neologizmów i rusycyzmów. Rozumiem go i rozumiem matkę. Potoczny

język gruziński jest straszliwie zaśmiecony, ale nie sposób oprzeć się specyficznemu humorowi, który polega na wtrącaniu pojedynczych rosyjskich słów.

Gamsachurdia był człowiekiem zasadniczym... I tak od słowa do słowa pokłócili się na dobre.

Wreszcie mama wstała i powiedziała podniesionym głosem:

- Noga moja w tym domu...

Z rozpaczą pomyślałam, że nie dadzą mi pojeździć, i korzystając z ich nieuwagi, chwyciłam rowerek, wjechałam na werandę, dotarłam do schodów i...

To nie był dobry pomysł. Przez parę dni leżałam cała w okładach, a mama co chwilę pytała, czy nie boli mnie głowa. Bolało wszystko. W końcu lekarz stwierdził, że nie było wstrząsu mózgu.

Ojciec westchnął i powiedział:

- Szkoda!.. Szansa została zmarnowana. Może by ten mózg znalazł się wreszcie na swoim miejscu?...

Mama więcej nie odwiedzała Mirandy, ale chętnie wysłuchiwała coraz to nowych wiadomości o Gamsachurdii.

- Z daleka gotowam go ogromnie podziwiać, a nawet lubić - przyznała. - I jako pisarza, i jako osobowość, ale tylko pod warunkiem, że nie będę musiała z nim obcować...

Niedługo potem donieśli mamie, że Gamsachurdia w swojej czarnej czosze paradyje codziennie po środkowym, białym pasie jezdni pod oknami siedziby rządu. Mama zbladła.

- Egoista! Chce zgubić całą swoją rodzinę!

W parę dni później przybiegła do nas podniecona ciotka Nina.

- Zgadnij, kto dzwonił do Kote?! Mama spojrzała pytająco.

- Sam pan Czki! Nadstawiałam uszu.

- „Widziałem cię z okna” - mówi. - „Widuję cię codziennie. Marzysz, żebyśmy cię zamknęli?! A niedoczekanie twoje...” - opowiadała Nina głośnym szeptem.

Mama osłupiała.

- Chyba mają w tym jakiś cel...

- Chcą go zmusić, żeby o nich pisał - wyraziła przypuszczenie Nina.

- Dlaczego Gamsachurdia chce, żeby go złapał pan Czki?! - zawołałam przerażona.

- Musisz podsłuchiwać rozmowy dorosłych?! - jęknęła mama.

- Dzieci trzeba mordować od razu po urodzeniu - stwierdziła ciocia Nina. -

Zwłaszcza dziewczynki. Żadnego pożytku z nich nie ma, tylko same kłopoty!

- Słyszałaś? - Mama spojrzała na mnie groźnie. - Skorzystam z rady cioci Niny!

Ale ja wiedziałam, że najwyżej mogę oberwać po tyłku.

- Powiedz, dlaczego Gamsachurdia chce, żeby go zjadł pan Czki? - nalegałam.

Tym razem mama odpowiedziała:

- Bo Gamsachurdia, jak większość prawdziwych artystów, to wariat! Nie zauważyłaś?

I przestań się dopytywać, bo się naprawdę rozgniewam!

Gamsachurdie zostawiono w spokoju. Nawet go trochę hołubiono. Chyba chcieli zrobić z niego egzemplarz pokazowy. A może rzeczywiście Beria liczył na to, że go oswoi i zmusi do pisania pod dyktando?

W parę lat później przyjechał do Tbilisi nowy drugi sekretarz Komunistycznej Partii Gruzji. Na pierwszego sekretarza z zasady wybierano marionetkę - Gruzina, i o ile pamiętam, jego głównym zajęciem było branie i dawanie łapówek. Drugi sekretarz natomiast, szara eminencja, Rosjanin przywieziony z Moskwy, pilnował, żeby w Gruzji przestrzegano szóstego, niepisanego warunku budowy komunizmu: I żeby było cicho, towarzysze! Pierwsze pięć warunków zainteresowani mogą znaleźć w „Krótkim Kursie Historii WKP(b)”. Drugi sekretarz patrzył na ręce pierwszemu i pociągał za sznurki. Gdy tylko przyjechał z Moskwy, poprosił na rozmowę Gamsachurdie: Prawdopodobnie z polecenia Berii chciał go obłaskawić. Ta wiadomość szybko obiegła Tbilisi i wszyscy wtajemniczeni czekali z zapartym tchem. Stawi się, czy nie?

Gamsachurdia przyszedł na spotkanie, ale zażądał tłumacza. Drugi sekretarz musiał na warunek przystać, choć nie marzył o pośrednikach. Zaplanował poufną rozmowę w cztery oczy. W trakcie zawilego i niezręcznego dla niego dialogu (bo taki styl narzucił Gamsachurdia) Rosjanin nie wytrzymał i zapytał wprost:

- Jak to jest możliwe, żeby taki inteligentny, taki świątły człowiek nie umiał rozmawiać po rosyjsku?

Gamsachurdia, niewzruszony, odpowiedział mu przez tłumacza:

- Kiedy byłem w Niemczech, rozmawiałem po niemiecku. Zdarzył mi się wyjazd do Paryża, mówiłem oczywiście po francusku. Teraz jestem u siebie i byłbym bardzo rad, gdyby ci, którzy nami rządzą, mówili ze mną w moim języku.

Drugi sekretarz okazał się człowiekiem giętkim. Przeprosił pisarza i obiecał mu, że gdy spotkają się następnym razem, będą rozmawiali po gruzińsku. Wątpię, czy do drugiego spotkania doszło...

Spotkania z Terpsychorą

Cokolwiek byśmy o tym myśleli, my, Gruzini, Tbilisi nie jest wielką metropolią.

Za czasów mego dzieciństwa nie liczyło jeszcze miliona mieszkańców. Inteligencja, z powodzeniem trzebiona przez dwóch „ukochanych rodaków”, wciąż stanowiła dość zwartą i hermetyczną grupę. Znali się między sobą niemal wszyscy, a wiadomości o znajomych przekazywano niezwłocznie pocztą pantoflową. Stało się powszechną tajemnicą, że pan Czki zwrócił uwagę na pewną znajomą mojej mamy (jako nastolatki, mieszkały na tej samej ulicy i pożyczały sobie nuty), początkującą baletnicę z opery.

Nie skończyłam jeszcze pięciu lat, gdy ojciec zabrał mnie po raz pierwszy na balet Fontanna Bachczyseraju. Wpadłam w zachwyt i zamęczałam matkę, żeby zapisała mnie do szkoły baletowej. Pomysł pozbycia się dziecka na parę godzin dziennie musiał ją skusić, więc poszłyśmy do Łany, baletnicy, która wpadła w oko panu Czki.

Lana, przyjrawszy mi się krytycznie, westchnęła.

- Dobrze - powiedziała do mamy. - Zrobię to dla ciebie, ale nie jestem pewna... czy ona wytrzyma. Tu trzeba mieć końskie zdrowie.

Do szkoły baletowej chodziłam niecały miesiąc, aż do chwili, kiedy Lana przypadkiem spotkała mojego ojca w tramwaju. Moje kontakty z Terpsychorą uszły dotąd jego uwagi. Nie wiem, czy w radiostacji pracowali wtedy nad zagłuszaniem, czy może odgłuszali zagłuszanie, a może robili coś innego, równie ważnego, wiem tylko, że radiostacji wyznaczono jakieś specjalne zadanie. Zbudowana na jednej z gór, otaczających miasto pierścieniem, naszpikowana lasem słupów wysokiego napięcia, stała się obiektem utajnionym i ojciec był rzadkim gościem w domu.

Musiał się spodobać Łanie, bo spotkawszy go, rozplynęła się w zachwytach nad moimi postępami w nauce tańca, co oczywiście nie miało wiele wspólnego z prawdą.

Fikając nogą przy drążku, obrywałam od naszej treserki bardziej niż ktokolwiek i czułam się fatalnie.

Ojciec wpadł do domu i kazał matce natychmiast skończyć z tymi praktykami.

- Nie życzę sobie, by mózg mojej córki poszedł w nogi!

Przyjęłam jego decyzję z zadowoleniem, bo baletu miałam dość. Brat babci zaprowadził mnie właśnie do opery na Damę Pikową i postanowiłam zostać śpiewaczką operową. Na szczęście w Tbilisi nie było szkoły dla nieletnich śpiewaczek operowych.

Może Łaną rzeczywiście ogarał niepokój o moje zdrowie, a może miała ochotę niby to przypadkiem spotkać ojca, dość, że pewnego dnia po przedstawieniu zjawiała się u nas, żeby zasięgnąć informacji, dlaczego tak obiecująca adeptka przestała przychodzić na zajęcia. Mama wysłała mnie natychmiast do łóżka i kazała spać.

Wyobrażała sobie, że muszę bezwarunkowo spełniać każde jej polecenie. Traktowała mnie trochę jak lalkę, którą wystarczy położyć na plecy, żeby zamknęła oczy i zasnęła.

- Żuk - tak nazywała ojca - boi się, żeby dziecko nie wciągnęło się w taniec.

Chce z niej zrobić radiowca. Przecież wiesz, że żyje w eterze, a nie na Ziemi...

Obie cicho się zaśmiały. Matka nie wspomniała, że ojciec nie chce, żeby mózg poszedł mi w nogi.

- Słusznie - przyznała Lana. - Nasza praca to jednostajna i nudna harówka.

Czasami wołałabym pójść na katorgę!...

Mama uśmiechnęła się.

- Tobie podobno już nic takiego nie grozi?

- Daj Boże... - Lana zrobiła pauzę. - Żeby zabłysnąć w naszym zawodzie, nie wystarczy talent i pracowitość...

- Domyślam się - zgodziła się mama. - Doszły nas słuchy, że twoje akcje mocno poszły w górę...

Lana cicho się zaśmiała.

- Nie uwierzysz, gdy ci opowiem, jaka byłam głupia... Niedługo po ślubie zaczęło mnie mdlić, co kuzynka uznała za objaw normalny i zaprowadziła mnie do ginekologa...

Lana wyszła za mąż za starszego o przeszło czterdzieści lat krytyka muzycznego.

- Jesteś w ciąży? - zainteresowała się mama.

- Słuchaj! - szeptala Lana. - Ginekolog włożył rękawiczki i ledwie zaczął mnie badać, zaraz je zdjął. „Panienska przyszła tu żartować?!” - zawołał. - „Jaka u diabła ciąża?! Trzeba najpierw wyjść za mąż albo przynajmniej znaleźć sobie faceta, a potem spodziewać się dziecka! A może panienska myśli, że zdarzają się niepokalane poczęcia?!” Jak to?! - oburzyłam się. Jestem mężatką od kilku miesięcy! Popatrzył na mnie z politowaniem. „W takim razie niech panienska napluje za przeproszeniem w gębę mężowi i znajdzie sobie przystojnego młodzieńca, żeby dokonał czegoś, do czego mąż się nie nadaje”.

- Wyszłaś za starego rozpustnika...

- Tak - potwierdziła Lana. - Pomyśl tylko, Mariko, jak nas wychowano! Nawet nie wiedziałam, do czego służy mąż! Nie pozwól, żeby twoja córka dała się tak nabrać!

- To już nie te czasy - uspokoiła ją matka. - Oświecą ją w szkole koleżanki.

Zresztą staram się odpowiadać na wszystkie jej pytania.

Akurat! - pomyślałam z goryczą.

- Jeżeli będę miała córkę, niczego przed nią nie będę ukrywała! - oznajmiła Lana.

- Czekaj! - przerwała jej mama. - Sprawdzę, czy ona śpi... Podeszła i pochyliła się nade mną. Stała chwilę, przyglądając mi się uważnie w półmroku. Cała spałam się w sobie, żeby nie drgnęła mi powieka.

- Śpi - powiedziała wreszcie z ulgą i wróciła na miejsce. - Oddycha miarowo.

Rozwodzisz się?

- Nie... - Czuję, że Lana znowu się uśmiecha. - Po co? Przecież nie myślę powtórnie wychodzić za mąż! Dopiero się drań zdziwi, kiedy znajdę w ciąży! - zaśmiała się na cały głos.

- Wzięłaś sobie przystojnego młodzieńca? - zapytała mama.

- Przecież wiesz...

- Pan Czki?! Jemu ta operacja przypadła w udziale?!

- Możesz sobie wyobrazić, jaki był zdumiony? O mało nie pękł ze śmiechu, gdy mu wytłumaczyłam, o co chodzi!

- To on potrafi się śmiać? - zdziwiła się mama.

- Jeszcze jak! Sama byłam zaskoczona - przyznała Lana. - Wyglądał na bardzo zadowolonego...

- Więc nie jest taki straszny?... - bardziej zastanawiała się, niż pytała mama.

- Jest bardzo dobry! Dostałam natychmiast dwie solówki! A jędze baletowe, które nie przepuściły okazji, żeby mnie poniżyć, teraz chodzą na palcach i uśmiechają się przymilnie! Jak one wszystkie mnie pokochały! Taka metamorfoza! Nagle z głupiego beztalencia przemieniłam się w najzdolniejszą artystkę w tym całym burdelu! - Lana zachichotała. - Wcale się nie zdziwię, kiedy mianują mnie dyrektorem opery!

W rok później została primabaleriną i przyznano jej tytuł Zasłużonej Artystki Gruzjińskiej SFRR. Była już niezależna od męża.

Jej historia składała się dla mnie z niezliczonej ilości znaków zapytania. Nie potrafiłam rozwikłać tej zagadki i przestałam zawracać głowę sobie i rodzicom.

Wiele lat później, gdy studiowałam i zakazane tematy nie były już dla mnie tajemnicą, dowiedziałam się, że Lana zginęła w wypadku samochodowym. Przyznałam się matce, że podsłuchiwałam ich rozmowę.

Matka jęknęła:

- Byłam taka młoda i lekkomyślna! Jak mogłam przypuszczać, że zasypiasz na każde moje żądanie?!

Ten wypadek zdarzył się po zamordowaniu Berii. Lana na pewno mocno przeżyła śmierć protektora. Lada dzień mogła być strącona ze swych wyżyn. Może śmierć stała się dla niej wybawieniem?

Czki Ławrientij Beria

Na procesie Berii wymieniano astronomiczną liczbę zgwałconych przez niego kobiet.

Okazał się również agentem imperialistycznym, gotowym przywrócić kapitalizm w ZSRR. Publikowano listy prawdziwych komunistów, których wymordował, ale pominięto milczeniem miliony bezpartyjnych, których kości gniją w łagrach.

Ludzie jeszcze nie potrafili uwierzyć, że się go na dobre pozbyli, powtarzali szeptem jego imię i wcale by się nie zdziwili, gdyby raptem wyskoczy! z pudełka i ze zdwojoną energią zabrał się do roboty.

W naszej mrocznej bramie pojawiła się wąsata, przeszło stukilogramowa koleżanka mojej mamy. Podniosła ręce na wysokość uszu i kokieteryjnie wykręcając dłonie, zaśpiewała na całe podwórko ku uciesze lokatorów:

„Czkimi Ławrientij Beria! Czkimi Ławrientij Beria!”

Jak na komendę wszyscy zaczęli śpiewać i tańczyć razem z nią. W ten sposób pogrzebali szatana.

Wtedy też skojarzyłam opowieści z lat dziecińczych o przerażającym panu Czki i zrozumiałam, że pan Czki to Ławrientij Beria! Nie mogłam wyjść ze zdumienia, że tak późno mnie olśniło. Nagle wróciły w pamięci wszystkie rozmowy, szepty i szloch tak wyraźnie, jakbym je słyszała przed chwilą. Teraz zrozumiałam ich sens. A przecież tysiące razy śpiewano w radiu megrelską piosenkę ku czci bohatera Czkimi Ławrientij Bena! (Mój Ławrientij Beria) - stąd przydomek Czki.

Tak musiało śpiewać niejedno dziecko ku uciesze dorosłych. Beria przecież był Megrelem! Megrełowie należą do rodziny ludów gruzińskich i używają własnego dialektu. Biedne dziecko zupełnie nie rozumiało, co śpiewa. Mogłam miliony razy słuchać tej piosenki, ale jej nie słyszałam! Byliśmy uodpornieni i nie dopuszczaliśmy do świadomości treści piosenek o radzieckich dygnitarzach, haseł i transparentów. W zdrowym odruchu samoobrony nasz umysł eliminował cały ten śmietnik. Gruzkańska młodzież okazała się bardzo odporna.

Ale teraz śpiewaliśmy z radością Mój Ławrientij Beria. Mój, mój, ale już nie żyje! Teraz i ja mogłam się śmiać z własnej niedomyślności, choć szczerze mówiąc, wcale nie było mi do śmiechu. On nie żył, ale ja się nie cieszyłam.

Ogarnęły mnie bardzo mieszane uczucia.

Śmierć Berii była mi po prostu nie na rękę.

Mikael Cziaureli

Już od roku studiowałam na wydziale reżyserii w moskiewskiej Wyższej Szkole Filmowej (WGIK) i ciągle spotykały mnie przykrości ze strony opiekuna naszej grupy,

profesora... nazwijmy go Wasyl Wasylewicz. Gdy pojawił się pierwszy raz w sali ćwiczeń, stwierdził, że przyjęto aż pięć studentek, i strasznie się rozgniewał. W tamtych czasach na wydział reżyserii tylko wyjątkowo przyjmowano kobiety, najwyżej jedną na całą grupę. A tu podłożono mu świnię, ponieważ wyjechał na urlop i nie zasiadał w komisji egzaminacyjnej. Odebrał to jak policzek. Zapowiedział stanowczo, że żadna studiów nie ukończy, i rozpoczął systematyczne szykanowanie. Pierwsza zrezygnowała już po dwóch miesiącach i przeniosła się na wydział produkcji filmowej. Drugą, najmniej zdolną i raczej leniwą, wyrzucono po pierwszym semestrze. Trzecia - pracuś i pierwsza uczennica (liceum ukończyła ze złotym medalem) - okazała się słaba w rzemiośle aktorskim.

Po dwóch latach ustawicznej walki zginęła nagle pod tramwajem. Krążyły plotki, że popełniła samobójstwo. Przypuszczam, że była przemęczona. Czwarta wzięła urlop dziekański, straciła rok, ale dzięki temu raz na zawsze rozstała się z Wasylem Wasylewiczem.

Nie mogłam sobie pozwolić na marnowanie czasu. Zresztą, po pierwszym roku reżyserii komisja oceniła moją pracę na piątkę, co dodatkowo rozwścieczyło naszego mistrza. Udawałam głupią i niby nie rozumiałam, że prowadzi ze mną swoją prywatną wojnę.

Potknęłam się na Borysie Pasternaku. Poetę prześladowano w Związku Radzieckim już od wielu lat, ale coś mnie podkusiło i na ćwiczenia z dykcji przygotowałam jego wiersz „Choinka”. Byłam pewna, że mało inteligentna pani profesor od tak zwanej techniki mowy nie skojarzy wiersza z autorem. Nie wzięłam pod uwagę piękna tej poezji. Zaczęła węszyć. Gdy tylko dotarła do źródła, popędziła na skargę do Wasyla Wasylewicza. Co za gratka dla niego! Kazał mi napisać wypracowanie na temat twórczości Borysa Pasternaka. Miłość do Pasternaka wyniosłam z domu. Wydane przed nagonką wiersze przepisywaliśmy na rzadkich wtedy maszynach. Zaczytywane i podklejane, kursowały z rąk do rąk. Wiedziałam, że ujawnienie na piśmie prawdziwego stosunku do Pasternaka na dobre wyjść nie może, ale poniosło mnie i nie mogłam się opanować. Nie wiem, co przeważało: miłość do poety czy szczeniacka potrzeba zademonstrowania swojej niezawisłości...

W tym czasie umysły studentów zaczynały fermentować. Nadmiar przedmiotów politycznych wywoływał skutek odwrotny od zamierzonego: Wszystko, co widzieliśmy dookoła, przeczyło teorii. Zaczęło nam świtać, że faszerują nas utopią. Dopóki żył Stalin, nie przyszło nam do głowy, że aprobował wszystkie te niezgodności.

Zaskoczył nas, umierając ni stąd, ni zowąd, on, wydawałoby się nieśmiertelny.

Nastroje wśród studentów stawały się coraz bardziej wisielcze wobec braku perspektyw, a buntownicze wobec władz.

Wasył Wasylewicz kazał mi na głos odczytać wypracowanie o Pasternaku przed całą grupą i zachwycony, zaniósł tekst - dowód zbrodni - do rektora. Mój los został przypieczętowany. Pozostało teraz zwołać zebranie komsomolskie, ustami aktywistów rozgromić mnie w obecności wszystkich studentów i wyrzucić z Komsomołu. A to było równoznaczne z relegowaniem z uczelni. Sformułowano oskarżenie:

Miałam zostać usunięta za chuligaństwo.

Zanim uświadomiłam sobie, co mnie czeka, wieczorem uczestniczyłam w ćwiczeniach z historii muzyki. Stary, czarujący profesor Szuchman (prosił, żeby nie nazywać go Schumannem), wyraźnie się dokądś spieszył. Szybko przesłuchiwał kolegów i puszczał kolejno do domu. Mnie zostawił na koniec.

Razem wyszliśmy na ulicę i ku mojemu zdumieniu zaproponował mi krótki spacer, dla zdrowia.

- Czy zdajesz sobie sprawę - zaczął - że w dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto po wyrzuceniu z Komsomołu wydalają studenta z uczelni?

Zdawałam sobie sprawę.

- A czy wiesz, jaki jest główny zarzut Wasyła Wasylewicza przeciw tobie?

Spojrzałam na niego pytająco.

- Otóż to! - Pokiwał głową ze smutkiem. - Za często widzisz pewnego obywatela obcego, aczkolwiek zaprzyjaźnionego państwa... - Rozejrzał się dokoła. - Liczę na twoją dyskrecję... całkowitą dyskrecję! - Podkreślił ruchem palca. -

Mówiliśmy o tym na partyjnym zebraniu, jeszcze zanim wyskoczyłaś z Pasternakiem.

Nogi się pode mną ugięły z przerażenia.

- Jeżeli chcesz się ratować, posłuchaj mojej rady: Zrezygnuj z towarzystwa tego studenta. Musisz z nim zerwać demonstracyjnie! Żeby ten akt skruchy dotarł do kierownictwa instytutu.

Przerażona, milczałam. Zakodowana przez ciotkę Ninę, zakochałam się w „dumnym Polaku”, który studiował na naszej uczelni. Los zesłał mi szczupłego, sympatycznego chłopca z jasną czupryną. Ujął mnie od pierwszego wejrzenia swoją powagą i żądzą wiedzy. Nasza beznadziejna i piękna miłość nie miała przed sobą żadnej przyszłości. Zdawało nam się, że jesteśmy jak Romeo i Julia, a rolę Kapuletów i Montekich w jednej osobie odgrywa Związek Radziecki. Gdyby nas przyłapano razem, usunięto by z uczelni w trybie natychmiastowym, Romea odesłano by do Polski, a mnie do Gruzji - z wilczymi biletami, bez możliwości podjęcia jakichkolwiek studiów. Romans obywatelki ZSRR z cudzoziemcem, nawet z kraju podbitego, jeżeli nie był zaplanowany przez NKWD, traktowano jak ciężkie wykroczenie.

Romea uprzedzono przed wyjazdem z Polski, że najmniejsze uchybienie w tym względzie pociągnie za sobą groźne konsekwencje. Spotykaliśmy się więc po kryjomu, jak najwytrawniejsi konspiratorzy, i zdawało nam się, że nikt o tym wiedzieć nie może...

- Co mam robić, Jakowie Isajewiczu? - zapytałam profesora Szuchmana. - Nie ma już dla mnie ratunku?

Udał, że się zastanawia. Już wcześniej musiał przemyśleć całą sprawę. Nie wiem, dlaczego mnie lubił.

- Na twoim miejscu - powiedział po chwili - poszedłbym do Mikaela Cziaurelego...

To przecież też Gruzini! Może zechce ci pomóc?...

Sławny w kraju i za granicą reżyser Mikael Cziaureli pojawiał się u nas rzadko, ale kiedy przyjeżdżał na uczelnię, witano go jak Boga i cara. Gdy przylatywał do Moskwy, a samochód z kierowcą śmiał się spóźnić na lotnisko, wybierał sobie jakiś ładny kwietnik przed wejściem, kładł się na nim i wsparty na łokciu, patrzył w chmury. Zaraz podbiegał milicjant, żeby go aresztować, a on mówił krótko:

- Paszoł won, durak!

Kiedy zaś zjawiał się w Tbilisi, w wytwórni filmowej, zwabiał kierowcę, wysiadał i wołał:

- Ej, wy, reżyserzy od siedmiu boleści! Kto chce zarobić parę rubli, niech wypucuje mój samochód!

I zawsze wybiegał reżyser, by spełnić tę usługę. Nie tylko w ramach podlizywania się. Reżyserzy żyli w nędzy. W całym ZSRR kręcono dwadzieścia parę filmów rocznie, a artystów namnożyło się więcej niż pluskiew...

Swą pozycję Cziaureli zawdzięczał nie tylko łasce Berii. Sam Stalin wzywał go co jakiś czas na swoje nocne seanse, podlewane najlepszym gruzińskim winem. Od wczesnego dzieciństwa wiedzieliśmy, że Ojciec Narodów czuwa nocami, myśląc za nas. Już w przedszkolu powtarzaliśmy za nauczycielką wierszyk, kończący się słowami: „Śpij spokojnie w kołybeli, Stalin dumajet za nas”. Jak dowiedziałam się później, ostatni wers powinien brzmieć: „Stalin dumajet o nas”. Myślę, że wychowawczyni poprawiła go nieświadomie, ale bezbłędnie.

Więc Stalin „dumał” sobie za nas, ćmiąc fajeczkę, a Cziaureli grał na gitarze i śpiewał mu gruzińskie piosenki. Miał idealny słuch i bardzo przyjemny tembr głosu. Miał też niewyparzony język i bawił wodza dowcipami.

Stalin odznaczał się dużym, choć nieco makabrycznym poczuciem humoru i lubił sobie pozartować. Słynnemu z najśmielszych dowcipów o rzeczywistości sowieckiej

redaktorowi naczelnemu dziennika „Izwestija”, Karolowi Radkowi, którego popędzał z jakąś robotą, na jego uwagę: „Ciszej jedziesz, dalej będziesz” - towarzysz Stalin odpowiedział: „Nie, Radek, dalej pojedziesz, ciszej będziesz!”

- i wkrótce wysiał go daleko, skąd redaktor już nie wrócił.

A kiedy po przeglądzie filmu Świat się śmieje zadowolony Stalin powiedział twórcy tego dzieła, Aleksandrowowi, że w nagrodę zostanie odznaczony Orderem Bohaterskiego Czerwonego Sztandaru, wszyscy uznali, że dyktator się przejęczył, bo reżyserowi Aleksandrowowi daleko było do bohatera.

- Chyba Sztandaru Pracy? - powiedział cicho, ale zaraz ugryzł się w język, zbladł i zatrząsł się jak zsiadłe mleko.

Wodzowi nie wypadalo wytykać pomyłki. Wódz nigdy się nie myli. Teraz jednak Stalin uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Orderem Bohaterskiego Czerwonego Sztandaru - powtórzył, akcentując słowo „bohaterskiego”. - Za odwagę!

Wszyscy odetchnęli z ulgą.

Ale raz Cziaureli naraził się Wszechmogącemu. Wezwano go do Moskwy. Wszedł do komnaty, gdzie biesiadował Stalin ze swoją świtą, i usłyszał pytanie:

- Przywiozłeś ze sobą Wieriko?

Wieriko była żoną Cziaurelego, czołową gruzińską aktorką dramatyczną, dyrektorką teatru w Tbilisi i laureatką wszystkich możliwych nagród.

Cziaureli bez namysłu odpowiedział rubasznie:

- Nie jeździ się do Tuły ze swoim samowarem! Wtedy to usłyszał zdanie skądinąd mu znane:

- Paszoi won, durak!

I przez dłuższy, ciężki dla artysty okres nie wpuszczano go na Kreml. Stalin wysoko cenił poczucie humoru, ale nie cierpiał płaskich dowcipów. Jako Gruzin i do tego były seminarzysta, cenił instytucję rodziny, tępił zdradę małżeńską i rozwody, zabronił też skrobarek. Mordował przecież dorosłych.

W tym okresie Cziaureli nakręcił już dwie epopeje o Stalinie. Pierwsza, czterogodzinna Przysięga, opowiadała o młodym Stalinie, koryfeuszu marksizmoleninizmu, najbliższym współpracowniku Lenina. Koryfeusz pomaga wodzowi rewolucji w walce o socjalizm, a po jego śmierci składa nad zwłokami (dosłownie zwłokami, bo Lenin, jak żywy, leży w otwartej trumnie w Sali Kolumnowej) uroczystą przysięgę, że nigdy nie zboczy z raz

obranego kursu. I bierze ster Związku Radzieckiego w swoje ręce, nie lękając się ciężaru władzy.

Nie można stwierdzić, czy film miał powodzenie, ale z pewnością ogromną frekwencją, bo wszystkie szkoły, wyższe uczelnie, instytucje państwowe i jednostki wojskowe musiały stawić się w kinie w pełnym składzie.

Organizowano ochotnicze, obowiązkowe kultpochody.

Druga epopeja Cziaurelego Upadek Berlina, już w kolorze, ukazuje generalissimusa jako genialnego stratega, zwycięzcę Wielkiej Wojny Ojczyźnianej i zbawcę świata od faszyzmu. Pod koniec filmu Stalin, wielki i piękny, wypisz wymaluj jak z portretu Poranek Ojczyzny, unosi się nad Berlinem, niczym Bóg nad światem (co jest bliższe prawdy, bo nigdy w Berlinie nie postawił nogi) i trzymając ojcowską rękę między guzikami trencza, gdzieś w okolicy żołądka, patrzy z dobrotliwym acz stanowczym uśmiechem, dodając otuchy niezwyciężonej Armii Czerwonej, która idzie do ataku z okrzykiem dobywającym się z głębi serca: „Za Stalina!!!! Za Rodinu!!!!!!” I zwycięża. Czerwony sztandar powiewa nad Berlinem.

Cziaureli, znalazłszy się w krótkotrwałej, ale okrutnej dlań niełasce z powodu dowcipu o żonie, zaczął planować realizację trzeciej epopei o Wodzu Narodów, tym razem w roli architekta odbudowy kraju ze zniszczeń wojennych. Miał już dużo wspaniałych pomysłów i za pośrednictwem Berii wprosił się do Stalina na konsultacje. Wobec tak olśniewających projektów Wódz puścił łaskawie epizod z samowarem w niepamięć.

Jako pupilkowi Stalina, Cziaurelemu wolno było wszystko, nawet po śmierci Ojca i Nauczyciela - aż do likwidacji Ławrientija Berii.

W naszej uczelni prowadził grupę studentów, liczącą około piętnastu przyszłych reżyserów. Jako Mastier, czyli mistrz, kierownik artystyczny grupy, którą sam przyjął po egzaminie wstępnym, doprowadził ją już do trzeciego roku.

Dopałam go na korytarzu, otoczonego lizusami, i z desperacją zastępując drogę, poprosiłam po gruzińsku o chwilę rozmowy.

- Jestem bardzo utalentowana! - dodałam stanowczo, bo tupetu mi nie brakowało. -

Proszę mnie ratować!

Przyjrzał mi się z kpiącym uśmiechem.

- Na czole tego talentu wypisanego nie masz - powiedział.

- Proszę mnie przeegzaminować! - zawołałam.

Położył mi rękę na ramieniu i pociągnął za sobą na ćwiczenia do swojej grupy.

- Muszę iść na próbę z Wasylem Wasylewiczem! - jęknęłam. Prób nie pozwalano nam opuszczać pod żadnym pozorem.

- Kiedy masz okazję popatrzeć, jak ja pracuję, żadne inne zajęcia się nie liczą!

- odparł.

Miał rację. Później nieraz obserwowałam jego pracę ze studentami: Nie był to czas stracony. Cziauareli miał niepowtarzalny styl i ogromny rozmach. Opatrzność obdarzyła go prawdziwym talentem, zwłaszcza w dziedzinie komedii i satyry. Z każdego zdania umiał wydobyć niezliczoną ilość śmiesznych podtekstów.

Pierwszy jego film, komedia, zrealizowana jeszcze w Gruzji, cieszyła się ogromnym powodzeniem i długo szła przy pełnych salach. Ze studentami przygotował do egzaminu na półroczce Szelmostwa Skapena Moliera. Przedstawienie stało się prawdziwym wydarzeniem w dziejach uczelni. I profesorowie, i studenci bili się o miejsca i zrezygnowali ze szturmowania dopiero wtedy, gdy im obiecano, że po egzaminie zobaczą Moliera w największej sali.

Po pierwszej próbie, na którą mnie wciągnął, zapytał z ironią:

- No i jak z twoim talentem? Potrafisz pracować z aktorami tak jak ja?

Zrobiłam niewyraźną minę.

- W tej chwili jeszcze nie - powiedziałam z wahaniem. - Ale kiedyś... Kiedy będę w pana wieku... - dodałam już odważniej, bo widziałam, że się uśmiecha.

- Co za tupet! - zawołał z uznaniem. - Jutro wyjeżdżam ze scenarzystami do Domu Pracy Twórczej pod Moskwę... - Zastanawiał się chwilę. - Biorę cię z sobą! O dziewiątej rano przyjedzie po ciebie mój kierowca.

Patrzyłam zdumiona.

- Jesteś niedożywiona - powiedział z niesmakiem. - Przyda ci się przyzwoity posiłek.

- Co to ma wspólnego z moimi zdolnościami?! - warknęłam oburzona.

Nazajutrz rano samochód Cziaurelego czekał na mnie pod akademikiem, wzbudzając zazdrość i złośliwe uwagi niektórych koleżanek. Przez cały dzień asystowałam trzem starcom; każdy miał około sześćdziesiątki. Nosiłam za nimi pledy, kiedy przechodzili z jednego drzewa pod drugie, i pomagałam okrywać nogi. Wszystko, co mówili o filmie, wydawało mi się wielce interesujące. Nakarmiono mnie przyzwoitym obiadem, ale nikogo nie obchodziła moja osoba, jakbym była częścią dekoracji. W drodze powrotnej do Moskwy zapytałam Cziaurelego, do czego im byłam potrzebna, skoro nikt nie zamienił ze mną ani słowa. Zastanawiał się chwilę, zaskoczony.

- Powiem ci prawdę - szepnął tajemniczo. - W tym parku roi się od komarów, a one wolą krew młodych dziewczyn od krwi dojrzałych mężczyzn.

Rzeczywiście, komary pogryzły mnie niemiłosiernie.

Ponieważ co jakiś czas Cziaureli zapraszał mnie na swoje zajęcia, a także na zamknięte pokazy filmów zagranicznych, o których zwykli radzieccy śmiertelnicy w ogóle nie słyszeli, i podkarmił czekoladkami, nieco oswojona, zapytałam, dlaczego marnuje swój talent i nie kręci komedii.

Spojrzał na mnie z politowaniem.

- Ech ty, tumanie! Tumanie! Byłem w Ameryce! Widziałem, jak tam żyją ludzie!

Chcę żyć przynajmniej tak, jak amerykański student!

Żył chyba lepiej. Miał duże mieszkanie w Moskwie, a w Tbilisi mieszkanie i daczę.

Zainkasował trzy albo cztery nagrody leninowskie, a to w ZSRR uważano za ogromne pieniądze. Wśród przeciętnych radzieckich obywateli mógł spokojnie grać rolę milionera.

Wszelkie wzmianki o relegowaniu mnie z uczelni ustały. Komsomolskie zebranie poszło w niepamięć. A Wasyl Wasylewicz przestał mnie otwarcie szykanować.

Mistrz Mikael Ediszerowicz, oprowadzając mnie po parku (lekarz zalecił mu spacer), opowiadał, jak to za nim szaleją kobiety i jakim jest wspaniałym kochankiem. Najpiękniejsze aktorki wprost tracą głowę. Dość sceptycznie oceniałam nagłe namiętności aktorek do wpływowych reżyserów, tym bardziej do Cziaurelego, który co chwila dostawał zadyszki i połykał pigułki. Mocne życie nadwerżyło mu serce. Ale kiedy obserwowałam go przy pracy, kiedy zapalał się, tryskał pomysłami, kiedy świdrował mnie swoim przenikliwym spojrzeniem tak, że czułam się jak naga, żałowałam, że nie ma trzydziestu i... no, powiedzmy, dwudziestu lat mniej.

Dopiero teraz, zastanawiając się nad Cziaurelim i jego stosunkiem do mnie, dochodzę do wniosku, że chełpił się erotycznymi sukcesami, gdyż były już melodią przeszłości. Swoista perwersja... Któregoś dnia, na spacerze, wydawał się nienaturalnie podniecony. Działo się to w jakiś czas po śmierci Stalina. Wyjątkowo długo milczał.

Wreszcie zatrzymał się, rozejrzał dokoła i powiedział szeptem:

- Rozmawiałem z Ławrientijem! Nie zrozumiałam.

- Z kim?

- Nie bądź durna! Nie wiesz, kto to jest Ławrientij?! Wspaniale! - pomyślałam.

Już są na ty! Kiwnęłam głową, że rozumiem.

- Przed nami wspaniałe perspektywy! - Zatarł dłonie. - Najpierw nakręcimy „Witezia w tygryziej skórze”, a potem zabieramy się do dwuczęściowego, wielkiego filmu o Berii. Już wszystko uzgodnione! Będą pieniądze na Rustawelego!

Marzył o realizacji „Witezia w tygryziej skórze”, poematu z XII wieku gruzińskiego klasyka Szoty Rustawelego. Przy mnie omawiał swoje pomysły ze scenarzystami, zbierał ilustracje i reprodukcje obrazów gruzińskich malarzy.

Kazał zapisywać swoje zaskakujące wizje. Niestety, byłby to bardzo kosztowny film i wyrwanie takich pieniędzy nie przyszłoby łatwo nawet jemu, Cziaurelemu, zwłaszcza że nie było już Stalina. Ja tymczasem gorączkowo myślałam o jego następnym projekcie, o dwuczęściowym filmie o Berii...

Popatrzyłam na niego z napięciem.

- Czy to znaczy, że?...

- Tak! - powiedział triumfalnie. - Już niedługo znajdzie się na samym szczycie!

To pewniak, rozumiesz?!

Rozumiałam. Zdawało się całkiem prawdopodobne, że Beria zajmie tron po Stalinie.

- Interesujące - rzekłam, bo wypadło się odezwać. Zaśmiał się. Był w siódmym niebie.

- Więc mamy robotę na najbliższą pięciolatkę!

- Jacy „my”? My, Mikołaj Pierwszy, czy my, Mikołaj Drugi? - zapytałam.

Spojrzał na mnie protekcyjnie.

- Masz szczęście! Biorę cię na asystentkę! Aż mnie zatkało.

- A studia? - zapytałam niepewnie.

- Wezmiesz urlop dziekański! Parę lat asystentury u mnie to więcej niż twoje studia!

Dużo więcej! - pomyślałam. Dzięki niemu mogłabym wśliznąć się do zawodu jak po maśle, nawet bez konieczności zapisywania się do partii! Aż nie chciało mi się wierzyć! Gdy ochłonęłam z wrażenia, zrozumiałam, że szybciej, niż przypuszczałam, będę musiała się rozstać z moim dumnym Polakiem. Jednak różniliśmy się od Romea i Julii: Myśl o samobójstwie nigdy nie powstała w naszych głowach. Posmutniałam.

Chwilowo należało zachować całą rozmowę w ścisłej tajemnicy i zabrać się do egzaminów.

Właśnie zawitała do Moskwy ciotka Nina z mężem-reżyserem. Napisali wspólnie scenariusz i przyjechali do Centrali po wyrok: zatwierdzony lub odrzucony.

Nikomtu tu szczególnie nie zależało na tym, żeby gdzieś w Gruzji powstawały wspaniałe filmy. W Moskwie czekał na tę okazję cały sztab ludzi, którzy też musieli zarabiać na życie. Przydzielano więc prowincjonalnym autorom moskiewskich współscenarzystów. Wyjeżdżali służbowo do Tbilisi, gdzie spędzali czas na nieustannym bankietowaniu, bo Gruzja dla moskwian - to raj, winem i grappą płynący. Ponieważ między jedną a drugą ucztą

współscenarzysta cierpiał na ciężkiego kaca, a na domiar złego słabo znał miejscowe realia, nie przykładał się do pracy nad scenariuszem. Jego obowiązkowy wkład twórczy ograniczał się do spłodzenia jednej albo dwóch postaci Rosjan, którzy grali rolę starszych braci:

Wspierali i pouczali zacofanych tubylców.

Ciotka Nina zaprosiła mnie na obiad do hotelu Moskwa. Po obiedzie wujek udał się na pertraktację, a my z ciotką - na spacer. Znalazłyśmy się na Placu Czerwonym, dwa kroki od hotelu. Nagle ciotka stanęła jak wryta. Zobaczyłam, że jej wzrok skrzyżował się przez chwilę ze wzrokiem niewysokiego mężczyzny w szarym gabardynowym płaszczu i w miękkim kapeluszu. Nosił okulary, a może pincenez.

Wszystko trwało parę sekund. Coś błysnęło w jego aluminiowych oczach, poznał ciotkę, uniósł rękę do kapelusza, jakby chciał go uchylić. Ale nie uchylił, ledwie go musnął, jednocześnie rzucając szybkie, świdrujące spojrzenie na mnie.

- Dzień dobry - odpowiedziała ciotka po gruzińsku na jego niby-pozdrowienie.

I już go nie było. Zniknął w bramie Kremla jak cień. Poczułam dziwny niepokój.

- Kto to był? - zapytałam.

Ciotka ciągle patrzyła na bramę.

- Przecież to Beria - szepnęła. - Nie poznałaś?! Odwróciła się i prawie biegiem pociągnęła mnie w przeciwnym kierunku. Zdawało mi się, że już wiem, co błysnęło w jego oczach, kiedy spojrzał na ciotkę. Błysnęło w nich pytanie: „Dlaczego jeszcze żyjesz? Czyżbym przeoczył?!”

Nagle jak ostry dzwonek, bez żadnego związku, powróciło wspomnienie z wczesnego dzieciństwa - coś jak sen, a zarazem coś bardzo realnego: Bosa starucha w czerni szybko schodzi stromą ulicą, w pewnej odległości podąża za nią dwóch olbrzymów, ludzie uciekają do bram, bezdźwięcznie zamykają się okna... Powiało grozą...

Po chwili otrząsnęłam się i zaczęłam się zastanawiać, czy spotkanie z Berią można traktować jako dobry znak z nieba. Oto niedługo zostanę asystentką Cziaurelego, zacznę zarabiać, nawiążę kontakty, ba, niewykluczone, że poznam Berię osobiście! Zwykłemu śmiertelnikowi nic takiego nie mogłoby się nawet przyśnić.

Zdałam egzaminy i pojechałam na wakacje do Tbilisi, pełna nadziei na przyszłość.

Nie myślałam nikomu opowiadać o swoich planach. Ale matka była po zawale, czuła się nie najlepiej, postanowiłam więc podnieść ją na duchu i pochwaliłam się wspaniałą perspektywą zawodowych sukcesów. Nie wiedziałam, że z długiego filmu o bohaterze naszych czasów będą nici. Według relacji nie całkiem trzeźwego Chruszczowa Berię wkrótce zastrzelili koledzy z???. Cziaurelego zaś zesłano do Wytwórni Filmów Dokumentalnych w

Swierdłowski, gdzie natychmiast sfabrykował apologię Chruszczowa. Niestety, Chruszczow zignorował twórcze wysiłki Cziaurelego. Mastier musiał żyć na niższym poziomie niż amerykański student i wkrótce zszedł z tego świata.

Dużo puchu

Prawdopodobieństwo mojego udziału w realizacji filmu o Berii nie podniosło mojej matki na duchu, lecz ją przeraziło. Umilkła i zamyśliła się. Wiedziałam, że nie należy jej denerwować, ale wzbierała we mnie fala sprzeciwu.

- Ty jednak bardzo nie lubisz tego stroju i wszystkiego, co z nim związane - wycedziłam z przekąsem.

W spojrzeniu matki pojawiło się coś wrogiego.

- A za co mam go lubić?

- Wiem, że wasza rodzina niemało straciła - pouczałam ją dalej. - Ale czy nie potrafisz wznieść się ponad osobisty, partykularny interes?

Matkę aż poderwało.

- Jaka „wasza rodzina”?! A ty czyja jesteś?!

- No, nasza... - poprawiłam się. - Ale czy nie możesz spojrzeć na wszystko szerzej, z perspektywy konieczności dziejowej?

Nie wymyśliłam tych frazesów; zapożyczyłam je od pewnego znajomego, którego akurat gromiłam z całkowicie przeciwnych pozycji.

- Gdybym nie potrafiła się wznieść ponad mój partykularny interes... - Matka popatrzyła na mnie ironicznie, akcentując słowo „wznieść”. - Już dawno bym cię zadusiła własnymi rękami!

Znałam ten uśmiech. Zawsze wyprowadzał mnie z równowagi.

- Dusisz mnie od dzieciństwa! - wrzasnęłam. - Wpędzasz mnie w nerwicę! Zawsze stawiałaś mnie w sytuacji bez wyjścia! Nie pamiętasz?! Za każdym razem, kiedy miało się odbyć pionierskie zebranie, kazałaś mi łąć, że jesteś chora albo urządzasz wielkie sprzątanie, jakby to był dla nich argument! Zawsze wymyślałaś jakiś pogrzeb, żebym musiała szybko wracać do domu! Wołałaś tego dnia nie puścić mnie do szkoły, żebym tylko nie brała udziału w życiu naszej drużyny! Inne dzieci dostawały naszywki i belki, gwiazdki i funkcje, a mnie zawsze pomijano!

Później nie chcieli mnie już zwalniać, ale i tak tylko siedziałam w kącie, a do domu wracałam struchlęła, bo wiedziałam, że dostanę lanie! Wpadałaś w amok na dźwięk słów „komsomolskie zebranie”!

Mama słuchała blada i milcząca. Odwróciła się do ściany. Patrzyła na krople ściekające z sufitu po mokrym, zagrzybionym, położonym wprost na deskach tynku.

Nie wiem, jak długo tak stałyśmy. Zrobiło mi się przykro. Żałowałam tych słów.

Dotknęłam jej ramienia. Po chwili odwróciła się i przytuliła do mnie. Była bezradna jak małe dziecko.

- Jesteś niesprawiedliwa - szepnęła. - Straciłam na ciebie wpływ, gdy całą twoją klasę zapisali do Komsomołu...

Czułam się starsza od niej, bardziej cyniczna. Ale musiałam ratować twarz.

- Wiem o tych plotkach na temat Berii, że osobiście torturował więźniów, ale czego to ludzie nie gadają? Nie można wierzyć złym językom - powiedziałam pojednawczo.

- Masz rację - zgodziła się mama ze swoim dziwnym, tajemniczym uśmiechem. - Nie mam zamiaru ci przeszkadzać w karierze... To wielka szansa dla nas... Może wyprowadzimy się z tej nory?

- I stworzymy swój mały, prywatny raj! - ucieszyłam się.

- Mały, prywatny raj! - zaśmiała się mama i spoważniała. - Pamiętasz Martę?

Przyjeżdżała do nas z Zugdidi.

- Oczywiście - przytaknęłam. - Przenieśli ich do Zugdidi, bo jej mąż wpadł w narkomanię.

- Nie wiem... Chyba wpadł w narkomanię, bo przenieśli go do Zugdidi.

Zastanawiałam się, dlaczego matka porusza ten temat.

- Zdegradowali go? Co on właściwie robił?

- Awansowali go, i to bardzo! Zezwolili mu nawet kupować w zamkniętym sklepiku dla czekistów wyższej rangi, a nie jak dawniej - dla małych donosicieli.

Wiadomość o zamkniętych sklepikach nie zdziwiła mnie. Już od czasów wojny wiedziałam, że różne przedsiębiorstwa dostają żywność i rozdzielają ją na kartki i talony między zasłużonych fachowców i działaczy partyjnych według skrupulatnie stopniowanych zasług. W czasie wojny był to ciemny makaron i konserwy z amerykańskiej pomocy, a w latach siedemdziesiątych czy osiemdziesiątych - kawa rozpuszczalna, masło, a nawet kawior i wędzone łososie.

- Wiedziałaś, że on pracuje w bezpiece i... przyjaźniłaś się z nimi? - zdziwiłam się. - Ty?!

- Nie tylko ja, ale nawet Marta nie wiedziała! Zresztą słowo „przyjaźń” jest tu nie na miejscu. Przez pewien czas chodziłyśmy do jednej klasy, a potem przylatywała się wyplakiwać na moich potężnych piersiach. Wyobrażasz sobie lepsze piersi?

Rzeczywiście, piersi miała pokaźne, co prowokowało spojrzenia mężczyzn. Z powodzeniem mogły służyć do wyplakiwania łez.

- A jak się dowiedziała?

- Kiedy wpadł w narkomanię, nie mogła pojąć, skąd ma na wszystko pieniądze... bo pensję jej oddawał, z domu nie tylko nic nie ginęło, ale przeciwnie, przybywało im różnych przedmiotów... Robił jej kosztowne prezenty, które kupował w tym ich zamkniętym sklepiku. Złota biżuteria, stara porcelana, nawet komplet antycznych mebli...

- Skąd tam antyczne meble i porcelana?! - wykrzyknęłam z niedowierzaniem.

- Ze skonfiskowanych mieszkań ludzi zesłanych, rozstrzelanych, torturowanych!

Za każdą udaną prowokację czy donos mogli za bezcen kupić coś, co zagrabiono tym nieszczęśnikom!

- Takim jak my?

- Nigdy tak nie mów! - zdenerwowała się matka. - My mamy bardzo, bardzo dużo szczęścia, bo żyjemy! I ty, i twój brat, i twój ojciec!

- Tak... Oczywiście! - Znałam tę jej filozofię. - Więc co z tym donosicielem?

- Wtedy już nie musiał donosić... Kiedy wpadł w narkomanię, dopuścili go do udziału w przesłuchaniach... Protokołował czy tłumaczył... Ale Marta o tym nie wiedziała i zaczęła podejrzewać, że ma kochankę... jakąś bogatą staruszkę.

Chciała go nawet śledzić, ale on dostał rozstroju nerwowego i sam zaczął gadać.

Mama zrobiła pauzę i zapaliła astmatola.

- O czym zaczął gadać? - popędzałam ją.

- O różnych dziwnych rzeczach...

- Na przykład?

- Na przykład, że ludzi biją tak długo, aż skonają! Że trzymają ich po pas w wodzie... Prześladowało go straszne wycie ofiar. Opowiadał, że Beria nie tylko asystuje przy torturach, ale że czasami gwałci torturowane kobiety, gdy już mają połamane kości. Snuł te swoje sympatyczne opowieści i szprycował się coraz częściej.

- Skąd on brał narkotyki, jeżeli oddawał jej wszystkie pieniądze?

- O... o... o, tego w NKWD nigdy nie brakowało. Dostawał, ile chciał. Oni chętnie wpędzają ludzi w narkomanię, bo szmata jest zdolna do wszystkiego!

Narkomani zawsze służyli każdej policji i wszystkim inkwizytorom. Nie wiedziałaś?

- Dlaczego się z nim nie rozwiodła?! - zawołałam oburzona.

- Nie musiała, bo zaczął o wszystkim rozpowiadać znajomym i niedługo potem zniknął. Zresztą ona i tak nigdy by go nie zostawiła. Kochała drania do obłędu!

Nie dziw się! Najprzystojniejszy chłopak na kursie francuskiego, pięknie się nosił, szykował się na dyplomata, na ładne dziewczyny ani spojrzął i nagle zakochał się w Marcie...

- Rzeczywiście - mruknęłam. - Można by jej przyznać wszystkie zalety oprócz urody... Pamiętam ją wiecznie zapuchniętą od łez.

- Jego opowiadania nie sprzyjały rozkwitowi kobiecej urody.

- Czy oni ją też...? - zapytałam. - Nie widziałam jej od lat.

- To się rozumie... - Mama spojrzała na mnie smutnymi oczyma. - Przecież wiedzieli, że ona wie.

Musiałam bronić swoich pozycji. Z powodu jakichś makabrycznych opowiadań narkomana nie mogłam zrezygnować z darowanej mi przez los kariery.

- Majaki nałogowca! - zawołałam. - Po co Beria miałby gwałcić torturowane kobiety?! Miał na swoje usługi całą gwardię doborowych piękności! Same dobijały się do niego!

Mama spojrzała na mnie, zaniepokojona.

- Co masz na myśli?

- Pamiętasz Sałomkę? Dotarła do Berii, kiedy aresztowali jej matkę i brata. Nie wiem, czy doszło między nimi do czegokolwiek, ale przecież jej pomógł! Jak zresztą wielu innym!

Matka kiwnęła głową.

- Nieważne... Sałomka jest zbyt dyskretna, żeby zwierzać się przyjaciółkom. I ma rację!

- Tak czy inaczej, wypuścił jej krewnych, czy nie?

- Nie wypuścił, tylko kazał przenieść do kryminalistów, a wiadomo, że kryminaliści są bliżsi sercu naszej władzy niż polityczni... Owszem, nie przedłużono im wyroku, jak innym, a to rzeczywiście dużo, zwłaszcza że byli niewinni. Po zwolnieniu z łagru znaleźli się niby na wolności, ale daleko stąd, i nie mogli wrócić do domu. Uważasz, że to wielka łaska? To tylko trochę łżejsze zesłanie!

- Dużo łżejsze zesłanie! Pozwolili Salomee wozić im paczki! Kto miał takie możliwości?

- No właśnie! - oburzyła się mama. - Komu to było dane?! Sałomka jechała dwanaście dni w jedną stronę! Spróbowałabyś pojeździć w tamtych czasach pociągiem! A nie zastanawiałaś się, w jaki sposób kompletowała paczkę żywnościową?

Owszem, pamiętałam lata tuż przed wojną, kiedy stale polowaliśmy na cukier czy masło, a po chleb ustawiały się kilometrowe kolejki. Szukałam argumentów.

- Sałomka zawsze umiała się urządzać - przypominałam mamie. - Myślę też, że wołała jechać dwanaście dni, żeby jej bliskich nie spotkał los innych aresztowanych. Trzeba przyznać, że była dzielna.

Mama się zaśmiała.

- Niejedna kobieta byłaby równie dzielna, ale niestety, nie każdą Bóg obdarzył tak niezwykłą urodą i takim arystokratycznym nazwiskiem! A musisz wiedzieć, że ten twój wybitny komunista jest wyjątkowym snobem, łasym na arystokratki!

Też się zaśmiałam.

- Chyba przesadzasz. Pamiętasz zachwyty Łany, kiedy Beria awansował ją na primabalerinę? I kazał jej nadać tytuł Zasłużonej Artystki Republiki? A przecież nie pochodziła z arystokracji. Po prostu ma słabość do pięknych kobiet i tyle!

Za to uczciwie każdej coś załatwił! I żadnej nie pożarł! Nawet Lamary! - To wspomnienie bardzo mnie rozbawiło. - Niestety!... - westchnęłam. - Z moją urodą nic takiego mi nie grozi!

W oczach mamy dostrzegłam strach. Może w skrytości ducha, jak każda matka, uważała swoją córkę za piękność? Milczała, przyglądając mi się dłuższą chwilę.

- Co to znaczy „niestety”?! Żartujesz na ten temat z przerażającą lekkością!

- Drobiazg! - powiedziałam z kpiącym uśmiechem. - Cóż to jest w porównaniu z torturami, o których mi opowiedziałaś? Prawdziwa błahostka, a w zamian perspektywa awansu i kto wie... może nareszcie przestaniemy wdychać opary nafty, wilgoci i pleśni, nie wspominając już o śmietniku i publicznej ubikacji pod nosem! Uważasz, że to wysoka cena?!

- Myślę, że jak zwykle błaznujesz - powiedziała mama z nadzieją w głosie.

- Ani trochę! - zapewniłam ją. - Żeby wydostać się z tej dziury, mogłabym zrobić wszystko!

Twarz matki nagle wydała się obca. Była to mieszanina żalu, przerażenia i czegoś, czego jeszcze u niej nie widziałam. Zamyśliła się. Zadajemy sobie trudne zagadki, pomyślałam.

- Pewna znajoma, której męża też wzięli w nocy... - zaczęła matka niepewnie. -

Nie możesz jej pamiętać, byłaś za mała...

- Pamiętam wszystko! - zawołałam. - Chyba od dnia urodzenia!

- Przestań się chełpić!

- Opowiadaj - poprosiłam. Zamilkła. Wahala się. - Jestem już dorosła!

- Ona bardzo rozpaczała, kiedy go zabrali... Ale pozbierała się, bo ktoś jej wskazał dojście do tego łajdaka! Miała szczęście! Spodobała się władcy! Usiłowałam zgadnąć, o kim opowiada.

- Była ładna?

- W każdym razie na brak powodzenia nie narzekała - uśmiechnęła się mama. -

Teraz, po latach tego podłego życia, już nie jest ładna.

Uderzył mnie nagły smutek matki. Nie załamywała się w najtrudniejszych chwilach, nawet gdy nie miała czym nas nakarmić. Wołała: „Nosy do góry! Poczytam wam książkę kucharską! Najważniejsze, że jeszcze żyjemy!” Jej dewiza: „Wszystko w porządku, bo jeszcze żyjemy!” - ten program minimum i maksymalny optymizm, podobnie jak w polskim hymnie narodowym, trochę mnie irytowały, bo chciałam od życia dużo, chciałam mieć wszystko! Byłam gotowa do ostrej walki.

- Nos do góry! - przypomniałam jej. - Jest wspaniale, a będzie jeszcze wspanialej! Chleb bez katek! Jest masło i cukier, a czasami można nawet dopaść parówki! Życie jest piękne!

Oczy mamy zaiskrzyły się w wesołym uśmiechu.

- Biedne wy, biedne dzieci...

- Tak! Nawet nie wiemy, co to są karczochoy! - dokończyłam za nią.

Zaśmiałyśmy się. Ucieszyła się, że pamiętam jej powiedzenie sprzed lat. Te nie znane mi wtedy karczochoy urosły do symbolu upadku gruzińskiej inteligencji.

- A więc co z tą znajomą? - przypomniałam.

Beria i wszystko, co go dotyczyło, interesowało mnie teraz podwójnie.

- Wyznaczył jej spotkanie w ciemnym zaułku i wywiózł gdzieś daleko za miasto.

Kierowca zniknął... Nie łudziła się co do charakteru tego rendez-vous, ale nie pójść przecież nie mogła... Jak na złość była niedysponowana... Powiedziała mu o tym... Miała nadzieję, że przełoży spotkanie, że coś go ruszy i pomoże jej bezinteresownie... Nie знаła go. Odrzekł, że mu takie drobiazgi nie przeszkadzają. Może jej nie wierzył, a może właśnie tego pragnął? Bo zachował się jak zwierzę. Ten człowiek zawsze był żądny krwi!

- Czy jej pomógł? - zapytałam po chwili ciszy. Mama kiwnęła głową.

- W cztery dni później męża wypuścili. I niech jej nikt nie potępia!

- Ja jej nie potępiam! Zrobiłabym to samo! - wyrwało mi się. Mama popatrzyła na mnie smutnymi oczyma.

- A należałoby sądzić, że komsomolskie reguły nie pozwalają na kompromisy i folgowanie rozpuście! Czy ty rzeczywiście chcesz uczestniczyć w opiewaniu na ekranie cnót

tej wspaniałej postaci, wzoru do naśladowania dla radzieckiego człowieka?! - zawołała z gniewem.

Pochyliłam się ku niej.

- Musisz przyznać, że Beria nie postąpił jak prefekt Scarpia z Toski. Mógł przecież wykorzystać sytuację, a później rozetrzeć na proszek i ojca, i ciebie, i mnie, i jeszcze paru innych krewnych!

Mama cofnęła się gwałtownie.

- Co ty wygadujesz?!

- Pamiętam noc... rozmawialiście z ojcem do rana, a kiedy zgasiliście światło, weszło dwóch ponurych chamów w skórzanych kurtkach. Było to w mieszkaniu babci, kiedy jeszcze żyliśmy jak ludzie... Wyrzucili wszystko z szuflad, ale niczego nie szukali! Wiedziałam, że robią nam na złość!

- Nie możesz tego pamiętać! - krzyknęła mama. - Nie miałaś trzech lat! W ogóle nie takiego się nie zdarzyło! Przyśniło ci się! Nikomu nigdy nie opowiadaj takich bzdur!

- Owszem, zdarzyło się - powiedziałam stanowczo. - Zabrali ojca nad ranem, ty przez cały dzień leżałaś twarzą do ściany i nie odpowiadałaś na pytania, po mieszkaniu fruwał puch... bardzo dużo puchu... Chyba rozpruli poduszki. Potem przez wiele dni nikt nie potrafił zebrać resztek tego puchu, czepiał się każdego, kto przychodził. Mojego „Czerwonego Kapturka” rozdeptali na środku pokoju, bolały mnie oczy od gołej żarówki, która parzyła sufit, zielony abażur, też podeptany, poniewierał się w kącie... Potem już nigdy nie mieliśmy abażura, zasłanialiśmy żarówki gazetami... Byłam głodna. Nakarmiła mnie ciocia Maro, kiedy wróciła z konserwatorium. Zaczęła robić porządek, ale nic jej nie wychodziło. Siadła na kuchennym taborecie pośrodku pokoju i rozpłakała się...

Jeżeli opowiadam ci tylko sen, to wytłumacz mi, dlaczego od tego czasu nie mieszkamy w naszym pięknym mieszkaniu, tylko w tej strasznej dziurze? Dlaczego ojciec oszalał i długo musiałaś go leczyć? Dlaczego...

Nagle zobaczyłam, że kąciki warg mojej mamy błękitnieją. Mdląła. Chwyciłam nitroglicerynę, nakapałam na kostkę cukru i wsunęłam jej pod język, wyciągnęłam spod łóżka pojemnik z tlenem, włożyłam jej rurkę do ust, a potem zrobiłam zastrzyk. Zapach kamfory mieszał się z zapachem grzyba, który obficie pokrywał sufit i ściany, podlewany wodą z wanny sąsiadów z góry. Przyzwyczyłam się do ataków serca matki, ale nie chciałam ich wywoływać. Postanowiłam, że poszukam odpowiedzi gdzie indziej.

Od czasu do czasu udawało mi się wyciągnąć coś od ciotki Niny, ale ciotka niechętnie o tym mówiła.

Zadałam jej kiedyś podchwytliwe pytanie:

- Dlaczego ojca tak szybko wypuścili? Przecież jak biorą, to nie wypuszczają?

- Twój ojciec jest podobno niezastąpionym fachowcem - powiedziała.

Ileż ironii włożyła w słowo „podobno”!

- Podobno nie ma ludzi niezastąpionych - odparowałam jej cytatem ze Stalina.

Ale ciotkę niełatwo było wybić z konwencji przez nią wybranej.

- Ależ tak! Jest wspaniały w swojej dziedzinie! To mu trzeba przyznać - dodała prawie poważnie. - Prawdopodobnie potrzebowali go w tej jego radiostacji!

Niechętnie przyznawała ojcu jakiegokolwiek cnoty. Nie lubiła go, uważała za fałtłapę i sprawcę wszystkich nieszczęść matki. Ojciec wytrwał w swoim postanowieniu i nigdy nie wyniósł z radiostacji ani jednej żaróweczki czy śrubki.

Niczego nie potrafił załatwić na lewo. Jego dewizą było: „Nie dać się zbakierować!” Nie znajdował już czasu nawet na naprawę naszego radia.

- Ta twoja głupia praca w tej głupiej radiostacji! - złościła się ciotka, kiedy jeszcze do niej przychodził. - Komu ona jest potrzebna?! Czy nie możesz zrozumieć, że przez tę swoją kretyńską uczciwość robisz z siebie pośmiewisko?!

Jedyny sprawiedliwy! Z dwojga złego, lepiej byś wstąpił do partii. Od razu by ci podnieśli pensję i poszedłbyś w górę!

- Ale ja nie chcę iść w górę! - odpowiadał ojciec, udając, że nic go nie wyprowadzi z równowagi.

- No właśnie! - ucieszyła się ciotka. - Ty niczego nie chcesz!

Wszystko ci jedno, czy twoja żona i dzieci mają co na siebie włożyć, czy chodzą w łachmanach! Czy mieszkają jak ludzie, czy gniją w mokrej dziurze! - zachłysnęła się ze zdenerwowania.

- Nina, przestań! - błagała mama.

Bała się, że ojciec znowu dostanie ataku, ale Nina już nie mogła przestać.

- Jak wy mieszkacie?! Pogodziłeś się już z tą norą?! Czy zostanieie w niej na zawsze?!

Ojciec zbladł.

- Nie wiesz, dlaczego wylądowaliśmy na dnie?! - dusił się, zdenerwowany.

- Trzeba walczyć! Musimy wydostać się z latryny, do której nas wpychają! Zrobię wszystko, żeby moi synowie nie klepali biedy! Zmuszę ich, żeby wstąpili do partii! Skoro żyjemy wśród szakali, obowiązują szakale prawa!

Ojciec potracił karafkę i woda połała się po stole, ale nikt nie zrobił żadnego ruchu.

- Zawsze byłaś konformistką - powiedział przez zęby. - Nawet za mąż wyszłaś, żeby ratować własną skórę!

Na twarzy ciotki pojawił się nerwowy uśmiech.

- Powiem ci coś więcej - cedziła powoli i dobitnie. - Jeżeli już musimy żyć w gównie, to z dwojga złego lepiej robić komuś na głowę, niż dać się obsrywać!

Mama zrobiła się czerwona.

- Nina, jak ty się wyrażasz! Co się z tobą dzieje?!

- Milcz, głupia! - warknęła Nina.

Była starsza od mamy o kilka lat i uważała, że ma prawo ją tyranizować.

- Najwyższy czas, żebyś się wyleczyła z tych niedorzecznych ideałów, którymi nas faszerowano od kołyski! To są brednie dla głupich pańienek z pensji! A pańienek już dawno nie ma!

Ojciec wstał. Wziął mnie pod łokieć i mocno pociągnął do drzwi.

- Poziom tej dyskusji mi nie odpowiada - rzucił przez ramię. - Mariko, chodźmy!

Mama podniosła się posłusznie.

Na ulicy starał się opanować. Powiedział tylko:

- Więcej tu nie przyjdę.

Rzeczywiście, nikt już nie mógł go tam zaciągnąć nawet na imieniny wujka Dawida, męża ciotki Niny, chociaż bardzo go lubił i wcale mu nie przeszkadzało, że wujek był ideowym komunistą. Uważał, że Dawid jest męczennikiem w szponach ciotki Niny.

Wyklujcie mu uszy

Wujek Dawid wcale nie czuł się męczennikiem. Kochał Ninę czułą i niezłomną miłością, jak to potrafią bardzo silni mężczyźni. Inteligent w pierwszym pokoleniu, pochodził z głuchej gruzińskiej wsi, gdzie chłopci długo nie odróżniali Lenina od cara. W czasie wojny matka Dawida, Marina, usłyszała w radiu, że po ciężkich bojach Armia Czerwona wyzwoliła Stalingrad, i przybiegła do Niny, która coś pisała w cieniu rozłożystego figowca (rzecz działa się u rodziców Dawida, na wsi), z sensacyjną wiadomością:

- Leningrad wyzwolili!

- Chyba Stalingrad? - zdziwiła się Nina.

- A czy to nie jeden czort? - zatroskała się staruszka.

Ze zgrozą patrzyła na Ninę, wiecznie zatopioną w lekturze. Czytanie książek uważała za fanaberie nierobów z miasta. Dawid usiłował jej wytłumaczyć, że na tym polega praca Niny, ale nigdy tego nie zrozumiała.

- Za co wam tam płacą? - mruzczała ze zgrozą. - Kobieta powinna prowadzić dom, a u was zawsze bałagan i książki dokoła!

Tym bardziej podziwialiśmy Dawida, bo wbrew wszystkiemu ukończył nie tylko szkołę, ale i studia. Zaczął też drugi fakultet, wyższą matematykę, ale zrezygnował. Pociągnęło go coś innego. Już jako student zarabiał na życie, pichcąc recenzje z czego się tylko dało: z książek, filmów i ze spektakli...

Pisał jak świadomy proletariusz chłopskiego pochodzenia i władza go polubiła:

Znalazła swojego człowieka. Wuj uważał, że wszystko, do czego w życiu doszedł, zawdzięcza partii, co w pewnym sensie nie mijalo się z prawdą. Zaczęto go hołubić i mianowano krytykiem proletariackim. To jego między innymi miał na myśli Beria, mówiąc na zebraniu tbiliskiego aktywu partyjnego:

- Pojawiła się u nas zupełnie nowa, sowiecka inteligencja. Wywodzi się w dziewięćdziesięciu procentach z klasy robotniczej i chłopstwa!

Znaczyło to, że około dziewięćdziesięciu procent rdzennej inteligencji już wymordowano, a w tej liczbie narzeczonego ciotki Niny, jej matkę i brata. Na razie. Nina czekała na swoją kolej. Starszy brat Borys natomiast wykazał się niezawodną intuicją i zdrowym instynktem samozachowawczym.

Pewnej nocy wygarnięto z domów członków rządu niepodległej Gruzji i działaczy różnych partii. Bolszewików chwilowo pozostawiono w spokoju, ale w Gruzji można ich było policzyć na palcach jednej ręki. Załadowano wszystkich na ciężarówki, wywieziono za miasto, rozstrzelano nad wąwozem i zalano niegaszonym wapnem.

Potem, aż do roku 1941, dokonywano regularnych aresztowań i wywożono ludzi według niezrozumiałego jeszcze klucza. Dwie duże fale aresztowań nastąpiły w latach 1932 i 1937. W roku 1941, kiedy Hitler napadł na ZSRR, władze zajęły się rozpaczliwą obroną i na czas wojny zrezygnowały z masowej likwidacji ludności.

Więc starszy brat Niny, nazywany w domu Boba, nie czekał, aż sobie o nim przypomną. Związał z Gruzji, zniknął gdzieś na północy i wszelki śluch po nim zaginął aż do roku 1956, kiedy to nagle odezwał się z głębi Rosji.

Ciotka Nina nie myślała ułatwiać pracy NKWD i nie wyjechała na własny koszt.

Zresztą odkryła powód wywózki swojej rodziny. Jej zdaniem Beria żywił zadawnioną urazę do jej matki i ciotecznej siostry i dlatego kazał aresztować najpierw ukochanego syna matki - Alikę, a potem ją samą. Teraz ciotka martwiła się o cioteczną siostrę, Kietusię, bo... Bo jeszcze przed rewolucją 1917 roku dwie licealistki, Nina i Kietusia, nie kochały zaborczego caratu rosyjskiego. Jak większa część ówczesnej inteligencji, wyznawały poglądy

lewicowe i często brały udział w konspiracyjnych zebraniach. Marzyły o sprawiedliwej przyszłości, gdy ustanie niszczenie gruzińskiej kultury i rusyfikacja Gruzji. Obie romantyczki działały w konspiracyjnych kółkach i kochały niejakiego Lwa Trockiego - wówczas bożyszczę tłumów. Aby go posłuchać, porzucały każdą rozrywkę i przemierzały ogromne połacie Rosji. Dziewczęta dokoła nich piszczwały i mdlały z zachwytu, jak teraz na koncertach ulubionych idoli.

Nina, wysoka, długonoga, z czarnymi włosami prawie do ramion, nie uchodziła za piękność. Miała przydługi nos. Ale jej twarz żyła, a duże oczy błyszczały inteligencją. Kietusia natomiast wywoływała powszechny zachwyt. Bardzo kobieca, delikatna, o aksamitnym głosie, zniewalała mężczyzn i kobiety. W trzydzieści lat później, kiedy wróciła z zesłania, ciągle przyciągała spojrzenia i chociaż przypominała nieco wysuszoną mumię, jakby na przekór wszystkiemu nadal była piękna.

Na owe tajne zebrania przychodził też Ławrientij Beria. Kietusia nie zwróciła nań uwagi, ale Nina spostrzegła go natychmiast. W wiele lat później opowiadała mi, że wtedy Beria miał w sobie coś fascynującego.

- Z trudem powstrzymywałam się, żeby na niego nie patrzeć - przyznała i oczy jej zabłysły. - Miał takie przenikliwe spojrzenie! Coś emanowało z jego twarzy... jakaś siła, magnetyzm... Była to na pewno twarz okrutnika, ale mnie hipnotyzował.

Bałam się, że na jedno skinienie mogłabym mu dobrowolnie wejść do paszczy, jak królik do gardzieli boa dusiciela.

Na szczęście Beria wtedy paszczy jeszcze nie rozwierał. Ów brzemienny w tragiczne skutki incydent wydarzył się w kilka lat później, po wkroczeniu Armii Czerwonej do Gruzji. Nina wraz z matką i Kietusią przechadzały się po nadmorskim bulwarze w Suchumi. Pech chciał, że właśnie przejeżdżał w otwartym samochodzie Beria. Już został czekistą i czekała go nie lada przyszłość, ale na razie niewiele znaczył. Jechał powoli, rozglądał się wkoło, może już się przymierzał do roli właściciela tych wszystkich ludzi. Zauważył dziewczęta i uklonił się.

Kietusią nie pamiętała go i zignorowała, ale Nina uśmiechnęła się radośnie i rzuciła przyjazne „dzień dobry”. Matkę Niny oburzył ten niegodny panny z dobrego domu wybryk. Gdyby Beria znał obowiązujące zasady dobrego wychowania, nie powinien był zaczepiać osób, którym nie został przedstawiony. A jej córce nie przystało na ukłon odpowiadać, bo mogłoby to ośmielić niepożądanego nadskakiwacza. Więc matka skarciła Ninę, wypowiadając dość głośno coś niepoehlebnego o Berii.

Beria był pamiętliwy. W latach trzydziestych doszedł do władzy i stopniowo gromadził w swych rękach wszystkie nici. Po aresztowaniu matki i brata Nina, choć uznała, że jej osobiście nic nie grozi, bo przecież odpowiedziała na ukłon Berii, co noc nadśluchiwała kroków i cichego pukania enkawudzistów. Zasypiała na chwilę i budziła się z krzykiem, a w dzień pisała błagalne listy do Stalina, do Berii i gdzie tylko mogła, by podano jej miejsce pobytu jej bliskich i wysokość wyroków. Odpowiedziano jej tylko raz: „Został(a) zatrzymany(a) bez prawa do korespondencji”.

Czas płynął, a jej tragedia stawała się banalna. Nie znalazłaby w Gruzji prawdziwie inteligentnej rodziny, w której kogoś by nie aresztowano „bez prawa do korespondencji”. Żadnych innych informacji nie udzielano.

Czas więc płynął, a po Ninę nie przychodzili. To potwierdzało jej teorię, ale trzeba było coś ze sobą począć. Ponieważ w ankiecie musiałyby się przyznać, że część jej krewnych wysiedlono, a część uciekła za granicę, nie mogła marzyć o studiach ani o żadnej dobrze płatnej pracy. Dzięki znajomościom objęła stanowisko sprzedawczyni w księgarni. Pensji nie starczało na kupienie byle jakiej sukieneczki, ale za to mogła sobie czytać, ile chciała, i rozmawiać z miłośnikami książek.

Do księgarni wstępował codziennie młody krytyk proletariacki, członek kolegium nowego miesięcznika, wysoki, barczysty i małowówny, przyszedł mój wuj - Dawid.

Pokazała mu opowiadanie, które sama napisała. Spodobało mu się i opublikował je, oczywiście pod pseudonimem, w swoim piśmie. I pochwalił autorkę w recenzji.

Czujni wężyciele bez trudu wykryli, kto się ukrywa pod pseudonimem. Krytykowi proletariackiemu polecono odszczekac wszystko, co o twórczości Niny napisał. A Dawid, zamiast odszczekac, ożenił się z nią.

Ktoś później złośliwie skomentował, że choć przyjazne „dzień dobry” rzucone Berii uratowało ciotkę od zesłania, to jednak wołała się dodatkowo podeprzeć wujkiem Dawidem, członkiem partyjnej nomenklatury. Strzeżonego pan Bóg strzeże.

Nie przypuszczam, by była to ze strony ciotki zimna kalkulacja.

Wysoki, silnie zbudowany wujek Dawid, o grubo ciosanej twarzy, trochę przypominał Myśliciela Rodina i mógł się podobać kobietom. Brzydali zresztą zaczęło lansować francuskie kino; choćby Gąbina na początku lat trzydziestych.

Nina marzyła o karierze reżyserskiej, a że z powodu pochodzenia nie miała żadnych szans, kazała mężowi zostać reżyserem filmowym. Wpatrzony w nią i zachwycony każdym jej pomysłem, zaraz zmienił zawód.

Swój pierwszy film nakręcił za namową Niny i przy jej aktywnej współpracy nad scenariuszem. Była to komedia satyryczna pod tytułem „Raj utracony”, zrealizowana w 1937 roku. Zaraz złożono donos, że film jest apologią szlachty.

Wstrzymano udźwiękowanie i sprawa trafiła do... Berii. Wujek i ciotka, bliscy zawału, spakowali walizeczki i czekali na aresztowanie.

Beria oglądał film sam i jak później wyszeptał kinotechnik, co chwilę radośnie cichotał. A po projekcji kazał reżyserowi wyciąć sekwencję raj, bo jak wiadomo, raj mógł być tylko w rzeczywistości radzieckiej.

Mimo ostrych cięć film cieszył się ogromnym powodzeniem i wszedł do historii gruzińskiego kina. Podsądni już się nie martwili o luki w dramaturgii, spowodowane cięciami. Cieszyli się, że uszli z życiem. Oduczono ich skutecznie tak zwanych śmiałych tematów.

Pożycie małżeńskie wujostwa układało się szczęśliwie, ale nie bez konfliktów.

Nina nie odznaczała się łatwym usposobieniem. Miała ku temu powody. W roku 1937 aresztowano Kietusię i jej męża. Mąż Kietusi, młody, sławny dyrygent Jewgienij Mikeladze, którego Szostakowicz nazywał chlubą radzieckiej dyrygentury, zyskał renome na Zachodzie. Powróciwszy z tournée po Europie i Ameryce, odniósł wielki sukces na koncercie w gmachu tbiliskiej opery. W loży siedział sam Beria. Kiedy obsypany kwiatami dyrygent zszedł ze sceny, podeszło doń dwóch smutnych panów i wraz z kwiatami wepchnęło do czarnego samochodu. I wszelki słuch po nim zaginął.

Można się było tego spodziewać: Ludzi odwiedzających kraje kapitalistyczne od razu wywożono na jedną z wysepek słynnego archipelagu. Jewgienijowi Mikeladzemu pozwolono na jeden koncert w rodzinnym mieście, bo Beria był wielkim koneserem muzyki klasycznej i miał ochotę jej posłuchać pod batutą tak zdolnego dyrygenta.

Jak dowiedzieliśmy się w dwadzieścia lat później, torturowano go przez czterdzieści osiem dni, żeby się przyznał do szpiegostwa na rzecz Francji czy Anglii. Połamano mu wszystkie kości i wykłuto oczy. Wtedy w pokoju tortur zjawił się osobiście Ławrientij Beria. Dyrygent nie mógł pojąć, że ten, który bił mu brawo na koncercie, kazał go zaraz potem aresztować. Jak wielu innym i jemu się zdawało, że zaszła jakaś fatalna pomyłka!

- Panie Ławrientij! - krzyknął ostatkiem sił. - Proszę im powiedzieć, że jestem niewinny! Pan przecież wie!

Beria pochylił się nad aresztowanym.

- Skąd wiesz, że to ja? Przecież nie masz już oczu? - zapytał cicho.

- Jestem dyrygentem, mam słuch... - wymamrotał biedak. - Poznałem pana po głosie.

- Wyklujcie mu uszy! - rozkazał Beria.

Jego żonę Kietusię wzięli w parę dni później, odrywając od dwojga małych dzieci.

Nie był to ostatni cios zadany rodzinie ciotki Niny. W tym samym roku aresztowali matkę Kietusi, czyli ciotkę Niny, Marię, i jej męża, ojca Kietusi.

Po aresztowaniu całej rodziny Kietusi Nina wpadła w jeszcze większą depresję.

Już nie rozumiała, z jakiego klucza biorą.

Ojciec Kietusi, Mamią Orachelaszwili, lekarz z zawodu, w młodości zaczął aktywnie działać w antycarskiej konspiracji, uchodził za ideowego rewolucjonistę, a nawet współpracował z Leninem! Jego żonę, Marię, działaczkę społeczną, mianowano Ludowym Komisarzem Oświaty Gruzji. Wszystkim się wydawało, że nic nie może zachwiać ich pozycji.

Więc ciotka Nina przestała cokolwiek rozumieć, najbardziej zaś przerażają nas rzeczy niezrozumiałe. Jej nerwicę skutecznie pogłębiał słowotok z radia. Od rana do późnej nocy tłumaczono nam, że czuwa nad naszym bezpieczeństwem NKWD, towarzysz Beria i sam Stalin, osobiście. Właściwie co trzecie słowo, którym nas bombardowano, brzmiało: STALIN. „Niech żyje Stalin! Stalin - nasz ojciec! Z imieniem Stalina na ustach!”

Tak, teraz już wszystko robiliśmy z imieniem Stalina na ustach. Kiedyś, gdy ciotka Nina rozmawiała z mamą ściszym głosem, a mówiły zawsze szyfrem, usłyszałam nagle jej histeryczny krzyk:

- Alik! Zamknij to radio! Jak temu człowiekowi się nie znudzi od rana do wieczora słuchać o sobie! Jak on się nie porzyga od tego chóru lizusów?!

Mama dopadła Niny i przykryła jej usta dłonią.

- Przestań! Zgubisz nas wszystkich! Zgubisz swoje dzieci! - szeptała.

Do pokoju wbiegł Alik, młodszy syn Niny.

- Zamknij okna! - rozkazała mama.

- Co ci się stało? - Alik nie mógł wyjść ze zdumienia. - Przecież w radiu zawsze mówią o Stalinie! Czego się nagle czepiasz?!

- A żeby on zdechł! Żeby go wzięli wszyscy diabli! - wołała ciocia, już nieco ciszej. - Za wszystkie cierpienia naszych bliskich!

Patrzyliśmy na nią, bladzi z przerażenia.

Utkwił mi w pamięci jeszcze jeden epizod. Ze starszym synem ciotki Niny oglądaliśmy album poświęcony wojnie japońsko-rosyjskiej. W mieszkaniu ciotki Niny stopy książek piętrzyły się aż po sufit. Korzystając z nieuwagi dorosłych, wyciągaliśmy z półek tomy ukryte przed dziećmi. Kuzyn grobowym głosem odczytywał podpisy pod ilustracjami i

straszył mnie opisem wymyślnych tortur, zadawanych przez Japończyków nieszczęsnym Rosjanom. Siedziałam struchlala.

Matka i Nina rozmawiały ściszymi głosami w sąsiednim pokoju, a wujek jak zwykle czytał gazetę od deski do deski, od nagłówka po stopkę redakcyjną.

- Nina! - usłyszałam jego podniecony głos. - Berię mianowali szefem NKWD!

- Przecież jest szefem NKWD! - odparła ciotka Nina. - Dziwne, że tego nie zauważyłeś!

- Ale teraz stanął na czele NKWD całego Związku Radzieckiego! - zawołał Dawid. -

Czy ty to rozumiesz?! Dwóch Gruzinów na czele pierwszego w historii państwa budującego komunizm! Czy zdajesz sobie sprawę z ciężaru gatunkowego tej nominacji?!

- Jak dotąd zdaję sobie sprawę, że aresztują i mordują każdego, kto choć trochę rusza mózgiem! - zawołała ciotka ze złością.

- Proszę nie szerzyć kontrrewolucji w moim domu! - oświadczył Dawid z patosem.

- Nie waż się do mnie tak mówić! Nigdy się tak do mnie nie odzywaj! - wybuchła ciotka. - W dawnych, przyzwoitych czasach nie przyjęto by cię do naszego domu nawet na lokaja!

Przestraszona, wybiegłam do sąsiedniego pokoju i zobaczyłam, jak zabytkowy nożyk do rozcinięcia papieru, rzucony przez ciotkę, trafia Dawida w szyję. Trysnęła krew. Trafienie nie wydawało się zamierzone. Nina stała w drugim końcu pokoju.

Wzburzona, nie mogła dokładnie wycelować. Ze zdumieniem wpatrywała się w strużkę krwi i nie uczyniła kroku. Moja matka podbiegła do Dawida, wyciągnęła nożyk z szyi i usiłowała palcami zatamować krew.

- Szybko! Czysty ręcznik! - krzyknęła. - Jodynę!

Nina się nie ruszyła. Wezwano pogotowie. Dawid przebaczył jej. W głębi duszy musiał być prawdziwym chrześcijaninem.

Jesteśmy tylko białymi myszkami...

Jak potrafi się zmienić wyraz ukochanej twarzy... Widziałam już błysk obłędu w oczach ojca. Tego dnia niespodziewanie wrócił do domu, chociaż miał dyżurować w swojej radiostacji. Minął mnie w bramie bez słowa. Na próżno szarpałam go za poły marynarki. Jego oczy, nienaturalnie błyszczące i nieruchome, wpatrzone w jakiś punkt, przejęły mnie takim lękiem, że aż poczułam ucisk w żołądku. Mama akurat ogrywała w sześćdziesiąt sześć sąsiada, studenta weterynarii, i drwiła z niego okrutnie.

Przeigrana oznaczała wyprawę po wodę lub do sklepu, albo sprzątanie balkonu.

- Nie siadaj do gry z mistrzami! - śmiała się mama. - Najpierw potrenuj, bo zostaniesz moim niewolnikiem do końca życia!

Wyszłam na chwilę do obskurnego wychodka koło śmietnika, a gdy wracałam, zobaczyłam ojca. Stał w drzwiach naszej nory i przez chwilę wpatrywał się w mamę, która rzuciła karty i wstała mu na spotkanie. Już wiedziała, że z ojcem niedobrze.

- Zdradzasz mnie! - zagrział ojciec triumfalnie. - Zdradzasz mnie, kiedy tylko się odwrócę! Odkąd poznałeś tego kryminalistę, który każe nam śpiewać hymny na swoją cześć, stałeś się czarownicą! Oni wszystkich wykręcają na lewą stronę!

Wszystkich!

Sąsiad też się podniósł i usiłował ojcu wytłumaczyć, że po prostu grali w karty.

- Nic złego nie robiliśmy - przekonywał płacząco.

Ojciec uderzył go z całej siły. Chłopak zatoczył się i upadł na stół. Gdy się wyprostował i chciał dopaść ojca, mama już stała między nimi.

- Uciekaj stąd! Ja się nim zajmę! - Szturchnęła studenta łokciem w brzuch. -

Szybko!

Nic nie rozumiejąc, chłopak wyskoczył, przerażony, a ojciec zabrał się do demolowania nędznych sprzętów, jakie nam jeszcze zostały. Zdemolował nawet nasz jedyny kuchenny stół, który służył do wszystkiego; noga rozleciała się w drzazgi.

Matka spokojnie patrzyła na tę pasję niszczenia. Czekala, aż się ojciec zmęczy.

Rozplakałam się i przypadłam do niego.

- Tato, przestań!

Odepchnął mnie z całej siły. Wylądowałam w kącie, uderzając się boleśnie o ścianę.

- Mała wampirzyca! Dziecko sadysty! - krzyknął ojciec i złapał mnie za gardło. -

Zabiję was wszystkich! I jego!

Ale mama już natarła na ojca. Kiedy dostawała ataku furii, była bardzo silna.

Powaliła go na podłogę.

- Dawaj sznur do bielizny! - rozkazała.

Pobiegłam do sąsiadki, bo sznur był wspólny. Kiedy wróciłam, ojciec leżał nieruchomo pod ciężarem matki, a w jego oczach czaiła się nienawiść.

Wykrzywił twarz, usiłując uwolnić rękę.

- Biegasz na orgie, co?!

- Tak... tak... tak... - potwierdziła mama pospiesznie. Omotała go sznurem i przywiązała do nogi łóżka. Pomogłam jej przeciągnąć sznur pod ciałem ojca, chociaż wszystko we mnie się buntowało.

Mdliło mnie. Matka wstała.

- Ciągnie cię do tego wyrodka, co?! - zasyczał ojciec.

- Od urodzenia marzyłam o spotkaniu ze smokiem oko w oko! Nie ma nic bardziej podniecającego od jego martwego spojrzenia! - przytaknęła matka. - Zwłaszcza kiedy się ma pocerowaną, spraną do szarości bieliznę, która rozłazi się w rękach!

Cóż to za rozkosz! Przecież ja nie mam nawet przyzwoitych majtek!

I wybiegła z pokoju.

- Nigdy ci tego nie wybaczę! - dusił się ojciec.

Po chwili zaczął mnie prosić, bym go rozwiązała. Pierwszy raz w życiu bałam się ojca i pierwszy raz w życiu było mi go żal.

- Opowiedz mi bajkę! - poprosiłam.

Pomyślałam, że kiedy zaczniesz mi opowiadać bajkę, będzie tak pięknie jak dawniej!

- Najpierw mnie uwolnij - powiedział, patrząc w sufit. Wyszłam na balkon. Z pokoju dobiegały przejmujące jęki ojca.

- Co się u was dzieje? - zapytała sąsiadka, która właśnie wracała z targu z koszykiem bakłażanów.

- Ojca boli brzuch - zełgałam.

Teraz wszystkie sąsiadki patrzyły na mnie podejrzliwie ze swoich balkonów.

- Mama pojechała po lekarza - tłumaczyłam.

Wśród naszych krewnych i powinowatych pamiętam co najmniej dwunastu lekarzy. Na każde zawołanie matki któryś z nich natychmiast przybiegał. Korzystała z ich pomocy tylko w wyjątkowych wypadkach. Sama umiała rozpoznać chorobę i udzielić pierwszej pomocy.

Po godzinie rzeczywiście wróciła z sędziwym doktorem. Zrobił zastrzyk i po chwili ojciec zasnął. Lekarz zaglądał mu pod powieki, badał puls i gardło.

- Musimy zawieźć go do szpitala - powiedział. - Przyślę karetkę.

- Nie! Tylko nie to! - stanowczo odparła matka.

- Bierzesz ciężar ponad swoje siły.

Lekarz patrzył na mamę z taką czułością, że aż się odwróciła. Nie znosiła sentymentów.

- Będziesz się strasznie męczyć... Nie dasz sobie rady.

- „Coraz lepiej nam się żyje, coraz weselej nam się żyje” - Mama zanuciła słowa piosenki, znanej nam z radia. - Nie doceniasz mnie. Jestem bardzo silna.

Lekarz patrzył na mamę z uznaniem. Wypisał zaświadczenie, zostawił zastrzyki i pigułki.

Na następną wizytę przyszedł z walizeczką, pamiętającą czasy cara Mikołaja II.

Przycupnęłam za wezglowiem żelaznego łóżka, z braku szafy obwieszonym naszymi łachami. Mama zdjęła ze stołu książki i garnki, przetarła blat i wyszła. Lekarz rozłożył na nim różnokolorowe klocki, młoteczki i słoniki. Wziąwszy dwie jednakowe kulki, spytał ojca, czym się od siebie różnią.

Ojciec zaśmiał się, rozbawiony.

- Jak to przyjemnie poczuć się znowu przedszkolakiem... Chętnie bym się z panem pobawił, doktorze, gdybyśmy mogli zmienić rzeczywistość...

- Wiem, że cię bardzo przestraszyli - powiedział lekarz. - Ale musisz wrócić do tej trudnej rzeczywistości. Nikt nam jej nie zmieni na lepszą.

- Wrócić to ja będę musiał tam, skąd mnie wypuścili... - odparł ojciec. - Dali mi tylko odroczenie.

- Jeżeli chcesz, mów... ulży ci - poradził lekarz. Ojciec zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie o to chodzi... - powiedział szeptem. - Oni zamordowali człowieka... Czuję, że jestem wplątany w jakąś potworną machinację. Chcą mi dać jego nazwisko! Mam przestać istnieć! Mam zmienić skórę! Nie mogę tak żyć i nie mogę się zabić!

- To nieprawda - zaprzeczył lekarz. - Wiem, o kim mówisz. On umarł śmiercią naturalną... na uremnię! Nie masz sobie nic do wyrzucenia. Przysięgam! Chyba mi wierzysz?

- I ty, Brutusie?... - uśmiechnął się ojciec z goryczą. - Wiem, że go zatruli blekotem... To ziele o niewinnym wyglądzie natki... Znam te objawy! Teraz chcą mnie wysłać do Moskwy! - Ojciec mówił coraz szybciej. - Po co ja mam tam jechać?!

Nie chcę jechać do Moskwy!

- Obiecuję ci, że nie pojedziesz! - wszedł mu w słowo lekarz. - Uwierz mi! Nie ruszą cię z Tbilisi! Załatwię ci wariackie papiery!

Ojciec nie wydawał się przekonany.

- Dlaczego oni schowali moje kalosze? Niech mi je natychmiast zwrócą! - Nagle chwycił lekarza za rękę. - Czy stał pan kiedyś przez parę godzin... trzy dni... sam już nie wiem... po kolana w wodzie? - zapytał nagle.

- A ty stałeś?!

- Stałem w ciemnym, zamkniętym słoju, bałem się oddychać, żeby nie zużywać powietrza... Jestem tylko białą myszką...

Ja też bałam się oddychać. Czułam się jak Tomek Sawyer i Hukk Finn, kiedy ciemną nocą stali się przypadkowymi świadkami zbrodni popełnionej na cmentarzu.

Chwyciłam kurczowo spodnie ojca, wiszące na oparciu łóżka. Wszystkie łąchy zleciały mi na głowę.

- Wynoś się stąd! - zawołał ojciec. - Dziecko potępionych rodziców! Twoja kolej jeszcze nie nadeszła!

Wybiegłam z pokoju. Mama siedziała na balkonie, z książką na kolanach. Ale nie czytała. Patrzyła przed siebie tępo, bez żadnego wyrazu. Wstała, gdy lekarz wyszedł od ojca.

- Musisz go natychmiast oddać do szpitala! Nie dasz rady! To się będzie powtarzać!

- Po moim trupie - odparła mama cicho. - Znam nasze szpitale! On tego nie wytrzyma. A ja już wiem, jak z nim postępować!

- Obawiam się, że się mylisz, ale cóż... - westchnął lekarz.

- Najgorsza jest ta niepewność. On ciągle na nich czeka. Zastrzegli, że go zwalniają tymczasowo...

- To dopiero sadyzm! - szepnął lekarz, zaciskając pięść. - Jakie jeszcze tortury będą na nas wypróbowywali?! On ma rację... Jesteśmy tylko białymi myszkami...

- Kazali mu wyszkolić młodych fachowców - dodała mama. - Mają go zastąpić po jego aresztowaniu.

Lekarz już nic nie mówił; zacisnęły mu się szczęki. Pocałował mamę i odszedł.

Słońce zaszło i sąsiedzi wpełzli ze swoich pokojów. Na stolikach szykowano kolację. Ojciec też wyszedł i usiadł obok mamy. Na balkonie, za przepierzeniem, jadł kolację student weterynarii ze swą starą ciotką. Ojciec podszedł do przepierzenia i wyciągnął dłoń przez szparę.

- Przepraszam cię - powiedział ciepło. - Zdaje się, że zachowałem się niewłaściwie...

Student uścisnął dłoń ojca.

- Nieważne - wymamrotał. - Bóg ci odpuści.

Przy kranie na środku podwórka krzątała się z wiadrami Nanula, przywiedła stara panna z długim nosem i rozpuszczonymi do pasa włosami.

- Ofelia, gena manaster! - wyrecytował ojciec.

Cytat po ormiańsku wywołał salwę śmiechu w amfiteatrze podwórkowych balkonów. Od tej chwili wszyscy nazywali Nanulę Ofelią. Biedaczka z niczym nie kojarzyła tego przezwiska, bo nie czytała Szekspira.

- W mojej nowej roli powinienem bez przerwy sypać sentencjami, jak prowincjonalny kabotyn - powiedział ojciec do mamy. - Jak na wykształconego wariata przystało... Szkoda, że posługuję się tylko cytatami. Powinienem sam coś mądrego wymyślić.

Objął matkę i położył głowę na jej ramieniu. Zamknął oczy.

Ucieszyłam się, że wszystko układa się dobrze i że może ojca nie będą już nawiedzać te ataki. Czulałam się szczęśliwa.

Nazajutrz rano ojciec poszedł do radiostacji i nie pokazał się w domu przez kilka dni. Gdy wreszcie przyszedł, wywołał awanturę za bałagan w naszej norze, rzucił się na łóżko, nakrył głowę poduszką i zasnął. Zauważyłam, że cały czas porusza palcami nóg.

Coraz więcej czasu spędzał w radiostacji. Niby to kontrolował pracę techników.

Wkrótce przydzielono mu mieszkanie z oknami wychodzącymi na druty kolczaste.

Nieźle się tam czuł. Niekiedy ściągał nas z bratem do siebie. Mama nie znosiła widoku drutów, zostawała w domu.

Bez ojca zrobiło się pusto w naszym pokoiku, a był to pokój niezbyt wygodny dla kilkuosobowej rodziny: łóżko, stół, na którym zawsze panował nieopisany bałagan, półki we wnęce i nocny stolik. W miejsce roztrzaskanej przez ojca nogi podłożyliśmy piramidkę książek. Sprzątać mama nigdy nie potrafiła. Zresztą cały wolny czas spędzała nad książką. Jeżeli nie zasiadała do kart. Grała z pasją, jak prawdziwa hazardzistka, i wszystkich ogrywała. Niestety, stawki były symboliczne. Wydawało się, że w ogóle nie myśli o ojcu i nie odczuwa jego braku.

- Mariko - pytała sąsiadka - jak ty możesz żyć w takim bałaganie? Trzeba by posprzątać.

Mama podnosiła oczy znad książki, omiatała nieprzytomnym spojrzeniem pokój, wreszcie wzdychała jak dziecko.

- Trzeba by! - stwierdzała żałośnie. - Ale jak?!

Czasami przyjeżdżała ze wsi stara niańka mamy. Siadała ciężko, rozglądała się ze zgrozą dokoła, załamywała ręce i wybuchała płaczem.

- Biedna ty, biedna, moja mała Mariko! Na co ci przyszło! Całe szczęście, że twoja matka nie żyje, umarłaby z rozpaczy!

I otarłszy łzy, zabierała się do sprzątnięcia. Wynosiła kubły śmieci i szorowała wszystko wodą i mydłem, jeżeli miała mydło. Coś jakby się rozjaśniało w naszym życiu. Przywoziła po parę garści mąki, pajdy wiejskiego chleba i trochę owczego sera. Wydawała przyjęcie. Ze łzą w oku wspominała te wspaniałe czasy, kiedy na wsi nie było kołchozu, a wyzyskiwała ich nasza babcia.

- To była anielska wyzyskiwaczka! - wołała, wznosząc ręce do góry. - Niech Bóg da jej wieczne życie w raju!

I zaczynała snuć długie opowieści, jak to babcia wróciła z zagranicy z dyplomem lekarza i z córeczką Mariką, moją mamą, i trafiła na epidemię cholery.

- Kazała nam wszystko przegotowywać! Zdrowym nie pozwalała jeść zimnego, a chorych zawijała w gorące prześcieradła, kazała huścić, nacierać i masować... I wyleczyła mojego Sylwestra! - Wznosiła znowu oczy do nieba. - Ilu ludzi uratowała!

I nikomu niczego nie skąpiła! Zrywaliśmy z jej drzew tyle owoców, ile dusza zapragnęła!

- Więc i tam panował bałagan? - zapytałam z dezaprobatą. Staruszka aż się zakrztusiła.

- Dziecko! Jak oni ci zamęcili w głowie! Wysprzątawszy, co mogła, wracała na wieś, a stopy śmieci, nie wiadomo jakim cudem, znowu rosły w naszym pokoju.

Człowiek - to najsilniejszy wielbłąd

Któregoś roku udało się ciotce Ninie wśliznąć do ekipy filmowej w charakterze asystentki reżysera. Zatrudniła więc służącą Marusię. Marusia przyjechała z Rostowa. Mówiono jej, że w Gruzji figi i mandarynki rosną na ulicach i każdy może je zrywać, a stopy pomarańczy gniją pod płotami. Rzeczywistość ją rozczarowała, ale już nie chciała wracać do Rostowa.

Ciotka Nina nie bardzo wiedziała, jak nauczyć Marusię porządku. Ponieważ wyjeżdżając z ekipą w plener, nie mogła wziąć ze sobą syna, poprosiła mamę, żeby doglądała Marusi. Oczywiście mama też nie umiała nauczyć Marusi porządku, próbowała więc zainteresować ją literaturą, ale Marusia okazała się wyjątkowo oporna wobec słowa drukowanego. Odkładała z niesmakiem książki, zasiadała przy oknie i opierając głowę na rękach, godzinami patrzyła w dal. Na pytanie matki, dlaczego nic nie robi, odpowiadała ze smutkiem:

- Umienia mielanholja.

Żeby wyleczyć Marusię z melancholii, hołdując zasadzie, że najważniejszym dobrem jest człowiek, mama nauczyła ją grać w karty. Marusia nie została mistrzem, ale grę polubiła.

Mój kuzyn i ja, uwolnieni od opieki mamy i Marusi, wyciągnęliśmy książkę telefoniczną. Wujkowi Dawidowi właśnie założono telefon, pierwszy telefon, który widzieliśmy z bliska. Było ich w Tbilisi mało, więc i książka była bardzo cienka.

Szybko dotarliśmy do litery „?” zaraz natrafiliśmy na nazwisko: Beria...

Ławrientij Pawłowicz. Nie zastanawiając się długo, dlaczego taka osoba figuruje w zwykłej książce telefonicznej, postanowiliśmy z nim porozmawiać. Nakręciliśmy więc numer i usłyszeliśmy kobiecy głos. Poprosiliśmy Ławrientija Pawłowicza-

- A kto mówi i w jakiej sprawie? - zapytała sekretarka-

- To my! - odpowiedział mój kuzyn. - Ja i moja siostra-

- Ale w jakiej sprawie? - zabrzmiał ostry głos.

Ponieważ nic nam nie przyszło do głowy, odłożyliśmy słuchawkę i zaczęliśmy chichotać. Zaraz zapomnieliśmy o całej sprawie, ale sprawa nie zapomniała o nas.

Wujka Danuta wezwano natychmiast z planu filmowego wprost do tbińskiego NKWD.

Przez parę dni przesłuchiowano go w kwestii naszego telefonu. Matka chwyciła mnie za ramiona i potrząsała z całych sił.

- Co wam przyszło do głowy?! O czym chcieliście rozmawiać?! Nie zdajesz sobie sprawy, co teraz będzie?! Chcesz zostać sierotą?!

Nie chciałam zostać sierotą, choć bolała mnie szyja od tego ciągłego potrząsania.

W końcu znalazłam odpowiedź.

- Chcieliśmy powiedzieć Berii, że nieśliśmy jego portret na Pierwszego Maja! - wyjaśniłam.

- Nie kłam! Nie nosiliście żadnych portretów! - zachnęła się mama, ale zaraz pobiegła do ciotki, żeby jej o tym powiedzieć.

Już następnego dnia wuj mógł wyjaśnić sprawę w NKWD: Te dzieci tak bardzo kochają Ławrientija Pawłowicza, że chciały mu osobiście wyznać swoje uczucia i pochwalić się, że niosły jego portret na defiladzie pierwszomajowej. Oświadczyły też, że będą nosiły jego portrety zawsze, kiedy tylko nadarzy się okazja.

To ideologiczne tłumaczenie przyjęto ze względu na pozycję wujka Dawida i jego powszechnie znane oddanie partii. Zwykłemu obywatelowi radzieckiemu prawdopodobnie nie uszłoby na sucho wydzwanianie do Ławrientija Pawłowicza.

Sprawę odłożono ad acta, ale wujek Dawid i ciotka Nina patrzyli na nas gniewnym okiem, gdyż stracili kilka dni zdjęciowych, co drogo kosztowało ekipę filmową.

Długo nam to wypominali.

Ojciec chyba wyczuwał, kiedy nadciągnie następny atak nerwowy, bo wtedy pojawiał się w domu. Obecność mamy dobrze na niego wpływała i dawała poczucie bezpieczeństwa. Ponieważ musiał się wyładować, wywoływał awantury o wszystko: o bałagan w mieszkaniu,

o zły wygląd mamy, o zbitą szklanę. A kiedy nadchodził krytyczny moment, kurczowo czepiał się łóżka albo drzwi i bił głową o ścianę.

- Weź te słoiki, stłucz je, rozwał łóżko, połam krzesło - namawiała go mama monotonnym szeptem, jakby nuciła kołysankę. - Ulży ci...

- Nie ulży! - bronił się ojciec, ale już bez przekonania. - Nic nam nie ulży!

Jesteśmy skąpani we krwi!

Mama nigdy nie przeczyła: Taką miała metodę. Przeciwnie, wyolbrzymiała jego wizje.

- Zamordowano go na rozkaz Stalina - szeptała, a ojciec patrzył z niedowierzaniem. - Tylu ludzi już zamordowali... Jeden więcej, jeden mniej...

Uspokój się, nas niedługo też zamordują i wszystko wróci na swoje miejsce...

Te miłe przewidywania działały na ojca kojąco. Zamyślał się. Ale czasami pomagał tylko zastrzyk. Kiedy był w dobrej formie, kazał mi robić poranną gimnastykę, myć się w lodowatej wodzie, spać na stojąco albo na stole, zasłanym jedynie szmatopodobnym prześcieradłem. Na szczęście, gdy było zimno, pozwalał mi się przykrywać kocem. Poduszkę w ogóle wyklął. Hartował mnie i przygotowywał do ciężkiego życia, co mi się zresztą przydało w normalnej rzeczywistości radzieckiej. Kazał też szorować patelnię.

- Daj jej spokój! - błagała mama. - Czy ty nie widzisz, że to wyjątkowo delikatne dziecko? Chcesz, żeby się rozchorowała?

- Zginie, jeżeli nie nauczy się żyć inaczej niż my! - Ojciec podnosił głos. -

Stalin ma rację, że nas morduje! My się do niczego nie nadajemy! Zastrane arystokratki! - Odwracał się w moją stronę. - Popatrz na te swoje ciotki! I na matkę! Chciałabyś być taka, jak one?! Nie pozwolę!! Albo nauczę cię żyć jak człowiek, albo zginiesz!

I ponawiał swe wysiłki, by przerobić mnie na człowieka. Ale paraliżowało go pełne grozy, nieruchome spojrzenie matki. Miałam wrażenie, że hipnotyzuje ojca.

Poddawał się.

- Bardzo lubię, kiedy tata mnie wychowuje! - błagałam ją - Chciałam, żeby został z nami. Mimo wszystko. Niestety, ciągle znikał, pozostawiając pustkę. Coraz rzadziej przychodził i coraz dłużej musiałam tęsknić. Czas mijał i stopniowo zaczęliśmy się przyzwyczajać do nieobecności ojca.

Wszystko powszednie. Bliska przyjaciółka mamy, Tina, kiedy usłyszała nowy hymn ZSRR, powiedziała:

- On jest jak nasz chleb powszedni... taki sam zakalcowaty, ale człowiek się przyzwyczaja i zaczyna go lubić, zwłaszcza że innego nie ma. Do czego to my nie potrafimy przywyknąć! Wobrażasz sobie nasze drwiny, Mariko, gdyby nam kilkanaście lat temu wywożono, co nas czeka?

- Człowiek jest najsilniejszy ze wszystkich wielbłądów - zgodziła się mama.

- Zwierzętom jest lżej - uśmiechnęła się Tina - bo nie rozumieją rzeki słów, lejącej się z radia... Czasami?? zazdroszczę.

Miała rację. W naszym klimacie, kiedy w czasie wielomiesięcznych upałów musieliśmy otwierać wszystkie drzwi i okna, każdy dźwięk docierał do każdego zakątka. Jedynym ratunkiem byłaby głuchota. Zawsze znalazł się jakiś Iwan Iwanowicz, który puszczał pudło na cały regulator. A kto śmiałyby zaprotestować, kiedy spiker biczował nas słowami: „Stalin! Partia! Lenin! Beria!”

Każdy inaczej wyobraża sobie raj. Dla mnie raj to takie miejsce, w którym panuje idealna, niczym nie zmacona cisza. Resztki alergii na środki masowego przekazu noszę w sobie do dziś. Dobił mnie dom akademicki w Moskwie, gdzie w głośniki zaopatrzono wszystkie pokoje.

Jedyny wieczór upojnej ciszy pamiętam w dniu walnego zebrania komsomolskiego po XX Zjeździe KPZR, kiedy nam odczytano obszernie fragmenty przemówienia Chruszczowa o zbrodniach Stalina. Oniemieliśmy. Nawet głośniki posmutniały i nadawały tylko cichą muzykę klasyczną. Siedzieliśmy zamyśleni w swoich pokojach i trawiliśmy pierwszy w naszym życiu kęs prawdy. To był niebywały szok:

Sekretarz Generalny KPZR mówił prawdę! Niecałą, oczywiście, ale...

Moja współlokatorka i przyjaciółka Ajan nagle wstała, wyszła na korytarz i w drodze do toalety zaśpiewała na cały głos: „Stalin to nasza sława bojowa, Stalin to polot naszej młodości, Idąc za Stalinem i z nim zwyciężając, Dążymy ku lepszej przyszłości...” Weszła do toalety i przez chwilę na korytarzu panowała martwa cisza. Wszyscy nadśluchiwali w napięciu. Ajan po chwili wyszła i znowu zaśpiewała:

„Nas wychował Stalin wiernymi narodowi Do pracy i czynów nas natchnął...” Teraz zaskrzypiały drzwi pokojów, wychylały się głowy. Studenci patrzyli na Ajan zarazem rozbawieni i przerażeni.

- Ajan, co ty śpiewasz? - pytali szeptem.

- Czyś ty zwariowała, Ajan?!

- Śpiewam hymn Związku Radzieckiego. - Ajan patrzyła na nich jak naiwne dziecko.

- Czy już jest zabroniony?

Nagle wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Dyskutowaliśmy bez przerwy i do dziś nie możemy się zatrzymać.

Msza za grzechy Ławrientija Berii

W roku 1953 odbył się proces Berii i jego współpracowników z NKWD, oskarżonych o morderstwa, terror i gwałty. Kiedy Beria już nie żył, we wszystkich republikach, a szczególnie w Gruzji, odbywały się zamknięte posiedzenia aktywu partyjnego. Ciotka Nina nigdy do partii nie należała, natomiast jej mąż Dawid parę lat wcześniej został pierwszym sekretarzem Goskinpromu. Nigdy niczego nie potrafił żonie odmówić, więc i tym razem poruszył niebo i ziemię i załatwił jej przepustkę na wszystkie posiedzenia.

Odczytywano na nich protokoły przesłuchań aresztowanych za czasów Berii osób, w tym wielu bliskich krewnych ciotki, dokładne opisy torturowania więźniów i innych beriowskich wyczynów.

Wujek Dawid musiał służbowo wyjechać do Moskwy, synowie Niny bawili u babci na wsi i Nina poprosiła mnie, żebym u niej nocowała. Cierpiała na ciężką nerwicę i bała się samotności. W naszym pokoiku mieliśmy z mamą i młodszym bratem tylko jedno łóżko, więc chętnie przyjąłem zaproszenie. Nina żyła w komforcie: dwa żelazne łóżka, kanapa i rozkładana połówka!

Czekałam na nią do późnej nocy, a gdy wracała, opowiadała mi nieraz do rana treść ujawnionych dokumentów. Nigdy nie miałam skłonności sadystycznych, nie chcę przytaczać szczegółów o katowniach Berii... Wołałabym zapomnieć o tym, co usłyszałam od ciotki...

Alik, brat Niny, po ucieczce z łagru umarł na głodową biegunkę. Matkę Niny rozstrzelano. Delikatnej Kietusi udało się przeżyć. Rąbała zamrożone odchody w lagrowych latrynach i wywoziła je na taczce. Później, na przymusowym osiedleniu, jako malarz pokojowy, odnawiała mieszkania miejscowym dygnitarzom.

Zrehabilitowana po XX Zjeździe KPZR wróciła do Tbilisi po osiemnastu latach zesłania. Schorowana, już niemłoda, odmawiała wszelkich rozmów o gułagu. Zajęła się wypiekaniem tortów na zamówienie. Klientów nigdy jej nie zabrakło, bo w swym ostatnim fachu okazała się artystką. Dopiero reżyserowi Tengizowi Abuładzemu udało się dzięki wdziękowi osobistemu i umiejętnemu podejściu nakłonić ją do zwierzeń. W jego filmie Pokuta została pierwowzorem dziwnej postaci wypiekającej torty w kształcie świątyń i nieustannie odgrzebującej zwłoki umarłego dyktatora.

Jak cały film, tak i tę postać reżyser odrealnił i uczynił symbolem. Wszystko jest poetyckie i piękne, ale ja spodziewałam się zobaczyć zupełnie niepoetycki los Kietusi.

Matce Kietusi, Marii Orachełaszwili, kobiecie bardzo ładnej, połamano kości twarzy i podano lustro, by zobaczyła, że nic już nie zostało z jej urody.

Rozstrzelano ją po długich torturach.

Ojca Kietusi, Mamię Orachełaszwilego, zamęczono na śmierć.

Ciotka przynosiła z posiedzeń coraz to nowe rewelacje. Gdybym usłyszała te potworności od innych, na pewno bym nie uwierzyła. W ciągu kilku dni, uczestnicząc w makabrycznych zebraniach, z ładnej, młodej jeszcze kobiety Nina zamieniła się w ruinę. Z dnia na dzień nabrzmiwała jej tarczyca, a oczy wychodziły z orbit. Wkrótce znalazła się w szpitalu. Stała się nagle innym człowiekiem.

Wszystko, co usłyszała o swoich krewnych, przyjaciółach, znajomych i nieznajomych, było starannie zapisane i przechowywane w aktach NKWD. Nie z myślą o potomności, oczywiście. Rejestrowali swoje zbrodnie, bo nie przypuszczali, że te akta kiedykolwiek ujrzą światło dzienne.

Nareszcie odbyło się ostatnie zebranie... Ciotka Nina zdawała relację, a mnie przechodziły dreszcze, choć zapowiadał się upalny dzień. Świtało...

Nagle zamajaczył mi przed oczami obraz z wczesnego dzieciństwa: nawiedzona starucha, dwaj goryle i ludzie w popłochu uciekający do domów. Opisałam Ninie ten obraz, jak mogłam najdokładniej.

- Nie możesz tego pamiętać! - zawołała zachrypniętym szeptem. - Byłaś bardzo mała! A może cię jeszcze nie było?! Musiałaś to wszystko od kogoś usłyszeć, a twoja wyobraźnia stworzyła obraz...

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

- Kim ona była? - zapytałam.

- Jak to, nie wiesz?! Przecież to Marta, matka Berii! Co niedzielę wychodziła rano z domu i przez całe miasto szła na bosaka do cerkwi. Zamawiała mszę za grzechy syna...

Nie wierzyłam własnym uszom.

- Ławrientija?!

- A kogóż by innego?... Mało kto kojarzył w Tbilisi tę bosą staruszkę w wypłowiałej sukni z jego osobą, ale niektórzy wiedzieli... Mieszkała blisko nas, znaliśmy ją dobrze, ale trzymaliśmy gęby na kłódkę, by nie napytać sobie biedy.

Przy wejściu do cerkwi czekali na nią rodzice z niemowlętami... Zbliżali się do niej ostrożnie, niektórzy padali na kolana i błagali, żeby zgodziła się zostać matką chrzestną ich dziecka... Nie mieściło mi się to wszystko w głowie.

- No i co?...

- Jeżeli się zgodziła, wygrywali los na loterii. Mogli spokojnie żyć i rozmnażać się. Nic im nie groziło. Kiedy aresztowano ojca lub matkę jej chrześniaka, dzwoniła do syna i żądała natychmiastowego zwolnienia swych podopiecznych!

- I zwalniał?

- Słowo matki było dla niego święte! Uwielbiał ją. Żeby się paliło i trzęsła się ziemia, co roku na Boże Narodzenie i na Wielkanoc przyjeżdżał do niej, dzielił się jajkiem i uczestniczył w uroczystej wieczerzy, bo tego żądała.

- Jak to możliwe?! Przecież za chodzenie do cerkwii i za szerzenie religijnej propagandy gnojono ludzi w jego więzieniach! Za to torturowano w całym Związku Radzieckim!

- Ale nie jego matkę! - zaśmiała się ciotka. - Siostra Berii była głuchoniema.

Nawet niebrzydka. Tyle że kaleka... Kiedy Beria zaczął rosnąć w siłę, natychmiast znalazł się cwaniak, który bez pamięci się w niej zakochał. Zaczął ją jawnie adorować. Nawet przystojny... Ale nie z Berią takie sztuczki. Wezwał adoratora, kazał mu się odczepić i nie pokazywać się na horyzoncie. Cwaniak gorzko zapłakał, że ją kocha i że życie sobie odbierze, jeżeli Beria nie pozwoli mu się z nią ożenić. Możesz sobie wyobrazić ten ironiczny wzrok starego czekisty?

Rzeczywiście, aluminiowych oczu Berii, które tylko przez sekundę spoczęły na mnie, nie potrafiłabym zapomnieć...

- Rozdeptał go? - zapytałam.

- Ależ nie! Powiedział: „Dobrze, ożeń się z nią jeżeli ona cię chce. Ale niech no jej tylko jeden włoszek spadnie z głowy...”

- Pobrali się? - ponaglałam. - I żyli długo i szczęśliwie?

- Taaaaak! Cwaniak okazał się bardzo kochającym mężem! Beria mianował go dyrektorem nowo powstającego Leczkombinatu, czyli kliniki dla wpływowych osób.

I chłopak mógł dużo czasu poświęcać adoracji żony. Podwładni na wyścigi odwalali za niego robotę. Oczywiście włos jego żonie z głowy nie spadł... ani żonie Berii, ani jego dzieciom, ani nikomu, co byli jego.

Po uśmierceniu Berii dotarła do nas, jak zawsze pocztą pantoflową, wiadomość, że ukochany szwagier natychmiast zwiął od głuchoniemej żony i zażądał rozwodu. Ale w tym wypadku post-stalinowskie władze postąpiły wyjątkowo przyzwoicie: Pieczeniarz rozwodu nie dostał. Chcąc nie chcąc, udał się z żoną i dziećmi na wygnanie.

Niedawno przeczytałam w gruzińskiej prasie list żony Berii. Broni męża jak lwica.

Wszystko, co pisze, całkowicie rozmija się z oficjalną wersją, głoszoną przez radzieckich historyków, nawet na temat ich pożycia małżeńskiego.

Wiadomość, że miał siedemset sześćdziesiąt kochanek, uznała za głupie oszczerstwo. Kiedy? Przecież harował dzień i noc! „Owszem, bywał okrutny, ale przecież tego wymagała jego praca. Razem ze Stalinem budowali największe imperium na świecie”!

A więc wdowa - niestety, nie ona jedna - uważa, że budując imperium, wolno być mordercą. A że kości niewinnych ludzi gniją... trzeba się wznieść ponad swoje partykularne interesy, jak mi kiedyś tłumaczył znajomy.

Jej list otwarty jest na pewno listem kobiety kochającej. Zdumiewające, jak ten Beria, mordując, gwałcąc, torturując, potrafił wszystko zachować w tajemnicy przed żoną? Jak dokładnie musiał się myć, żeby nie poczuła zapachu krwi?!

Niezrozumiałe jest też, że Beria na początku swojej kariery, kiedy jeszcze był niewiele znaczącym czekistą, miał odwagę ożenić się ze skądinąd bardzo piękną dziewczyną, ale bratanicą prezydenta rządu emigracyjnego Gruzji! I mimo to doszedł niemal na sam szczyt władzy!

Na procesie jednym z głównych zarzutów, który mu postawiono, był zamiar przywrócenia w ZSRR kapitalizmu. Czy był prekursorem prywatyzacji?

Wokół postaci Berii mnożą się znaki zapytania. Im więcej się o nim czyta i wie, tym bardziej wydaje się zagadkowy. Może nawet bardziej niż Stalin.

Dla mnie zasadnicze znaczenie ma pytanie: Po jakie lichy tych dwóch Gruzinów kosztem milionów ofiar budowało największe z rosyjskich imperiów?

I nie znajduję żadnej odpowiedzi.